



Anna
Klejzerowicz

NEGATYW

Kryminały
niezwykłe

LIND&CO

ANNA KLEJZEROWICZ

NEGATYW

Kryminały niezwykle

LIND & CO

LIND & CO

@lindcopl

e-mail: info@lindco.se

Tytuł oryginału:

Negatyw - kryminały niezwykle

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Wydawnictwa Lind&Co Polska sp. z o o.

Wydanie I, 2023

Projekt okładki: Studio Karandasz

Grafiki na okładce:

Dennirow, nastia1983

stivog / Adobe Stock

Copyright © dla tej edycji:

Wydawnictwo Lind&Co Polska sp. z o o, Gdańsk, 2023

ISBN 978-83-67494-96-0

Opracowanie ebooka

Katarzyna Rek

[Waterbear Graphics](#)

SPIS TREŚCI

Okladka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Zatruta krew

Rok wcześniej

Tydzień wcześniej

Jakiś czas później

Tydzień później

Trzy dni wcześniej

Dwa dni później

Parę godzin później

Po wszystkich

Przeklęty

Danzig – Gdańsk, wcześniej, marzec

Gdańsk, 28 marca 1945 roku, wigilia Wielkiego Czwartku

Gdańsk, marzec 1968 roku

Gdańsk, marzec, 50 lat później

Gdańsk, 8 marca

Negatyw

Prolog

Zakończenie dla optymistów

Kulka

Lipiec

Osiem dni później

Tydzień później

Kilka dni później

Sierpień

Wrzesień

Dwa dni później

Październik

Dwa dni później

Kilka dni później

Listopad

Rok później, w jakimś mieście w parku

Podwójny trup

Tytułem wstępu

Relacja Rzeczniczki Pogotowia Ratunkowego w mieście X

Relacja Rzecznika Komendy Głównej Policji w mieście X

Zeznanie Wiktora W.

Komentarz dziennikarski

Posłowie

ZATRUTA KREW

Huk, krew, krzyk, lament. Strach, paralizujący ciało i myśli. Koszmar wciąż na nowo powracający w snach...

Rok wcześniej

Krótki, urwany jakby w połowie dźwięk dzwonka u drzwi, pośrodku nocy, spowodował, że stary człowiek drgnął i odłożył czytana właśnie książkę na zavalone stertami papierów biurko. Zdjął okulary i zaczął nasłuchiwać. Kogo to licha niesie o takiej godzinie? Może to pomyłka?... Tak, to musi być pomyłka. Pewnie sąsiad z góry, jak zwykle pijany, pomylił piętra. Zaraz sobie pójdzie. Dźwięk jednak powtórzył się po chwili, jeszcze krótszy, jeszcze bardziej nerwowy. W nocnej ciszy brzmiał jak wystrzał.

Starzec wstał, z ociąganiem opuścił pokój pełen książek i starych gazet. Nie lubił, kiedy przeszkadzano mu w pracy. O tej porze każdy ma prawo do świętego spokoju we własnym domu. Ale może to Amelia?...

Podszedł do drzwi, zawahał się. Wyjrzał przez wizjer, jednak bez okularów nie dostrzegł niczego, poza zarysem czyjejś sylwetki.

– Kto tam? – zapytał w końcu.

– Policja – usłyszał z drugiej strony drzwi.

Zesztywniał. Policja? Znowu? Co się mogło stać? Czyżby Roman coś... Trzęsącymi się dłońmi przekręcił klucz w zamku i nacisnął klamkę. Reszta była już mrokiem.

Tydzień wcześniej

Strzelisty masyw skalny, ciemny i ponury, zupełnie jak mury prehistorycznej zrujnowanej twierdzy, aż czuje dreszcz, przebiegający po plecach. Warkot helikoptera, śnieg, śnieg, sypie nieprzerwane, gęstymi płatami, wokół uwijają się sylwetki w żółtych skafandrach, nosze, nawoływania, w tle dostrzega ledwie czytelną sylwetkę Mnicha, czuje, jak panika chwyta ją za gardło. Nie rozpoznaje twarzy, twarze są zamazane. Jeden z ratowników mówi coś do kamery, mówi o jednym martwym alpinście, drugi wyczerpany, ale żyje, a tymczasem ona nie rozpoznaje twarzy, są zamazane...

Koniec migawki, prezenterka o lalkowatej urodzie przeskakuje z tematu na temat, już wszyscy przed telewizorami zapomnieli o akcji ratunkowej w Tatrach Wysokich, tylko ona nie może sobie miejsca znaleźć. Jeden alpinista przeżył. Drugi zginął. Oby to nie był on, modli się w duchu, oby to tylko nie był on...

Oby to tylko nie był on, powtarzałam to sobie jak mantrę, jak zaklęcie. Jeszcze zanim skontaktowali się ze mną i z Iwoną. Może, kiedy będę tak sobie mówiła, to się spełni. Słowo ma podobno wielką moc. Słowo to magia. Jest cieniem czynu, tak mawiali starożytni...

Może coś w tym jest.

Wrócił Rafał, mój mąż. Z lekkimi odmrożeniami, ale cały i zdrowy. Jerzy zginął. Nadal nie mogę w to uwierzyć. Jednak kiedy ktoś wspina się zimą w górach, choćby to były Tatry, musi liczyć się z wypadkiem. Z najgorszym. Musi. Nigdy nie potrafiłam tego zrozumieć. Takiego igrania ze śmiercią. Iwona rozumiała, przynajmniej tak twierdzi. Nie oponowałam, bo i tak nie miałyoby to sensu. Od lat tam jeździli. Zawsze razem. Zanim jeszcze spotkałam ich obu na swojej drodze.

Poznałam Rafała zaledwie pięć lat temu. Byłam już po czterdziestce i do głowy by mi nie przyszło, że jeszcze znajdę sobie męża. A raczej, że to on mnie znajdzie. Poderwał mnie na deptaku w Sopocie, gdy zmęczona wypoczywaniem, zrobiłam sobie przerwę na kawę w kafejce pod parasolem, który chronił mnie nie tylko od słońca, lecz dawał też poczucie izolacji od tłumów kłębiących się dookoła. Żłudne poczucie, jak się okazało, bo to właśnie pod tym parasolem mnie wypatrzył. Przystojny, opalony, muskularny

mężczyzna, w moim wieku, sportowiec, alpinista, żeglarz, w dodatku maniak książkowy, jak i ja – pod pachą trzymał książki, zakupione przed chwilą w księgarni naprzeciwko, taki sam stosik leżał przede mną na stoliku, obok cappuccino – nic dziwnego, że nie protestowałam, kiedy się przysiadł. Nie szukałam chłopca, po dwóch nieudanych związkach cieszyłam się stabilnością emocjonalną i materialną. Miałam własny dom po rodzicach – dziesięć lat temu oboje zginęli w wypadku – okazały, pod Gdańskiem. Miałam pracę, wymarzoną, bo w bibliotece: małej, prowincjonalnej, ale zawsze wśród książek.

Lecz cóż, on też po przejściach, z optymizmem patrzący w przyszłość, dobrze się rozumieliśmy. Wpadłam jak śliwka w kompot pod tym parasolem i dopiero wtedy zrozumiałam, ile tracę.

Pobraliśmy się po dwóch miesiącach.

Na naszym ślubie poznałam Jerzego. I Iwonę, żonę Jerzego, a także ich jedyne dziecko, dziesięcioletniego Maćka. Rafał z Jurkiem znali się jeszcze z czasów licealnych, przyjaźnili od lat, dzielili pasje, choć ich drogi zawodowe się rozeszły: Jerzy został gliną, a Rafał instruktorem sportowym. Odtąd przyjaźniliśmy się w czwórkę. Wspólne święta, weekendy, urlopy. Jak jedna rodzina, klosz, pod którym zbudowaliśmy nasz świat.

Który teraz pękł na kawałki...

Nawet bardziej niż sądziła.

– Jak to się stało? – zapytała.

Długo milczał.

– Właściwie to nie chciałem ci tego opowiadać – zawahał się. – Zastanawiałem się nad tym jeszcze w szpitalu, no i sam nie wiem, czy... Nikomu nic nie mówiłem. Ale ty chyba jednak powinnaś wiedzieć. Tylko, proszę cię, Iwonie ani słowa. Nie zniosłaby tego. Co się stało, już się nie odstanie, więc...

– Ale o co chodzi? – zaniepokoiła się, tak jakby przeszłość nie została już zamknięta, jakby to, co miał jej do powiedzenia, mogło jeszcze cokolwiek zmienić. – Dziwnie to jakoś zabrzmiało. No mówże dalej!

– To nie do końca był wypadek – wyznał. – Albo raczej nie wypadek. W Jerzego coś wstąpiło. Sam wiem, że głupio to brzmi, ale chyba najlepiej oddaje obraz sytuacji. Może to zmęczenie albo... Nie wiem, w końcu nie pierwszy raz poszliśmy w góry. Warunki w każdym razie nie były dobre, to fakt. Zerwał się silny wiatr, temperatura spadła, skała zaladzona. Szliśmy niezwiązani liną, tylko z poręczówką. To mi uratowało życie. Bo inaczej zginęlibyśmy obaj. On... rzucił się na mnie. Znienacka. Dyszał, przeklinał. W oczach miał szaleństwo. Nienawiść. Dusił mnie i usiłował zepchnąć w przepaść. Przeraziłem się. Usiłowałem coś mu klarować, uspokoić go, ale co można zrobić w trzydziestu stopniach mrozu, z czyimiś dłońmi zaciśniętymi na twojej szyi, na skraju urwiska?... Zacząłem się bronić, usiłowałem oderwać te jego ręce w podwójnych rękawicach, jak z żelaza, od swojej krtani, utrzymać równowagę. Mocowaliśmy się, zapałem się nogami, przytuliłem do skały... On znalazł się na krawędzi przepaści. No i stało się. Potknął się, zatoczył, zleciał. Mało brakowało, a poleciałbym za nim, ale raki utrzymały mnie na twardym śniegu. Wszystko trwało ułamek sekundy. Choć chyba nigdy nie zapomnę tego wyrazu zdumienia w jego oczach, bo gogle spadły mu wcześniej w trakcie szarpaniny... Krótki krzyk i koniec. Gdy ochłonąłem, wezwałem pomoc. Trząsałem się cały. Próbowałem schodzić do niego na własną rękę, mimo że zdawałem sobie sprawę z tego, że nie mam szans. Zerwał się huragan, śnieżycy opóźniła akcję ratunkową o kilka godzin. Utknąłem na grani, tam nabawiłem się odmrożeń. Na szczęście lekkich. Bałem się, że nie przetrwam, o ile pomoc szybko nie nadejdzie. Schroniłem się w załomie skały, wykopałem niewielką jamę w śniegu. Stamtąd mnie przejeśli...

Teraz ona milczała, wstrząśnięta.

– Nic z tego nie rozumiem – odezwała się w końcu cicho. – Co mu się stało? Pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Sam zastanawiam się nad tym, odkąd... odkąd to się zdarzyło. Może... może powinienem powiedzieć o tym komuś... Policji? W końcu, niechący, przyczyniłem się do jego śmierci.

– Zwariowałeś! – oburzyła się. – Jeszcze tego brakowało! Przecież to nie ty rzuciłeś się na niego.

– Ale ja żyję. A jego już nie ma.

– Daj spokój. Niczego nie zmienisz. Po co to roztrząsać? To był wypadek! Pomyśl o Iwonie, o Maćku. Oni i tak przeżywają koszmar – powiedziała stanowczo, czując łzy pod powiekami. Jak niewiele brakowało, myślała, jak niewiele brakowało, by...

Jak niewiele brakowało, by wszystko, co udało mi się zbudować przez ostatnie lata, prysło jak bańka mydlana, ot tak, pyk i nie ma, klosz rozbity w drobny mak, tylko czy ja bym jeszcze potrafiła żyć bez klosza?...

To mi przypomniało Iwonę i „małego” Maćka, więc zadzwoniłam do niej, ale nikt nie odbierał telefonu. Okej, dopiero co był pogrzeb, rozumiałam to, rozumiałam, że nie mają ochoty z nikim gadać. Nawet z nami. Okej. Wszystko wróci do normy, wróci, wróci – znowu zaklinałam los. Choć jednocześnie wiedziałam, że nic nie wróci, że nic już nie będzie, nie może być, takie jak dawniej...

A jednak po kilku dniach Iwona objawiła się sama: ktoś zadzwonił do drzwi, wyjrzałam więc przez okno od sypialni i najpierw zobaczyłam jej samochód na podjeździe, a zaraz potem ją samą, stojącą przy furtce. Zdziwiłam się, bo do tej pory Jerzy, Iwona, a także Maciek, wchodzili od razu na podwórkę i stukali w kuchenną szybę, a myśmy zaraz wiedzieli, że to oni. Lecz tym razem czekała pod bramą, jak ktoś obcy. Wyszłam po nią i sprawdziłam, czy furtka nie jest przypadkiem zamknięta na klucz – lecz nie była. Prawie nigdy jej nie zamykamy, bo i po co, złodziej i tak wejdzie, jeśli zechce, a zresztą kraść u nas nie ma czego. Iwona wyglądała strasznie, blada i wymizerowana, z podkrążonymi oczyma, jakby od dłuższego czasu nie sypiała. Poczułam się głupio, jakieś irracjonalne napięcie zawisło pomiędzy nami.

– Ja tylko na sekundę – oświadczyła, lecz dalej stała jak przymurowana.

– Wchodzisz czy nie? – zniecierpliwiłam się w końcu. Nie zamierzałam być opryskliwa, chciałam tylko rozpaczliwie, by wszystko było tak, jak... przedtem.

Weszła, choć jakby z wahaniem. Usiadła w kuchni, nie zdejmując płaszczka.

– O co chodzi? Napijesz się kawy, herbaty?

– Nie, nie, dziękuję – upierała się. – Muszę zaraz wracać. Wpadłam tylko, żeby... Coś dla Was przywiozłam...

Do kuchni wszedł Rafał, który do tej chwili robił coś w ogrodzie, lecz wrócił do domu, słysząc nasze głosy.

– Co przywiozłaś? – podchwycił.

Wygrzebała z torby kopertę i podała ją mnie. Zdziwiona, zajrzałam do środka i wyjęłam niewielki kartonik, odbitkę jakiegoś starego zdjęcia. Przyglądałam się jej zdezorientowana. Fotografia przedstawiała grupę dzieci, chłopców. Jednego z nich, stojącego w pierwszym rzędzie pośrodku, oznaczono czerwonym odblaskowym flamastrem. Mały wyglądał na jakieś dziesięć lat, miał jasne włosy, ostrzyżone krótko przy skórze, tak samo jak u pozostałych dzieci. Ubrany był – również identycznie jak reszta grupy – w krótkie spodenki i podkolanówki. Na odwrocie widniało imię i nazwisko: Helmut Krahl, 1946.

– To dla nas? – upewniłam się. – A kto to jest?

Iwona wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Robiłam porządki w rzeczach Jerzego. Znalazłam to na biurku. Oddałabym razem z innymi papierami na komisariat, gdyby nie to, że... Leżało w teczce podpisanej twoim imieniem i nazwiskiem. Pomyślałam więc, że należy do was albo z jakiegoś powodu Jurek chciał wam to dać.

– Pokaż – poprosił Rafał.

Podałam mu zdjęcie, wciąż nie rozumiejąc, o co w tym chodzi. Po co Jerzy miałby dawać nam zdjęcie jakiegoś obcego dziecka, które teraz jest już pewnie starcem, a może w ogóle nie żyje?

Rafał przyglądał mu się równie zaintrygowany.

– Wiesz, co to za dzieciak? – zapytał mnie.

– Nie. A ty?

– Ja? Skąd?... Iwona, nie domyślasz się? Jerzy nic ci nie wspominał?

– Nie, nic. Jerzy w ogóle niewiele ze mną ostatnio rozmawiał, był... zapracowany. Dlatego tak ucieszyłam się, że jedziecie w te góry... – głos jej zadrżał. – To zdjęcie zobaczyłam po raz pierwszy na oczy wczoraj wieczorem

i od razu postanowiłam wam je przywieźć, wracając z pracy. Myślałam, że będziecie wiedzieć, o co chodzi.

Czy mi się zdawało, czy w jej głosie zabrzmiało też coś w rodzaju urazy, nie wiem, ale dziwnie mnie to zabolowało. Napięcie wciąż wisiało w powietrzu i nie miało ono raczej nic wspólnego z tym dziwnym zdjęciem.

– Na pewno nie napijesz się kawy? – zapytałam dla formalności.

– Na pewno – podniosła się. – Muszę już jechać. Nie chcę zostawiać Maćka samego... On... on bardzo przeżywa śmierć ojca, to przecież... praktycznie jeszcze dziecko, prawda?

– A ty jak się trzymasz? – zapytał z troską Rafał.

Żachnęła się.

– A jak mam się trzymać? Jak myślisz? Jakoś trwam, jak widzisz.

– Iwona – nie wytrzymałam – to nie Rafała wina, że przeżył.

Zesztywniała. Zaczerwieniła się, raptownie wciągnęła powietrze, jakby z trudem zdusiła szloch.

– Wiem. Przepraszam. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Polecę już.

– Pozdrów Maćka.

– Jasne.

– A co z tym zdjęciem? – wtrącił Rafał. – Mamy je zatrzymać?

– Zróbcie z nim, co chcecie. To pewnie nic ważnego, może w ogóle przypadkowo znalazło się w tej teczce. No to... cześć.

I już wiedziałam, że nasz klosz pękł nieodwracalnie i że nie ma czego sklejać. Nigdy się tak naprawdę nie przyjaźniłyśmy. To osoba Jurka nas łączyła, a teraz, gdy jego zabrakło – zabrakło spoiwa.

– Niepotrzebnie jej to mówiłaś – odezwał się Rafał z wyrzutem, gdy sobie poszła. – Po co? To zrozumiałe, że ma żal do losu...

– Do losu, ale czemu boczy się na nas, myśli, że dla ciebie to pestka?!

– Jest w szoku. Nie ma co tego drążyć.

– Co z tym zdjęciem?

– Nic. Schowam je. Może sprawa się kiedyś sama wyjaśni.

Jakiś czas później

Drrryń!...

Drrryń!...

Otwiera oczy, ciemna noc, tylko światełko telefonu pulsuje czerwonym blaskiem, a jego wysoki dźwięk świdruje mózg. Dziwne, za dnia wcale nie wydaje się taki przenikliwy. Strach podchodzi jej do gardła. Telefon, o tej godzinie? Mąż dalej śpi, pewnie nawet wybuch bomby nie wyrwałby go ze snu.

– Rafał! – woła, delikatnie trącając jego ramię. – Rafał, słyszysz?

On mruczy coś tylko pod nosem i odwraca się na drugi bok, jak zwykle. Ona pomału uspokaja bicie serca, stara się wyrównać jego rytm, w końcu to tylko telefon i choć nie przestaje dzwonić, przecież nic złego nie może oznaczać, nic, bo niby co: dzieci przecież nie mają, rodziców także nie, zresztą pewnie to tylko pomyłka.

Lecz serce dalej tłucze się w jej piersi jak oszalałe, a każdy oddech przychodzi z trudem. Podnosi słuchawkę.

– Słucham?

Nikt nie odpowiada. Słyszy w niej tylko własny chrapliwy oddech... Swój?... Nie, nie swój! To ktoś po drugiej stronie tak samo dyszy.

Rzuca słuchawką, jakby ją sparzyła, i szarpie męża za ramię. Tym razem robi to gwałtownie, z całej siły. Mężczyzna broni się, mruczy coś, zaciska powieki. Ona jednak nie daje za wygraną.

– Obudź się, Rafał, błagam, obudź się!

– C... cco się dzieje? – Mruga oczami, wpatrując się w nią ze zdziwieniem.

– Ktoś dzwonił... Znowu... Już drugi raz. W dzień też dzwonił...

– Ale kto? – Nadal był zasapany, wyglądało na to, że niewiele do niego dociera.

– Nie wiem. Nie odzywał się!

– No to może... pomyłka? Śpijmy, dobrze?

– Dyszał...

– Co?

– Dyszał!

– Daj spokój, pewnie jakiś pijany. Śpij już.

Ale ona nie może spać. On pochrapuje u jej boku, a ona wpatruje się w światelko telefonu. Ma wrażenie, że wszystko się w jej życiu pomieszało. Wszystko...

Tydzień później

– Wszystko się u nas pomieszało, Dosiu – zwierzam się koleżance przez telefon, odpowiadając na jej jakże naturalne w tej sytuacji pytanie, czyli jak się miewamy po tym wszystkim. Po to dziś zadzwoniła, pierwszy raz od tamtego wypadku. Z pewnością chciała usłyszeć ode mnie coś uspokajającego, coś pocieszającego, jakiś racjonalny, budujący banał, z tych, co to zwykle wypowiadamy w odpowiedzi na podobne, czysto grzecznościowe pytania. Ale ja nie chcę, nie mogę jej tego dać, muszę się wygadać. – Wszystko – powtarzam. – Czuję, że się sypie...

– Ale co się dzieje, Joanna, proszę cię... – odpowiada Dorota i słyszę w jej tonie pobłażliwość. Znam to. Odruch obronny przed cudzymi kłopotami. Denerwuje mnie jej protekcyjny ton. Nie jestem histeryczką, nigdy nie byłam. Mam ochotę rzucić słuchawką, lecz się powstrzymuję. Rozmowa jest mi teraz potrzebna, a Dorota to bliska koleżanka, znamy się jeszcze ze studiów.

– Słuchaj, nie potrafię ci tego wyjaśnić. Po prostu od śmierci Jerzego nic już nie jest takie samo. A może to ja nie jestem taka sama. Nie wiem.

– O czym ty mówisz? Przecież to był tylko...

– Tylko przyjaciel?

– Nie to miałam na myśli, sorry. Próbuję zrozumieć.

– No dobrze, powiem ci więcej – waham się, lecz brnę w to dalej. – Coś się dzieje. Od pewnego czasu mamy głuche telefony. Ktoś dyszy w słuchawkę. I... jest coś jeszcze. Ktoś chodzi dookoła domu. Kilka razy wyraźnie słyszałam kroki, jakies szuranie na podwórku. Rafał też słyszał. Nawet zauważył czyjś cień. Już przestał się z tego śmiać. Raz wybiegł, ale... nikogo tam nie było.

– Chyba nie wierzysz w duchy?

– Czekaj. To jeszcze nie wszystko. Czuję, jakby ktoś mnie śledził. Czuję się obserwowana. Rafał próbuje mnie uspokoić, ale wiem, że się martwi. Boję się, Dośka!

Dorota milczy, odzywa się dopiero po chwili:

– Moim zdaniem to są nerwy...

Kręcę gwałtownie głową, choć ona nie może tego zobaczyć.

– Mylisz się. Owszem, oboje bardzo przeżyliśmy śmierć Jerzego. Nie sypiam, mam lęki, musiałam zwiększyć dawkę leku na nadciśnienie. Rafał tak samo, jest na granicy wyczerpania nerwowego. Ale nerwy nie są przyczyną, tylko skutkiem! Rozumiesz?

– Coś jeszcze się wydarzyło? – pyta.

– Tak... – waham się po raz kolejny – nie wiem, czy to ma związek, ale... ktoś napadł Rafała, kiedy

wyszedł z pracy i szedł do samochodu.

– Napadł?

– Na szczęście Rafał jest wysportowany.

Trzy dni wcześniej

Usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych, ale nic więcej, żadnego „To ja!”, „Już jestem” albo „Cześć, kochanie”. Odłożyła książkę i nasłuchiwała. Dziwnie się poczuła; jeszcze nie przestraszona, lecz niepokój już zakradł się cichcem do jej umysłu, powodując przyspieszone bicie serca. Dziwnie często się to ostatnio zdarzało. Jakby stuknęły z kolei drzwi łazienki.

– Rafał? To ty?...

Nie było odpowiedzi, jednak zdawało jej się, że słyszy odgłos wody płynącej z kranu. Podniosła się z wersalki i wyjrzała przez okno. Odetchnęła z ulgą, bo ich samochód stał na swoim miejscu pod domem. Czyli Rafał wrócił i widocznie musiał szybko skorzystać z toalety. A jej, głupiej, jakieś strachy w głowie...

Nastawiła wodę na herbatę i właśnie nalewała esencji do szklanki, gdy wyszedł z łazienki.

– Cześć... – zaczęła i urwała. Niepokój ogarnął ją ponownie. Mąż nie zachowywał się jak zawsze: nie zagadał do niej, nawet na nią nie spojrzął, tylko dziwnie odwracał twarz, kryjąc się w mroku korytarza.

– Co się stało?!

– Nie, nic takiego – odparł, udając, że wygląda płaszcz na wieszaku, lecz jego przytłumiony głos też nie brzmiał normalnie. – Tylko się nie zdenerwuj, nic mi nie jest. Ktoś na mnie napadł.

– Napadł?!

Nadal stał w przedpokoju.

– Nooo... przynajmniej próbował. Mam tylko parę siników i rozciętą brew – mruknął niepewnie.

– Pokaż!

W świetle kuchennej lampy jego twarz wyglądała naprawdę upiornie. Była blada, pod okiem widniał rozległy żółtofioletowy siniak, a z rozciętej brwi wciąż sączyła się krew, choć najwyraźniej usiłował zatamować ją w łazience za pomocą zimnej wody, zanim w ogóle pokaże się żonie na oczy. Przytknął do czoła chusteczkę higieniczną, która już zdążyła nabrać czerwonej barwy.

– Matko boska, kto, gdzie, kiedy... dlaczego?! – wyrzuciła z siebie te pytania jak z karabinu maszynowego. – Jezu... może ty powinieneś pojechać na pogotowie?

Usiadł ciężko przy stole, popijając gorącą herbatę. Ręka mu drżała.

– Kiedy wyszedłem z pracy – wyjaśnił zmęczonym głosem – ktoś czał się na parkingu za samochodem. Nie widziałem go, było już ciemno, rzucił się na mnie, ale miał gnojek pecha, nie trafił na słabeusza. Też dostał łomot. Wyrwał mi się i zwiął, zanim zdążyłem mu się przyjrzeć. Na pogotowie nie muszę jechać. Mówiłem ci, że nic mi nie jest, to tylko głupie rozcięcie...

– Ale wciąż krwawisz!

– To nic. Zaraz przestanie. Wezmę ze dwa dni wolne z pracy, żeby tym sińcem tak nie świecić. Daj mi tylko coś do zdezynfekowania.

Rzeczywiście! Zerwała się z miejsca i wyjęła z szafki jodynę.

– Zgłosiłeś na policję? – zapytała, przemywając ranę.

Roześmiał się niewesoło.

– Na policję? Dajże spokój! Takie głupstwo? I co ty myślisz, że by go złapali?... Olaliby to, mają co dzień tysiące podobnych spraw. Szkoda zachodu. Gdyby jeszcze Jerzy... Nieważne. Jerzego już nie ma.

– Lekceważysz to – zaprotestowała – a jeśli to ma związek z... no wiesz, z tymi nocnymi telefonami?

– Z telefonami? Nie fantazuj! – Ciężko wstał w krzesła i wszedł do sypialni, by przebrać się w swój ulubiony wygodny dres, w którym zawsze chodził po domu. – To był zwyczajny gówniarski napad rabunkowy, nic więcej.

– Jesteś pewny? A jeśli... ktoś obserwuje nas, nasz dom?

– Ale po co? – pokręcił głową. – Bogaczami żadnymi nie jesteśmy. Niczego cennego nie mamy. Nie ma co dramatyzować. Pewnie jakiś naćpany szczeniak chciał mi buchnąć portfel albo telefon komórkowy. Nie udało mu się. Koniec kropka.

– A ty uważasz, że to nie był zwykły napad rabunkowy? – domyśla się Dorota.

– Nie wiem, co uważam! – wściekam się. – Po prostu ci mówię, jak było!

– Dobra, dobra! Uspokój się... Przecież tylko pytam. Ale nie wykluczałabym, że on ma rację. Teraz takie rzeczy zdarzają się na każdym kroku, trzeba uważać. Stawiam na zbieg okoliczności.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

– Rozumiem cię, kochana. Nie wpadnij tylko w manię prześladowczą. Było coś jeszcze, co cię niepokoi?

W pierwszej chwili chce zaprzeczyć, lecz nagle przypominam sobie o zdjęciu. Bez sensu, to na pewno nie ma związku, ale... skoro zapytała.

Z kolei Dorotę akurat to zainteresowało. Nic w tym dziwnego, od lat pracuje w archiwum miejskim, jest fanatyczką swojej pracy. Po bibliotekoznawstwie skończyła jeszcze zaocznie historię, a prywatnie pasjonuje się genealogią.

– Przejrzyj stare rodzinne albumy – radzi. – Może na coś wpadniesz, może znajdziesz podobne dziecko. Myślę, że to nie przypadek, Jerzy musiał mieć

jakiś powód. A przynajmniej zajmiesz czymś umysł...

Dwa dni później

Gdy tego dnia wraca z pracy, zapada wieczór. Musiała zostać dłużej, skatalogować nowe nabytki. Idzie pieszo, ma niedaleko. Już z ulicy widzi na podwórku samochód. Czyli Rafał jest w domu. Tak, pali się światło w kuchni. Czuje się rażniej. Przyjemniej wracać do domu, w którym ktoś czeka, krząta się, parzy kawę. Za chwilę dociera do furki, lecz...

Coś dziwnego dzieje się na podjeździe, tam gdzie stoi auto. Joanna widzi cień, słyszy jakieś szelesty.

– Rafał? To ty? – pyta w przestrzeń, usiłuje wypatrzeć coś w mroku przed sobą.

Oświetlenie zewnętrzne nie działa, jedynie nikła poświata, padająca z kuchennego okna, rozjaśnia teren wokół domu.

Nikt się nie odzywa.

Po chwili jednak znowu słyszy szelest. W krzakach po prawej... Ktoś tam jest. Kryje się?... Czyha na nią?...

Kobieta cofa się, po omacku szuka w torebce latarki – powinna być tu gdzieś taka mała zapalniczka z latarką – oraz telefonu komórkowego, by zadzwonić po męża. W tym samym momencie słyszy tupot nóg, po czym jakaś ciemna postać przeskakuje ogrodzenie i ucieka w stronę ulicy. Joanna nie ma czasu krzyknąć, za to odruchowo oświetla oddalającą się sylwetkę latarką, którą dosłownie w tej sekundzie wymacała na dnie torby. Głowę by dała, że...

– Maciek?! – woła. – Maciek!

Lecz uciekający człowiek nie zwalnia, nie odwraca się, znika za zakrętem uliczki. Dopiero teraz zapala się lampa na podwórzu, drzwi otwierają się gwałtownie, z domu wybiega mąż. Joanna mruży oczy, nagły blask dodaje otuchy, lecz i razi oczy.

– Co tu się działo? – pyta Rafał, jest zdezorientowany, rozgląda się niepewnie. – To ty krzyczałaś?

Po chwili rozlega się z oddali warkot motocykla...

Młody jeździ motorem.

– Dlaczego nie paliło się światło? – Joanna sama nie wie, czemu właśnie to pytanie, jako pierwsze, niczym wymówka, ciśnie jej się na usta.

– Przepraszam. – Mąż wzrusza ramionami. – Widocznie zapomniałem włączyć. Co się właściwie stało?

– To był Maciek...

– Maciek? Ale po co...

Rafał urywa, wpatruje się w samochód. Wzrok Joanny biegnie za jego spojrzeniem. Wszystkie opony są przedziurawione...

Wszystkie cztery opony! Ale dlaczego?... Po co?

– To nie mógł być Maciek! – upierał się Rafał. – Musiało ci się wydawać. Po co miałby zrobić nam coś takiego?

– Nie wiem. Ale to był on. Mówię ci.

– Zadzwońię do Iwony.

Rafał stanowczo wędruje do sypialni, gdzie stoi nasz stacjonarny telefon. Słyszę, jak wystukuje numer. Idę do łazienki. Myję ręce, szczotkuję włosy, nawet skrapiam się perfumami. Wszystko dla zachowania pozorów normalności. Tęsknię do niej. Gdy wracam, Rafał parzy już w kuchni kawę.

– I co?

– Nikt nie odbiera.

Przez najbliższe dni także nikt nie odbierał. Ja za to odebrałam w międzyczasie parę kolejnych głuchych telefonów, aż wreszcie skończyły się nagle, co wcale nie znaczy, że odzyskałam spokój.

W końcu dodzwoniłam się do Iwony na komórkę. Najpierw zapytała, czy jestem pewna, że to był Maciek, a potem się rozplakała.

– Przepraszam cię – jęknęła. – Wierzę ci. Coś się z nim dzieje. Nienawidzi całego świata, wszystkich obwinia za wypadek Jerzego...

– Nas obwinia?...

– Nawet mnie. Ale... on ma dopiero dziewiętnaście lat. Pogubił się. Wybacz, proszę. Naprawdę mi przykro. Oczywiście pokryję wszystkie koszty.

Powiedziałam jej, że mniejsza o koszty, ale żeby porozmawiała z synem, może nawet potrzebna będzie pomoc psychologa. Odparła, że oczywiście, że pomyśli o tym, i szybko zakończyła rozmowę.

Przyznaję, trochę mi ulżyło. Rozmowa z Iwoną przypomniała mi też o zdjęciu. Tylko gdzie ono teraz może być? Przejrzałam wszystkie szafki i szuflady, lecz nigdzie go nie znalazłam. Po godzinie beznadziejnego szukania zadzwoniłam do męża i zapytałam, gdzie je schował. Zdziwił się.

– Po co ci ono?

– Dorota poradziła mi porównać je ze zdjęciami z albumów rodzinnych po dziadkach. Może to dobry pomysł, co mi szkodzi sprawdzić? Ono musi mieć przecież jakieś znaczenie. A przy okazji zajmę się czymś, bo wiesz...

– Tak, wiem. Rozumiem, oczywiście. Poszperać w albumach zawsze warto. Tylko nie mogę sobie przypomnieć, gdzie je schowałem... Zaraz... Wiesz co, a poszukaj może w książkach nad barkiem? Mogłem włożyć w którąś z nich, tak mi się jakoś kojarzy.

No tak, pomyślałam sobie, odkładając słuchawkę, dobrze powiedzieć. Mamy mnóstwo książek.

Znalazłam je po kolejnej godzinie. Było wsunięte do starego atlasu świata, leżącego w stercie na samej górze regału. Zaraz też wygrzebałam na strychu stare albumy fotograficzne. Było tego trochę, większość jeszcze po dziadkach, bo rodzice przywiązywali do zdjęć mniejszą wagę, zresztą ich zbiory od razu odłożyłam na bok: nie ta epoka.

Z zainteresowaniem oglądałam stare fotografie w naturalnym kolorze sepii: babcia i dziadek jako dzieci, w osobnych albumach, jeszcze z kresów. Potem już ich wspólne zdjęcia: ślubne, następnie z dziećmi – moją mamą i jej młodszym o rok braciszkiem, który umarł podczas wojny na zapalenie płuc. I nowsze fotki: dziadkowie jako starsi ludzie, tacy, jakimi ich pamiętałam. Wiecznie zatroskana babcia, w swojej nieśmiertelnej chustce na głowie, o którą córka – czyli moja matka – cały czas suszyła jej głowę. I dziadek: wysoki, chudy, ponury. Surowy stary człowiek z zasadami. Nie zdążyłam go ani dobrze poznać, ani tym bardziej pokochać: zmarł, kiedy byłam małą dziewczynką. Pamiętam, że mama wciąż miała o coś do dziadków pretensje:

o ich wschodni akcent – nie znosiła tego charakterystycznego zaśpiewu – do babki o tę nieszczęsną chustkę, z dziadkiem natomiast prawie w ogóle nie rozmawiała. Cały czas utrzymywała dystans. Nawet kiedy już umarł, nie wyrażała się o nim zbyt ciepło. Nie znam powodów, ale myślę, że może trochę się ich wstydziła.

Stare dzieje.

Lecz dziecka, podobnego do chłopca z tajemniczej fotografii, nie znalazłam. Za to, przyglądając się jej, zauważyłam na odwrocie coś, co wcześniej nam umknęło. Pieczętka. Trochę słabo czytelna, odbita jakby resztką tuszu, ale udało mi się rozszyfrować napis: *prof. Antoni Zieliński archiwum prywatne*. Znałam to nazwisko, chyba z jakichś publikacji, choć nie byłam pewna. Jednak gdy wpisałam je w wyszukiwarkę internetową, znalazłam mnóstwo odnośników. Historyk, emerytowany profesor naszego uniwersytetu. Sporo prac naukowych oraz popularnonaukowych, większość dotycząca drugiej wojny światowej oraz czasów powojennych, a przede wszystkim historii Pomorza i regionu gdańskiego. Z pewnością przynajmniej część z nich mamy w naszej bibliotece, stąd kojarzyłam nazwisko.

Dzwonię do sekretariatu wydziału historycznego. Tłumacząc, że pracuję w bibliotece, przypadkiem jestem w posiadaniu materiałów z prywatnego archiwum profesora i chciałabym mu je zwrócić. Słyszę wahanie w głosie sekretarki, po czym wyjaśnia mi, że profesor Zieliński nie żyje od roku. Może ewentualnie podać mi numer telefonu komórkowego jego córki, do czego jest upoważniona. A decyzja w sprawie mienia po profesorze i tak należeć będzie do spadkobierców. Notuję numer i natychmiast dzwonię. W słuchawce słyszę miły spokojny głos. Umawiamy się za półtorej godziny w kafeerii w pobliżu uniwerku. Mam niewiele czasu. Samochód jak zwykle zabrał Rafał, ponieważ to on dojeżdża nim do pracy, pędzę więc do autobusu. Dojadę do centrum Gdańska, a dalej już kolejką. Może w drodze powrotnej uda mi się złapać Rafała, to przynajmniej wrócimy razem...

– Więc pani nic nie wie... – Wysoka blondynka w okularach podnosi do ust filiżankę z kawą, przyglądając mi się badawczo. – Ojciec zginął tragicznie, nie zdążył zamknąć swoich spraw. Został zamordowany.

Serce bije mi szybko.

– Zamordowany?...

Kiwa głową, a choć po jej twarzy przebiega szybki skurcz, nie traci kontroli nad sobą, zachowuje spokój. Czuję instynktowną sympatię do tej powściągliwej kobiety. I ogromne współczucie.

– Tak – mówi. – A sprawę prowadził właśnie komisarz Jerzy Dębski. Pani przyjaciel.

– Który też już nie żyje...

– Właśnie. Jakby jakieś fatum, prawda? – Ogląda zdjęcie z jednej i drugiej strony. – Ale ta fotografia nic mi niestety nie mówi. Wiem tylko, że ojciec pracował nad czymś, co pochłaniało go bez reszty. Nie chciał nam niczego przedwcześnie zdradzić, żeby nie zapeszyć. Był przesądny – uśmiecha się ze smutkiem. – No i już nie zdążył. Znalaziono go martwego we własnym mieszkaniu. Przyjęto, że było to zabójstwo na tle rabunkowym, choć nie wiadomo, czy coś zginęło. Nigdy nie potrafiliśmy rozeznaczyć się w tych stosach papierzysk, które tata trzymał u siebie w domu. – Głos tylko lekko jej zadrżał.

– Przepraszam – wtrąciłam – nie chciałabym być natrętna, ale powiedziała pani „nam”. Czy... czy profesor miał jeszcze inną rodzinę, może żonę?

– Syna. – Wzrok jej spochmurniał, przestraszyłam się nawet, że może jednak poczuła się obrażona. – Mam starszego brata. Ale jego nic w zasadzie nie obchodzi. To... taki typ człowieka.

– Aha. – Kiwnęłam głową, choć nic z tego nie zrozumiałam. Lecz po chwili poczułam determinację i zebrałam się na odwagę. W końcu po to tu przyjechałam: – Czy pani mieszka w mieszkaniu ojca? To znaczy, czy mogłabym...

– Nie. – Energicznie pokręciła głową. – Niestety, przykro mi. To już powiem pani wszystko, bo inaczej pani tego nie pojmie. Mieszkanie po ojcu należy teraz do mojego brata. A to nie jest zbyt sympatyczny człowiek. Nie sądzę, by chciała pani z nim rozmawiać. Zresztą pewnie i tak by pani nie wpuścił. O ile w ogóle tam mieszka. Sama nigdy nie wiem, gdzie on w danej chwili przebywa... czy przypadkiem nie w areszcie. Szczerze mówiąc, ojciec miał z nim krzyż pański i kto wie, czy to właśnie nie jego brudne sprawy

wpędziły go do grobu. Dosłownie, nie w przenośni. Ten wątek także brano pod uwagę w trakcie śledztwa. Przepraszam, że mówię pani takie okropne rzeczy, to sprawy rodzinne, ale... proszę się nie gniewać. Mój braciszek, Roman, to czarna owca. A raczej, mówiąc wprost: niebieski ptak.

– Przykro mi...

– Ale nie ma czego żałować, w mieszkaniu po ojcu nic prócz kilku sztuk mebli nie zostało. Całe archiwum taty, gdy już wróciło z policji, przekazałam bibliotece uniwersyteckiej. Pani jest bibliotekarką, więc dotrze pani do tych materiałów bez kłopotu. Zresztą jutro z rana, bo dziś już za późno, zadzwonię tam i uprzedzę, żeby je dla pani przygotowali. A to zdjęcie proszę sobie zatrzymać. Nikomu chyba od tego nie ubędzie, zresztą tata robił zawsze kilka kopii wszystkich dokumentów, nad którymi pracował.

Wychodząc z kafeterii, byłam tak skołowana, że zderzyłam się w drzwiach z młodą czarnowłosą kobietą, która obrzuciła mnie zniesmaczonym spojrzeniem.

Trudno.

Wracając do domu razem z Rafałem – bo udało mu się zgarnąć mnie po drodze – obgadaliśmy w samochodzie całą tę rozmowę. Byłam podniecona, on trochę mnie gasił:

– Przecież właściwie niczego konkretnego się nie dowiedziałaś. Babka wyprała tylko przed tobą brudy rodzinne.

– Ale może dowiem się czegoś jutro z tych materiałów – nie traciłam zapachu. – No i wiemy już, że profesor został zamordowany. Okropność. Nic o tym wcześniej nie słyszałam, ale tyle teraz tej przemocy dookoła, że zbrodnia stała się chlebem powszednim. Mam tylko nadzieję, że to bez związku z naszą sprawą...

Żachnął się.

– Ale kochanie, z jaką sprawą? Nawet nie wiemy, czy w ogóle jest jakaś sprawa, którą w dodatku można nazwać „naszą”. A profesora załatwił pewnie jego syneczek kryminalista. Jeśli nie on osobiście, to jego kumple. Założę się, że dla forsy.

– Nie wiem. Już by go przecież zgarnęli, gdyby to było takie oczywiste. No i jedno nie daje mi spokoju: co w tym wszystkim robił Jerzy?

– Jak to co? – Rafał obruszył się za przyjaciela. – Przecież słyszałaś: prowadził śledztwo! Jerzy był gliną. Co cię tak dziwi?

– I dlatego zdjęcie z prywatnego archiwum profesora znalazło się w jego posiadaniu? I co ono niby ma wspólnego z nami? Czyli jednak musi być jakiś związek...

Rafał nie był przekonany.

– To może być czysty przypadek. Nie obiecuj sobie zbyt wiele. No, to jesteśmy w domu... Teraz prysznic, kawa, kolacja, uff, jak dobrze!

Grzebałam w torebce w poszukiwaniu kluczy, kiedy...

– A to co znowu? – usłyszałam zdziwiony głos męża.

– Co?

Na parapecie kuchennego okna leżała czerwona róża. Koniec łodygi owinięty był w wygniecioną kartkę z notesu, na której nabazgrano wielkimi, niezgrabnymi kulfonami: „Od Maćka”.

Rafał brał prysznic, a ja usiadłam w sypialni przed telewizorem, kiedy usłyszałam kroki za oknem. Zobaczyłam też krótkie, żółtawe rozbłyski światła, jakby ktoś ukradkiem przyświecał sobie latarką.

– Rafał! – zawołałam zduszonym głosem, stukając w drzwi łazienki. – Znowu!

Wyskoczył migiem, owinięty tylko ręcznikiem kąpielowym.

– Co jest?!

– Ktoś tu chodzi! Świeci latarką!

– Kur... – warknął wściekły, w pośpiechu zakładając spodnie. – Jeśli to znowu ten cholerny gówniarz, to jak ja go wreszcie dorwę, to mu nogi z dupy powyrywam!

Różę już wcześniej połamał i wyrzucił, wrzeszcząc, że lepiej by koszty szkody pokryli, zamiast głupie kwiatki podrzucać.

Tymczasem za oknem znowu usłyszeliśmy szuranie.

– Czekać! Nie zapalaj światła! – syknął Rafał, gdy odruchowo sięgnęłam do kuchennego wyłącznika. – Niech myśli, że śpimy albo że nas nie ma. Już ja go

dopadnę!

Uzbrojony w pogrzebacz, szarpnął gwałtownie drzwi i wypadł na podwórze. Dobiegł mnie tupot i za chwilę zduszone okrzyki. Nie mogłam beczynn timer czekać, złapałam latarkę i wyleciałam za nim. Zaraz za rogiem domu, obok bramy, zobaczyłam dwie kotłujące się w mroku sylwetki.

– Co pan tu robi, do cholery?! – usłyszałam zdyszany głos męża.

– Jo chciał ino sprawdzić, bo tu ktoś ciągle łązi koło was, jednego gnojka to jo już dzisiaj pognał, a tera zdawało mnie się, że znowu łąził...

– Kto tam? – włączyłam się.

– Sąsiad – odpowiedział mi Rafał, puszczając intruza.

– Jo ino chciał pomóc – upierał się tamten, sapiąc głośno.

Już wiedziałam, który to sąsiad. „Niemiec” na niego mówili. Jeden z nielicznych „autochtonów”, jak ich tu nazywaliśmy. Jego rodzina, jak wiele innych, trafiła zaraz po wojnie do sowieckiego łagru, wrócili w latach pięćdziesiątych i udało im się osiąść na powrót na starych śmieciach. Dziwny był z niego człowiek, ponury, milczący, trzymający się zawsze na uboczu. Osobiście nic do niego nie miałam, ale moja babka oraz rodzice nie lubili tej rodziny, zresztą mało kto ich tutaj lubił. W każdym razie zaufania do tego starego nie miałam...

Niedobrze czułam się teraz we własnym domu. Dom – to takie magiczne miejsce, gdzie człowiek ma się czuć bezpiecznie. Jak w kokonie. Jak pod kłosem. A ja już straciłam to kojące poczucie bezpieczeństwa, szczególnie gdy zostawałam tutaj sama. Nie mieliśmy psa ani kota, które zapewne dodałyby mi otuchy podczas nieobecności męża. Rafał nie przepadał za dziećmi i zwierzakami. Uważał, że stanowią zbyt duże moralne obciążenie, a my mamy prawo do spokojnego życia, bez odpowiedzialności za innych. I choć nie podzielałam jego zdania – szanowałam je.

Dlatego też z ulgą opuściłam dom, by pojechać do biblioteki uniwersyteckiej, gdzie już czekały na mnie przygotowane materiały. Jednak Rafał miał rację, doradzając, bym nie obiecywała sobie po nich zbyt wiele. Choć same w sobie ciekawe, nie znalazłam w nich nic, co pomogłoby mi wyjaśnić zagadkę dziecka z tajemniczej fotografii. Czułam narastającą

frustrację, lecz brakowało mi pomysłów. Wpatrywałam się bezmyślnie w zdjęcie, w chmurną chłopięcą buzię, tak, jakbym siłą woli mogła zmusić go, by przemówił. Kim jesteś, dziecko? Co masz mi do przekazania?...

I nagle mnie olśniło. Dorota. Archiwum państwowe! Zakładając, że rzecz dotyczy naszego regionu, a wszystko na to wskazuje, to gdzież, jeśli nie tam, może kryć się odpowiedź na moje pytania? Mam przecież nazwisko...

Pospiesznie wystukałam numer Doroty.

Parę godzin później

Gdy nareszcie wyszła z archiwum, na jej bladej twarzy malowała się konsternacja, a może nawet oszołomienie. Drżała. Szczelniej otuliła się płaszczem, jakby raptem zrobiło się zimniej. Już wiedziała. Nawet jeśli jeszcze nie ogarniała tego umysłem – wiedziała. To tylko kwestia czasu, zanim wszystko zrozumie...

Głęboko zamyślona, szła w stronę dworca autobusowego. Nie wiedziała, że ktoś śledzi każdy jej krok.

Nie rozumiałam. Nie, niczego nie rozumiałam, to przecież jakiś złośliwy żart, absurd, koszmar. I co to ma wspólnego ze mną? Co z tym robić? Co *ja* mam teraz zrobić? To kompletny absurd, kompletny...

W zatłoczonym autobusie emocje trochę ze mnie opadły. W tłumie ludzi, rozgrzanych, sennych, rozmawiających przez telefony komórkowe wszystko, co odkryłam, wydało mi się nierealne, pozbawione sensu i logiki. Świat jest przecież zwyczajny, ludzie żyją normalnie, każdy ma swoje sprawy, wszyscy podobne: dom, szkoła, praca, wypłata, zakupy...

Idąc od przystanku, już z ulicy dojrzałam na podwórku samochód oraz światło w kuchennym oknie. Czyli Rafał jest w domu. To dobrze.

– Dawno wróciłeś?

– Dość dawno – krzątał się w kuchni, parzył herbatę, wycierał filiżanki, wszystko jak zwykle, wszystko normalnie: zwyczajne życie. Reszta to absurd, totalny absurd. – I jak ci poszło?

– Z czym?

– Dowiedziałaś się, kim jest dzieciak ze zdjęcia?

Zesztywniałam.

– Tak. Dowiedziałam się.

Odstawił filiżanki na blat i wytarł ręce w kuchenny ręcznik, zanim za mnie spojrzął. Jego wzrok nie wyrażał niczego.

– Więc?

– Chłopiec ze zdjęcia, Helmut Krahl, zmienił nazwisko w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku. Potem nazywał się... nazywał się... Przyjął nowe nazwisko. Polskie. Moje. To znaczy nasze. Twoje nazwisko, Rafał...

Huk, krew, krzyk, lament. Strach, paralizujący ciało i myśli. Koszmar wciąż na nowo powracający w snach... Nienawiść.

– I jakie wyciągnęłaś wnioski?

– Nie wiem. Ty mi powiedz – odparła, mierząc go chłodnym spojrzeniem. – Powiedz, o co w tym wszystkim chodzi.

– Nie domyślasz się?

– Może i tak. Ale chcę, żebyś sam mi wszystko powiedział. Jesteś mi to winien, jesteś mi winien wyjaśnienie...

Wyjaśnienie. Chcesz wyjaśnienia? Dostaniesz je. Owszem, należy ci się. Zanim zakończę sprawę tak, jak sobie zaplanowałem.

To się zaczęło dawno temu. Pod sam koniec wojny. Na te tereny napływała wówczas ludność cywilna, przede wszystkim ta wysiedlona z kresów. Potrzebowali domów, miejsca do nowego życia. Zwożono ich tu całymi grupami. Wiesz o tym, bo należała do niej między innymi twoja rodzina...

Różni przybywali: ciemni i wykształceni, dobrzy i źli, wśród nich także szumowiny, kryminaliści, najróżniejsza swolocz. Ale w większości byli to po prostu zwyczajni ludzie, tyle że ogłupieni przez propagandę. Łatwo było w tamtych czasach ogłupić ludzi, dać im broń do ręki i wsączyć jad w serca. A przy okazji cudzymi rękami załatwić niewygodną sprawę. Podarowano im

więc bezkarność. Wówczas, na jedną chwilę, stali się bogami, panami życia i śmierci...

Z drugiej strony na wsiach pozostała jeszcze spora część ludności autochtonicznej: niemieckiej i kaszubskiej. To była ta niewygodna sprawa. Całe rodziny, które, niczemu przecież winne, chciały pozostać w swoich domach. Byli to głównie starcy, kobiety i dzieci, bo mężczyźni, wcielonych przymusowo do Wehrmachtu, wybito na wojnie lub zatrzymano w obozach jenieckich. Z miast już się Niemców pozbyto, większość sama zdążyła uciec. Na wsi sytuacja była inna. I wcale nie dotyczyła wyłącznie Niemców. Nawet rodziny kaszubskie, które od wieków identyfikowały się z Polską i walczyły o polskość na tych terenach, nie były bezpieczne, jeśli nosiły niemiecko brzmiące nazwiska...

Ale ty przecież znasz te sprawy? Wykształcona jesteś, czytana. Twoja przyjaciółka z archiwum, pani historyk, także musiała cię uświadomić, kiedy już rozszyfrowałyście tożsamość dziecka z fotografii. Kiedy dostałem od ciebie esemesa, że jedziesz do archiwum, od razu wiedziałem, że wszystko zrozumiesz. Przejdę więc teraz do mojej osobistej historii. Do historii mojego domu i mojej rodziny...

Huk, krew, krzyk, lament. Strach, paraliżujący ciało i myśli. Koszmar wciąż na nowo powracający w snach... Nienawiść. Kolbami karabinu wyganiają ich z własnego domu, biją, szydzą, wyzywiają. Matka osłania swoje jedyne dziecko, starzec, jej ojciec, usiłuje osłonić ich oboje. Dostaje kopniaka prosto w brzuch, zwija się z bólu u stóp córki. A oni dalej go kopią. Won, swolocz, Deutsche Schweine, słyszą szydercze okrzyki, po których następują głośnie wybuchy śmiechu. Napastnicy śmierzdzą samogonem i potem, w ich oczach widać tylko okrucieństwo i nienawiść. A przecież to tylko zwykli ludzie, są wśród nich i kobiety, i nawet dzieci. Mała dziewczynka patrzy na to wszystko oczami jak spodki, lecz po chwili ona też zaczyna się śmiać. Widocznie dla niej to zabawa, skoro dorośli się cieszą. Niemka prosi o litość, ale... prosi po niemiecku, co tylko rozjusza przeciwnika, młodego mężczyznę w brudnej wojskowej kurtce, zdartej pewnie z jakiegoś trupa. Kobieta otrzymuje kopniaka w twarz, ociera krew z ust, w jej oczach błyska determinacja. Rzuca się na mężczyznę z gołymi pięściami. Ten odpycha ją, wymierza

kolejnego kopniaka, ona zatacza się do tyłu... Mein Gott, Mein Gott – błaga niebo o pomoc, lecz niebo jest puste; on odbezpiecza karabin...

Dziewczynka przestaje się wreszcie śmiać, jej oczy robią się coraz większe, krzywi buzię w podkówkę. Towarzyszka mężczyzny łapie go za rękaw kurtki, coś mu klaruje, lecz on odpycha także i ją.... To nie ludzie, to bandyci, szkopscy bandyci, krzyczy i...

I strzela...

Huk, krew, krzyk, lament.

Dwa ciała nieruchomieją w kałuży krwi.

Z niemieckiej rodziny tylko dziecko ocalało, bo w panującym zamieszaniu wyrwało się i uciekło do lasu. Mały chłopiec...

– Twój ojciec – powiedziała.

– Tak. Mój ojciec.

– Niewiele mi o nim opowiadałeś.

– Niewiele było do opowiadania. – Wzruszył ramionami. – Złamano mu życie. Miał tylko dziesięć lat. Złapali go w tym lesie, trafił do polskiego sierocińca. Tam też nie oszczędzano „niemieckiego bachora”. Nawet nie mówił po polsku. Możesz sobie wyobrazić, przez co przeszedł, jak traktowali go inni wychowankowie. Opuścił sierociniec w wieku osiemnastu lat ze skrzywionym charakterem. Zmienił nazwisko na polskie, żeby móc tutaj żyć. I mścić się. Nie zdążył, bo zgnął w więzieniu. Ale, na szczęście czy nieszczęście, zdążył spłodzić syna.

– Zatrął ci umysł.

– To ty masz... zatrutą krew.

– Ja? A co ja mam do tego?

– Jeszcze się nie domyślasz? Czy nie chcesz się domyślić?... Ten młody mężczyzna, strzelający do bezbronnych ludzi, to był twój rodzony dziadek. Śmiejąca się dziewczynka to twoja matka. Ten dom to tamten dom. Mój dom.

– Nie, to nieprawda!

– To jest prawda. I ty o tym wiesz.

Zakręciło jej się w głowie. Przymknęła na chwilę oczy. Wiedziała. Tak, wiedziała.

– Nie myśmy zaczęli tę wojnę. Powinieneś spojrzeć na całokształt, a nie wyłącznie na wyrwane z kontekstu fragmenty historii. To Polacy byli jej ofiarami, nie Niemcy – odezwała się w końcu, siląc się na spokój.

– Wszyscy jesteście jej ofiarami – odparł. – Politycy wszczynają wojny, a zwykli ludzie za to płacą.

– I co teraz? Chcesz mnie zabić?

To miał być tylko gorzki żart. Wtedy w to jeszcze nie wierzyła. Dopóki nie usłyszała odpowiedzi:

– Od dziecka. Nienawidziłem cię. Obserwowałem latami, jak cieszysz się *moim* domem, dobrze odżywiona krwią moich najbliższych. Podczas gdy ja tułałem się po placówkach państwowych, tak samo jak mój ojciec. Ożeniłem się z tobą po to, żeby spieprzyć ci życie, a w sprzyjającym momencie cię załatwić. I odzyskać, co moje. Ten piękny moment właśnie nadszedł, choć – prawdę mówiąc – przez tych wszystkich frajerów nieco szybciej, niż planowałem.

I już wiedziała, że to nie żarty.

– Kto cię wtedy napadł? – zadała mu pierwsze pytanie, które przyszło jej w tym momencie do głowy. Nie zastanawiała się, czy rzeczywiście chce to wiedzieć. Wisiało jej, kto go napadł, chciała tylko zyskać na czasie.

Wzruszył ramionami, jakby lekko zdziwiony.

– Napadł?... Aha, wtedy! – zachichotał. – A nikt. Całkowitym przypadkiem wyróżnałem o kant szafki w szatni i postanowiłem ten niemiły fakt z pożytkiem wykorzystać na twój użytek. Udało mi się?

– Zabiłeś Jerzego? I profesora? Weszli ci w paradę?

– A jak myślisz? Sądzisz, że w tej sytuacji zależało mi na rozgłosie?

Uśmiechnął się. To był przerażająco zimny uśmiech. Zmroził jej serce.

Zmroził mi serce, dlatego przeżyłam.

Kiedy rzucił się na mnie, uciekłam na górę, na podest, z którego wchodził się na strych. Planowaliśmy jego adaptację, ale... już nie będzie adaptacji. Zamierzałam zaryglować wejście i uciekać przez okno poddasza. Prowadziło na dach ganku, stamtąd byłoby już łatwo zeskoczyć. Nie zdążyłam, był szybszy ode mnie. A może po prostu przewidział mój krok?

Nie wiem.

Na tym podeście stoczyłam swoją walkę na śmierć i życie. Człowiek, którego kochałam, któremu ufałam najbardziej na świecie, usiłował zepchnąć mnie ze schodów. Schody są stare: wysokie i strome. Broniłam się jak umiałam, wczepiona w poręcz, kopałam i gryzłam. On się śmiał.

– Jak cię znam, to najpierw zejdziesz na serce, zanim jeszcze zlecisz z tych schodów i złamiesz sobie kark, ty dziwko zza Buga – szeptał mi szyderczo do ucha.

Wiedział, że od dziecka choruję na niewydolność serca. Lecz się przeliczył. Moje serce było zmrożone, zmieniło się w lodowy sopel. Niczego nie czułam – poza wolą przetrwania. On nie może wygrać. Nie jestem niczemu winna. Nie ja strzelałam do tamtych ludzi. Nie ja ponoszę za to odpowiedzialność...

Zaczęłam krzyczeć. Ile sił w płucach.

I nagle...

Nagle usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Drgnął, odruchowo odwrócił się, kątem oka dostrzegł czyjąś sylwetkę, wbiegającą do holu... I wtedy poczuł silny cios w pachwinę. Zakręciło mu się w głowie. Jęknął, lecz jego umysł już tego nie zarejestrował, gdyż w tym samym momencie stracił równowagę i poleciał jak kamień, koziółkując, w dół schodów.

Zanim kopnęłam go w krocze, nie dotarło do mnie jeszcze, komu zawdzięczam ratunek. Dopiero po chwili rozpoznałam swojego wybawcę. To był sąsiad. Ten, za którego nie dałabym złamanego grosza: „Niemiec”.

– Pani cała? – wysapał. – Szczęście, że m was obserwował. Tak mi się zdało, że kto na sąsiadki życie dybie. Ale m na to nie wpadł, że to będzie on. Jakaś zdzira jemu pomagała. Zmówieni być musieli. Młoda, czarna. Łaziła tu w kole domu niejeden raz...

Zdzira? Młoda? Pewnie jedna z tych jego sportsmenek z treningów. Przypomniały mi się te wszystkie głuche telefony i inne dziwne zdarzenia. Rzeczywiście, musiał mieć współnika. Czyli współniczkę. Pewnie miała z nim tutaj szczęśliwie zamieszkać po mojej tragicznej śmierci...

Wszystkie siły ze mnie opadły, usiadłam ciężko na schodach.

– Co z nim?

Stary pochylił się nad nieruchomym ciałem i trącił je nogą.
– Denat – odparł z satysfakcją.

Po wszystkim

Wtedy już postanowiłam, że sprzedam dom. Straciłam rodzinę, przeszłość, wspomnienia. Wszystko szlag trafił. Nie mogę udawać, że nic się nie stało. Dom cuchnął krwią, a całe moje dotychczasowe życie okazało się iluzją. Czasem się zastanawiam, czy śmierć moich rodziców to rzeczywiście był wypadek... Dość tego. Chcę się odciąć. Sprzedam tę przeklętą chałupę i zacznę wszystko od nowa, wyłącznie na własny rachunek. Mówi się: co nas nie zabije, to nas wzmocni.

Mnie nie zabiło.

PRZEKLĘTY

I

Jak dziki zwierzę przyszło Nieszczęście do człowieka

I zatopiło weń fatalne oczy...

– Czekaj –

Czy człowiek zboczy?

II

Lecz on odejrział mu – jak gdy artysta

Mierzy swojego kształt modelu –

I spostrzegło, że on patrzy – co? skorzysta

Na swym nieprzyjacielu:

I zachwiało się całą postaci wagą

– I nie ma go!

Cyprian Kamil Norwid, *Fatum*

*Jestem Przeklęty. Noszę w sobie strach, ból i lzy wielu istnień. Niosę
przekleństwo i śmierć. To ciężkie brzemię, ale narodziłem się razem z nim.*

*Jestem przeklęty, bo przeklął mnie sam stwórca. Mój stwórca. Był moją
pierwszą ofiarą...*

Danzig – Gdańsk, wcześniej, marzec

Pewnego chmurnego marcowego dnia, dobrze pod wieczór, jubiler i bursztyniarz Achim Fischer z dumą oglądał swoje dzieło w pracowni za sklepem na Frauengasse. Pierścień był piękny. Wyjątkowo piękny. Był

arcydzielem. Nigdy dotąd nie udało mu się stworzyć równie urodziwego cacka. Może przyniesie mu ono nareszcie upragniony dostatek. Jego wyroby nie miały w rodzinnym Wolnym Mieście – ani nigdzie – wielkiego wzięcia, nie były w modzie, nie trafiały do bogaczy. Kupowały je co najwyżej pensjonarki na wywczasach, najczęściej dla bursztynu. Błyskotki były tanie i nie wyróżniały się niczym szczególnym. Tym razem jednak udało mu się powołać do życia małe dzieło sztuki. Włożył weń wiele wysiłku, by nie zmarnować materiału, jaki udało mu się zdobyć, skupując biżuterię skonfiskowaną Żydom, Polakom i Kaszubom, tym najbardziej butnym i zagrażającym porządkowi ustanowionemu w mieście przez władze Wielkiej Rzeszy. Wiedział, co stało się z tymi ludźmi. Wiedział, że część z nich ginęła na miejscu, gdzieś w okolicznych lasach albo żwirowniach: zastrzelona, dobijana kolbami karabinów, część trafiła do katowni Gestapo, inni zostali wywiezieni w nieznanym kierunku – nieznanym, choć kto chciał, ten wiedział, że w kierunku Stutthofu. Fischer to wiedział, ponieważ cenny kruszec dostarczał mu jego krewny, oficer Gestapo, w marcu czterdziestego pierwszego, już po utworzeniu volkslisty. Nie obchodziło go to. Nie wnikał w takie sprawy. Czasy się zmieniły. Był niemieckim rzemieślnikiem, lojalnym niemieckim obywatelem. Grunt, że miał okazję tanio nabyć złoto i srebro, bez którego nie mógłby pracować i wykarmić szóstki dzieciaków. Niektóre wyroby sprzedał od razu spod lady lokalnej elicie. Te najcenniejsze, stare, rodowe. Z przetopionego srebra zrobił serię pierścionków z bursztynowym oczkiem, wciąż licząc na niemieckie panny z wyższych sfer, które z pewnością, mimo wojennej zawieruchy, jak dawniej będą przyjeżdżać z rodzicami nad zimne morze. Resztę też przetopił: złoto i platyna będzie zabezpieczeniem w sytuacjach kryzysowych, przecież czasy nastały ciężkie. Kamienie można wyprzedać osobno. Z uzyskanego kruszcu tworzył swój pierścień, dzieło życia. Powoli, całymi miesiącami go doskonalił, dopieszczał, ozdabiał misternymi filigranami, koronkowymi dodatkami, dawał mu życie. Zwieńczył krwawym rubinem, wyjętym z pierścionka ślubnego jakiejś Żydówki i otoczył małymi brylantami z naszyjnika innej kobiety. Aż w końcu był gotowy. Teraz

przyglądał mu się z nabożeństwem, jak co dzień, tuż po zamknięciu sklepu. Ukradkiem. Nie chciał się nim dzielić z nikim. Jeszcze nie...

Tego klienta jednak nie przewidział. Gość przyszedł spóźniony, stukając laską w okno wystawowe sklepiku. Rozkazująco, niecierpliwie. Wystraszony jubiler natychmiast otworzył, rozpoznając ważną personę. Nie zdążył schować pierścienia, a ten od pierwszego rzutu oka wzbudził pożądanie dygnitarza. Nie było mowy, by odmówić sprzedaży, klient bowiem życzył go sobie z okazji swoich zaręczyn. Natychmiast, bo narzeczona czeka. *Schneller, schneller! Ich habe keine Zeit!* Na szczęście zapłacił godziwą sumkę. I poszedł, unosząc skarb Fischera w kieszeni palta.

Skonsternowany jubiler nie był pewien, co czuje. Wściekłość? Upokorzenie? Dumę? Strach? Rozczarowanie...? Może wszystkie te emocje naraz? Być może zastanawiałby się nad tym dłużej, gdyby nagły skurcz serca nie pozbawił go wszelkiej myśli, a w jego głowie nie zapadła ciemność, rozświetlona jedynie na koniec blaskiem złota, które zajmowało w niej zawsze najwięcej miejsca...

Gdańsk, 28 marca 1945 roku, wigilia Wielkiego Czwartku

Trwał Wielki Tydzień. Miasto płonęło, zewsząd słychać było strzały, warkot pojazdów oraz dzikie wrzaski pijanych rosyjskich żołdaków. Gdańszczanie, którzy – korzystając z prawa azylu – schronili się w kościele św. Józefa, przez całą noc modlili się i śpiewali wraz ze swym proboszczem, drżąc ze strachu. Nie opuszczała ich jednak nadzieja. Każdy trzyma się życia kurczowo, nikt do końca nie wierzy, że umrze. Oni też nie wierzyli. Mieli nadzieję, że koszmar się skończy. Choć niemal wszyscy – około setki osób – byli Niemcami, jednak przecież cywilami. Zwykłymi ludźmi. Nikogo nie skrzywdzili, wielu nienawidziło Hitlera, wcale nie chcieli tej wojny. Może nie rozstrzelają, tylko wezmą do niewoli? Musieli wierzyć, modlili się przecież...

Nad ranem nastała cisza. Czyżby dobry Bóg wysłuchał próśb? Rosjanie pojechali dalej? Co odważniejsi, z proboszczem i wikariuszem na czele, odważyli się opuścić kościół, jednak drogę zagroził im sowiecki żołnierz z karabinem. Po chwili dołączył do niego drugi żołdat, który skonfiskował ludziom zegarki. Dookoła stały auta, wozy opancerzone, kręciło się mnóstwo rosyjskich żołnierzy, przybywali nowi – wciąż więcej i więcej. Najwyraźniej od pewnego czasu świętowali swoje zwycięstwo, bo część była już mocno pijana.

Grupka przerażonych ludzi wciąż liczyła na cud. Drżąc, z wiarą czekali na swój los. Doczekali się.

Pijani żołnierze zapędzili ich z powrotem do kościoła i na probostwo. Dobrze się bawili, szarpiąc, wrzeszcząc i rechocząc im w twarz.

Co wtedy myśleli? Nadal się ludzili. Może odbiorą im resztę kosztowności, spiszą i wypuszczą, w najgorszym wypadku wywiozą do jakiegoś obozu... To wszystko nic, byle przeżyć. Mieli ze sobą dzieci, Rosjanie podobno lubią dzieci. Wojna przecież się kończy.

Niektórzy próbowali uciekać, wydostać się, jednak nie pozwolili im na to żołdacy, grożąc bronią. Jednej kobiecie udało się wybiec z kościoła. Rozległ się strzał, padła martwa. Nikt więcej się nie ośmielił. Znowu czekali. Żołnierze wtoczyli do środka beczki: jedną do kościoła, drugą na probostwo. Rozszedł się smród benzyny.

I już wiedzieli.

Wybuchła panika, ludzie płakali, krzyczeli, błagali o litość. Nie było litości. Pijany żołnierz podłożył ogień. Zamknięto drzwi...

Wyratowali się tylko proboszcz i wikary; kazał ich wypuścić rosyjski oficer, który właśnie nadjechał. Dla pozostałych było już za późno. Kościół płonął. Około setki zamkniętych w nim ludzi – również płonęło żywcem. Co z tego, że oficer natychmiast zastrzelił podchmielonego żołdaka, który zamknął drzwi płonącego budynku?

Za późno.

Za późno...

Gdy następnego dnia księża wrócili na plebanię, zastali tylko zgłiszczą: spalony do cna kościół, swoje probostwo, sąsiednie ulice. I ludzkie popioły.

W tamtych koszmarnych dniach płonęło wszystko: kamienice, kościoły, zabytkowe budynki. Odwieczne miasto dogorywało w płomieniach.

Jednak jeszcze jednej osobie udało się wyrwać z tego piekła. Młoda ciężarna kobieta, już wdowa – choć o tym nie wiedziała – a wcześniej małżonka wysokiego urzędnika administracyjnego Rzeszy w Gdańsku, miała szczęście. Gdy pozostali rozpaczali i błagali o zmiłowanie, ona siedziała skulona i zrezygnowana na kamiennej posadzce, w pobliżu bocznych drzwi kościoła. Miała skurcze, jednak nie myślała już o niczym, ani o sobie, ani o nienarodzonym dziecku. Nawet nie czuła lęku. Niczego nie czuła, biernie godząc się z tym, co miało nadejść...

Tam, na tej podłodze, dojrzał ją jeden z żołnierzy, którzy z rozkazu wyższych stopniem wtaczali do środka beczki z benzyną. Młody chłopak, najwyżej kilkunastoletni, piegowaty blondynek o plebejskiej, słowiańskiej urodzie. Być może jego sumienie poruszył wielki brzuch kobiety, może jej uroda, bo była piękna, nawet w tym stanie, nawet opuchnięta od płaczu, bólu i nieprzespanych nocy. Nie najmłodsza – dla nastolatka – ale przypominała mu utraconą we wczesnym dzieciństwie matkę. Niewiele rozumiał z tego, co się dzieje, nie czuł nienawiści do tych bezbronnych ludzi. Choć byli Niemcami. Babuszka, która go wychowała, uczyła, że ma mieć serce dla innych, nawet dla nieprzyjaciół. Babuszka nie żyła, ale on te nauki zapamiętał. W każdym razie, sam w strachu, wyprowadził ciężarną na zewnątrz, bocznym wyjściem, tak by nie dojrzeli tego inni, coraz bardziej pijani żołdaci. Tam jeszcze było spokojnie, pusto, ulice i budynki – choć opuszczone – wciąż stały w nienaruszonym stanie.

Nie mogli się dogadać, więc tylko ją popychał i rozpaczliwymi gestami pokazywał, że ma bezzwłocznie uciekać. Powiew rzeńskiego marcowego powietrza otrzeźwił kobietę. Znow wstąpiła w nią nadzieja. Czuła wdzięczność do tego dzieciaka, lecz nie miała pieniędzy, w ogólnym pandemonium straciła torebkę, wyrwał ją z jej rąk któryś z żołnierzy. Za to na jej palcu wciąż jeszcze połyskiwał pierścień. Zaręczynowy. Szczerozłoty, z wielkim rubinem i brylantami. Najcenniejsza rzecz, jaką posiadała – oprócz życia. Cudem chyba żaden z żołdaków go wcześniej nie zauważył, może

dlatego, że nosiła rękawiczki. Teraz zdjęła go pospiesznie i wcisnęła chłopakowi w dłoń.

– Weź go! – wyszeptała ochryplym głosem. – Tylko tyle mogę... *Danke!*

Żołnierz nie zrozumiał jej słów, jednak na pierścionek splunął i wrzucił go do kieszeni wojskowej kurtki.

– *Bieżyj, bieżyj! Panimajesz?! Raus!* – Popchnął ją w kierunku najbliższej uliczki, po czym odwrócił się i zniknął za budynkiem płonącego już kościoła...

Biegła. Potykała się, czasem przewracała, czuła, że krwawi. Nie miała pojęcia, dokąd uciekać. Jej dom już nie istniał, rodzina, znajomi... Jeśli ktoś przeżył, rozpierzchli się, nie wiedziała, gdzie ich szukać. Biegła przed siebie, na ślepo, byle dalej od wystrzałów i wrzasku pijanych rosyjskich żołnierzy. Gdzieś się schowa. Przeczeka. Urodzi. Zaczęła się modlić w duchu, a może na głos, gdy... pod jej stopami wybuchła mina.

W ułamku sekundy pochłonęła ją ciemność.

Żołnierz, który ją uratował, poległ kilka dni później, w pułapce zastawionej przez niedobitki niemieckiego wojska, którym z rozkazu samego Hitlera nakazano walczyć do końca. Zginęli wszyscy. Dopiero po pewnym czasie ktoś znalazł w kieszeni trupa cenny, złoty pierścień...

Gdańsk, marzec 1968 roku

Krystian Bocheński został wypuszczony z aresztu po tygodniu. Ostatecznie zażądano od niego podpisania lojalki „wobec państwa i ustroju”, którego w końcu i tak nie było szans obalić, więc wzruszył tylko ramionami. Podpisał ją, jak wielu innych, inaczej relegowano by go ze studiów. A na to nie mógł sobie pozwolić. Przekreśliłby w ten sposób całą swoją przyszłość, rodzice by tego nie przeżyli: był pierwszym w rodzinie, który dostał szansę nauki w szkole wyższej. Ojciec wykwalifikowany robotnik, matka bez wykształcenia, oboje ciężko harowali, by umożliwić synowi lepszy start. Własną młodość, szanse i ambicje odebrała im wojna. W pięćdziesiątym szóstym,

w październiku, starszy Bocheński uczestniczył w wiecach i masówkach, następnie współorganizował w stoczni samorząd oraz Milicję Robotniczą. Krystian miał wówczas dziewięć lat, coś tam z tego pamiętał. Ojciec podpadł władzom, dlatego teraz był przeciwny udziałowi Krystka w wydarzeniach marcowych. Z jednej strony potępiał, z drugiej pękał z dumy. Syn zdawał sobie z tego sprawę. Nie chciał go zawieść, ale protestować musiał, nie mógł chować głowy w piasek. Ktoś musiał się sprzeciwić. Może dzięki temu władza przejrzy na oczy, stanie się bardziej „ludzka”. Tylko o to im tak naprawdę chodziło. O wolność. O niezależną kulturę, powiew świeżego wiatru, przynajmniej namiastkę demokracji.

Zwinęli go prosto z wykładów. Wraz z nim zatrzymano kilkadziesiąt osób, nie tylko studentów, także wykładowców, artystów, dziennikarzy. Nawet partyjnych. Ale w szczególności ludzi pochodzenia żydowskiego, a także tych, których podejrzewano o „sprzyjanie syjonizmowi”. Dopiero teraz dowiedział się od rodziców, że aresztowali również ojca Marylki Benerówny, jego sympatii od prawie dwóch lat. Ona, studentka akademii medycznej, również uczestniczyła w marcowych protestach, jednak została tylko spisana, potem esbecy przesłuchali ją i wypuścili. Bardziej interesował ich sam Bener. Docent Jakub Bener, który wykładał matematykę oraz cybernetykę na polibudzie, nie krył swych żydowskich korzeni, choć od zawsze czuł się Polakiem. W czasie wojny walczył w podziemiu, już z tego powodu miał kłopoty, ale się wybronił. Po wojnie, w przeciwieństwie do Bocheńskiego, ojca Krystiana, konserwatywnego katolika, Bener uwierzył w ideały socjalizmu. Zwątpił już po kilku latach, lecz z partii nie wystąpił. Chciał naprawiać Polskę Ludową. Matka Marylki była rodowitą Polką. Sama dziewczyna – drobna, szczupła szatynka o niebieskich oczach, w której kochał się na zabój – w ogóle nigdy w życiu nawet by nie pomyślała, że ktoś mógłby podważać jej narodowość...

– Ale nic więcej nie wiecie? – dopytywał rodziców. – Profesor wyszedł już? A jak Marylka się trzyma? Rozmawialiście z nią w międzyczasie? Została na uczelni? Zaraz do nich polecę, tylko się trochę ogarnę...

Rodzina Benerów mieszkała we Wrzeszczu, na Słowackiego. Z Przymorza, nowego osiedla, na którym Bocheńscy zamieszkali trzy lata temu, miał do nich

spory kawałek autobusem. Krystian wyrzucił z szafy stertę ubrań, by znaleźć coś odpowiedniego. Stylowego. Rodzice Marylki dbali o zasady. Wolał pokazywać się im z jak najlepszej strony: i tak czuł się gorszy. Na studia dostał się „z listy”. Miał robotnicze pochodzenie. Oni to inteligencja pełną gębą. Jeszcze przedwojenna. Nigdy nie dali mu odczuć, że nim pogardzają, przeciwnie, akceptowali go jako chłopaka jedynaczki. To nowocześni, postępowi ludzie. Jednak lepiej dmuchać na zimne.

– Mamo? Czemu nic nie mówisz? – rzucił, dopinając guziki koszuli.

– Ja tam nic nie wiem – bąknęła, chowając się w kuchni. – Zaczekaj, zjedz najpierw trochę zupy...

– Tato?

Obejrzał się, bo ojciec nie odpowiedział. Miał dziwną minę, tak jakby unikał pytającego wzroku syna.

– Co się dzieje, tato? – Chłopak spoważniał.

– A, nic. Różnie ludziska gadają. Może plotki tylko powtarzają. To pewnikiem nic takiego, rozejdzie się po kościach. Jedź do nich, dziewczyna sama ci powie. Najlepiej się dowiadywać u źródła, bo co ja tam wiem...

Jakub Bocheński był wyraźnie zmieszany.

– Ojciec! – zdenerwował się Krystian. Krawat, który właśnie usiłował zawiązać, wylądował porzucony na oparciu krzesła. – Co ty mi tutaj kręcisz? O co chodzi? Co takiego Marylka ma mi sama powiedzieć? Rzuciła mnie?!

– Nie, to nie to. Oni wyjeżdżają ponoć – mruknął Bocheński, zasłaniając się profilaktycznie gazetą sportową.

– Jak to wyjeżdżają? Gdzie? – nie zrozumiał Krystian. – Do wakacji jeszcze daleko. Co znaczy, wyjeżdżają? Przeprowadzają się?

– Za granicę jadą. Tak mówią ludzie. Nic ci więcej nie powiem. Maryli u nas nie było. Może to i dobrze, bo...

– Bo co?!

– No, Żydówka przecie...

– Powariowaliście? – Krystian nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Jedź już do niej, jedź, nie wykrzykuj mi tu, synek – odparł ojciec ugodowo. – Lepiej się pospiesz. Ciesz się, że ciebie wypuścili i nawet z tych

studiów nie wywalili. Reszta to nie nasze sprawy. A u siebie w domu chcę mieć choć trochę spokoju po robocie, nie pyskówki, rozumiemy się?

– Najpierw zjesz, synku! – Matka wychyliła się z kuchni.

On jednak podziękował w biegu, dokończył toaletę i pospiesznie wybiegł z mieszkania. Targał nim niepokój, choć – a może właśnie dlatego – nic z tego, co usłyszał, nie rozumiał. Przystanek autobusowy był niedaleko, przy ulicy Piastowskiej. W kiosku kupił sobie tylko, oprócz biletów, dropsy mleczne, by odpędzić głód. W ciągu ostatnich dni przywykł do zaciskania pasa: w areszcie ich nie rozpieszczali, żołądek mu się skurczył.

Marylka otworzyła mu drzwi zapłakana, z podpuchniętymi oczami. W długim, ciemnym przedpokoju ich obszernego mieszkania stały spakowane walizki i torby. Sporo ich było, ustawionych wzdłuż ściany, jedna na drugiej. Od razu rzuciły mu się w oczy, mimo panującego w pomieszczeniu mroku.

– Marylka, kotku, co się dzieje? Co to wszystko ma znaczyć?! – wskazał dłonią, gdy wpuściła go do środka.

– Fajnie, że cię puścili... Wejdz...

Machnęła dłonią, gdy zapytał, czy ma zdjąć buty. Dawniej stały tu zawsze „specjalne” krzasiaste kapcie – nie gościnne, tylko dla niego. Teraz ich nie było, wszystko zresztą wyglądało inaczej. Jak w obcym miejscu. Po chwili wahania położył kurtkę na walizkach. Ozdobny, toczony drewniany wieszak także zniknął. Marylka zaprowadziła Krystiana do swojego pokoju, najpierw jednak zajrzał do dużego „salonu”, jak nazywali tutaj pokój dzienny, przeznaczony do wspólnego użytku. Benerowie przyjmowali w nim gości, oglądali telewizję, czytali książki. Chciał się przywitać z rodzicami Marylki, jednak kiedy ich ujrzał, zmroziło go. To nie byli ci sami ludzie. Telewizor, nakryty płachtą, milczał, a oni bez słowa siedzieli w półmroku, jakby w oczekiwaniu na coś nieuchronnego. Pani Benerowa również miała spuchnięte oczy, odniósł wrażenie, że nawet go nie zauważyła, a profesor skinął mu tylko głową. Marylka pociągnęła go za mankiet koszuli.

– Chodźmy do mnie... – szepnęła.

– Kochanie, o co tu chodzi? – zapytał gorączkowo, gdy tylko zamknęła drzwi.

Objęła go mocno, usiłując powstrzymać szloch. Przytulił ją do siebie i tak trwali chyba przez parę minut.

– Nic nie wiesz? – zapytała zduszonym głosem, z ustami w jego swetrze.

– Nie... Dopiero mnie wypuścili. Dzisiaj. Musiałem podpisać... Nieważne. Od razu tutaj przyjechałem, tylko zameldowałem się rodzicom. Ojciec coś wspominał... że wyjeżdżacie, ale mu nie uwierzyłem! Teraz widzę, że to prawda... Nic nie rozumiem. Gdzie wyjeżdżacie? Dlaczego?

Z trudem się od niego oderwała. Usiedli, on na krześle, ona na swoim tapczanie.

– Musimy – odpowiedziała cicho. – Wyrzucają nas.

– Ale... dokąd?!

– Do Izraela.

Zaniemówił.

– Już za tydzień – kontynuowała. – Ale musimy zdać mieszkanie, więc jutro jedziemy do Warszawy, do rodziny mamy. U nich przeczekamy do wyjazdu. Bo tam podstawiają pociąg... Tak im spieszno, żeby się nas pozbyć. Cieszę się, że przynajmniej zdążymy się pożegnać. Chociaż tyle. Rodzice są załamani, jak zresztą sam widzisz. Od kilku dni prawie się nie odzywają, strasznie się o nich martwię. Całe nasze życie się zawaliło, i to nagle. Wszystko posprzedawaliśmy, żeby móc tam od czegoś zacząć. Resztę rozdaliśmy. Telewizor rodzice przeznaczyci dla was. Musisz go tylko jakoś dowieźć do domu. A, właśnie, zabierz też moje książki. Na pamiątkę. Kilka ulubionych sobie spakowałam, ale trochę ich jest, wszystkich nie dam rady wziąć. Podręczniki akademickie oddałam dziewczynom z roku. Reszta dla ciebie. Czeka, przyniosę torbę...

– A... uczelnia? A katedra twojego ojca? – Nie mógł uwierzyć.

– Musiałam zrezygnować. Zmusili mnie. Taki był warunek, dzięki temu mnie nie zamknęli za... za wrogą postawę wobec ludowej ojczyzny. Ojciec dostał wypowiedzenie. Mama sama zwolniła się z pracy w szkole. Nie ma żydowskich korzeni ani nie uczestniczyła w protestach, więc teoretycznie mogłaby zostać w Polsce. Ale oczywiście jedzie z nami. To idę po tę torbę...

– Marylka! – Złapał ją za rękę. – Ale przecież wy tam nikogo nie znacie, niby jak...

– Mamy w Tel Awiwie daleką rodzinę. Przeżyli holocaust. Wszyscy Żydzi są jedną rodziną – zażartowała ze smutkiem.

– Ty jesteś Polką!

– Też tak zawsze sądziłam. Ale... już nie jestem. Kazali nam zrzec się obywatelstwa polskiego – zaśmiała się gorzko.

Dziewczyna wyszła, by powrócić po chwili z dużą podróżną torbą ze sztucznej skóry. Zaczęli wspólnie pakować do niej książki. Bez słów – oboje ścisnęło w gardle. Tomiki wierszy, które całymi godzinami czytali razem na głos, z wypiekami na policzkach. Kryminały z jamnikiem. Proza współczesna i klasyka. Trochę zagranicznych, bo profesor zawsze miał swoje dojścia do literatury emigracyjnej.

– Przyjedziesz na dworzec? Za tydzień? Do Warszawy? – zapytała wreszcie.

– Jasne! Nawet nie pytaj. Nie mogłoby mnie tam nie być. A jutro też pojedę z wami na stację. Trzeba będzie wziąć ze dwie taksówki. Tyle bagażu...

Znów ją przytulił, ledwie hamując napływające do oczu łzy. Nie mógł przecież rozsypać się przy niej.

– Będę pisać – obiecała. – O ile listy będą do was dochodzić.

– Przecież wróćcie!

– Nie. Dostaliśmy paszporty tylko w jedną stronę. Już nie wrócimy. Zresztą drugi raz byśmy tego nie przeżyli.

– W takim razie... ściągniesz mnie do siebie? Powiem im, że też jestem Żydem. Albo że popieram syjonizm!

Marylka się rozplakała. Przez resztę wieczoru snuli plany i marzenia na przyszłość, aż w końcu pani Benerowa uchyliła drzwi i zapytała nieswoim głosem:

– Krystku, zjesz z nami? Prosimy. To będzie nasza ostatnia kolacja... tutaj, u siebie w domu.

Wrócił do domu późnym wieczorem, taksówką, za którą uparli się zapłacić Benerowie. Rodzice jeszcze nie spali, słuchali radia, ale zdawał sobie sprawę z tego, że tak naprawdę czekają na niego. Zawsze tak było, odkąd jako

nastolatek zaczął później wracać do domu. Telewizor wzbudził konsternację. Usiłowali nie okazywać nadmiernej radości, jednak matce aż zaświeciły się oczy. Do tej pory nie stać ich było na taki luksus. Krystian od razu wszystko podłączył, ale musieli jeszcze dokupić antenę do zamontowania na balkonie. Obiecał, że zajmie się tym od razu następnego dnia, gdy tylko odprowadzi rodzinę Benerów na pociąg do Warszawy.

– Czyli jednak naprawdę wyjeżdżają, biedaki? – zapytała retorycznie matka.

– Wyjeżdżają. Wyrzucają ich. Sami nigdy by tego nie zrobili!

– Jak setki innych – wtrącił szorstko Bocheński. – Ja tam do nich osobiście nic nie mam. Benerowie to akurat porządni ludzie, nie powiem. Ale obcy u nas. Tej władzy nie popieram, trzeba jednak słuchać wszystkich stron. A wiecie, że Żydzi to komuniści, nie? Zawsze się komuchom wysługiwali. I wiary naszej katolickiej nie lubią. A dla nas, Polaków, wiara to podstawa! Dzięki niej jeszcze się trzymamy!

Krystian pokręcił głową niedowierzająco.

– Tato, czy ty siebie w ogóle słyszysz? Przecież sam sobie zaprzeczasz! Komuniści ich wyrzucają z kraju, choć Żydzi to komuniści i komunistom się wysługują? Nie dostrzegasz w tym absurdu? Naszej wiary to oni nie muszą lubić, mają własną, choć Benerowie są akurat niewierzący...

– No właśnie!

– Tato, daj już spokój.

– No właśnie, stary! – włączyła się Bocheńska. – Dajże spokój. To dobrzy ludzie, sam tak mówiłeś. Telewizję dostałeś od nich.

– To ty dostałaś, kobieto. – Ojciec się uśmiechnął.

Krystianowi jednak nie było do śmiechu.

– Słuchajcie – wtrącił. – Od razu wam mówię. Ja Marylki tam samej nie zostawię. Tak wszystko załatwię, żeby do niej pojechać.

– Co? Kiedy?... – wystraszyła się matka.

– Tego nie wiem. Kiedy tylko się uda. Na pewno nie od razu – uspokoił ją.

Pan Bocheński przyjrzał mu się surowo.

– Ty najpierw, synek, studia skończ! – upomniał karcąco. – Bo po co im w Izraelu nieuki? Tam też swój kraj budują, kształconych ludzi im trzeba, fachowców. Mnie się podoba, żeś ty wierny swojej pannie. Ja twojej matce też zawsze wierny byłem. Tak trzeba. Tylko nic na hura, synek...

– A jadłeś ty co, Krysteczku? – zapytała matka, by ukryć zakłopotanie.

– Jadłem, mam. U Benerów kolację jadłem.

Posmutniał. Pani Bocheńska zauważyła to od razu, jak to matka.

– Nic ty się, syneczku, nie martw. – Próbowała go pocieszyć. – Będziesz chciał, to pojedziesz. Jak ktoś czegoś bardzo chce, to musi się udać. A ja coś dla Marylki mam. – Zerknęła spłoszona na męża, ale zaraz ciągnęła dalej: – Dawno już ustaliliśmy z ojcem, że dla twojej narzeczonej w sam raz będzie. Poczekaj chwileczkę...

Wybiegła z pokoju. Słyszał, że szuka czegoś w pawlaczu. Ojciec, milcząc, pykał fajeczkę. Unikali nawzajem swojego wzroku. Po chwili matka wróciła z niedużym tekturowym pudełeczkiem, które odwijala właśnie z jakiejś wzorzystej szmatki. Kiedy uchyliła wieczko, jego oczom ukazał się duży, misternie wykonany damski pierścionek. W świetle wiszącej u sufitu lampy zamigotał krwawo czerwonym blaskiem. Krystian wdrygnął się, choć klejnot był piękny.

– Daj jej go na szczęście! – szepnęła matka z przejęciem. – Mnie niepotrzebny. Całe wieki przeleżał schowany w tej szafce, co nie, ojciec? Prawie o nim zapomniałam! Najpierw miał być na ciężkie czasy, ale się na szczęście obyło bez tego. Potem dla ciebie. Dla twojej nowej rodziny – dodała.

Bocheński wzruszył ramionami.

– Na pewno wiesz, co robisz, kobieto?

– Marylka zasługuje na niego, skoro ją nasz Krystek tak pokochał – uparła się Bocheńska, wciskając synowi zawiniątko.

Krystian jeszcze raz otworzył pudełko i przyjrzał się pierścieniowi uważniej.

– Wygląda na starą robotę – zauważył. – To złoto, co? A ten czerwony kamień nazywa się chyba rubin. Skąd wytrzasnęliście takie cudo?

Rodzice spojrzeli na siebie niepewnie.

– To trochę dziwaczna historia... – odezwał się wreszcie ojciec. – Innym razem. Idź spać, synu, jutro, zdaje się, musisz wcześniej wstać.

– Opowiedz – zażądał syn. – Do rana daleko. I tak nie zasnąć.

– To ja naparzę kawy. Możesz zacząć bez mnie, znam tę historię na pamięć – westchnęła Bocheńska, znikając w kuchni.

Marzec to był. My do Gdańska przybyli ze Wschodu, z terenów dawnej Rzeczypospolitej. Byliśmy oboje z twoją matką z małych wiosek pod Lwowem. Ale o tym ty wiesz, bośmy się tak zapoznali i rozkochali w sobie. Dużo Polaków ciągnęło za armią sowiecką, bo i polskie wojska z nią szły, a nam, chłopakom, też walczyć się chciało. A choćby posługiwać prawdziwym żołnierzom, gotować im, machorkę skręcać. Dziewczyny, jak twoja matka, sanitariuszkom pomagały. Mieliśmy po wyzwoleniu, a raczej – jak potem się okazało, choć mówić teraz o tym nie wolno – po zdobyciu miasta i wypędzeniu Niemców, zasiedlić je na nowo. Tyle że ono w jednej ruinie po tym wyzwoleniu zostało. I Ruscy je zniszczyli, i Niemcy, bo im kazano się bronić do upadłego. Wszystko płonęło! Domy, kościoły. Trupy ludzkie i końskie zalegały na ulicach, a wszędzie były sterty gruzu. Potem zaczęła się grabież. Pijaństwo, grabieże, gwałty i zabijanie ludzi, jak popadło. Niemcy ukrywali się, uciekali, Ruskie z kolei nie za bardzo odróżniali Niemców od Polaków z tych terenów, w końcu gdańszczanie to wszystko byli, czyli dla nich faszyci. Ty lubiłeś jako dzieciak westerny, synu... więc to był prawdziwy „Dziki Zachód”, możesz mi wierzyć na słowo. Zjeżdżało tu mnóstwo luda, szukali łatwego zarobku albo okazji do rabunku. Szabrownicy, zwykli bandyci, pijani żołdacy, pospolicci złodzieje, kogo tu nie było... Brakowało żywności, prądu, gazu, bieżącej wody. Wszystkiego. Czarny rynek kwitł. Stale eksplodowały niewypały, nadal szalały pożary. Te budynki, które jeszcze stały, groziły zawaleniem. I waliły się, waliły, niejedyn jeszcze pod nimi życie stracił. Dopiero pod sam koniec marca do miasta przyjechali pierwsi polscy urzędnicy. Próbowali zaprowadzić porządek, ale nad nimi stała radziecka komendantura wojskowa, a ci przyzwalali swoim na grabież. Ze stoczni nakradli, ile mogli, i wywieźli do Rosji. A i wśród naszych urzędników złodziei nie brakowało, co znikali z pieniędzmi czy sprzętem. Przywracanie jako takiego porządku potrwało kilka miesięcy. Ruscy poszli dalej, na Berlin, wtedy trochę się uspokoiło. W czerwcu już jeździł tramwaj, zapisywano dzieciaki do szkół, odgruzowywano ulice. Miasto budziło się do życia. Ba, nawet Polskie Radio zaczęło nadawać, odbywały się imprezy sportowe,

nasi milicjanci grali w nogę z ruskimi żołnierzami. Otwarto szpitale. Pod koniec czerwca hucznie obchodziliśmy Święto Morza. Propaganda to była, ale myśmy tak wtedy tego nie odbierali. Cieszyliśmy się, że odbiliśmy szkopom nasze morze... Tak to było. Ale pod koniec marca i jeszcze w kwietniu tu było piekło. Bo teraz do tych dni wracam. Pewnego razu sowieci zapędzili nas do sprzątania ulic z trupów. Chodziliśmy pomiędzy tymi gruzami, zbieraliśmy zwłoki i truchła, pakowaliśmy je na przyczepę. I tak natknęli my się, gdzieś w okolicach obecnej ulicy Piwnej, na kilka ciał, już trochę w stanie rozkładu. W mundurach były, rosyjskich i niemieckich. Musi, do potyczki doszło, bo z obu stron zginęli. Młode chłopaki, młodsze od ciebie. Kiedym jednego z nich podnosił, z kieszeni wypadła mu ta błyskotka... Nikt nie zauważył, więc niewiele myśląc, szybko za pazuchę schowałem. A co, Ruscy mieli wziąć...? I tak pewnikiem zrabowana została, bo skąd by takie biedne kacapskie pachole mogło to mieć? Pamiętam do dziś tego dzieciaka. Najwyżej szesnaście, siedemnaście lat, a już mu się zginęło. Blondasek taki rudawy, piegowaty. Nawet mi się go żal zrobiło, ale co było robić. Nie żył już od dni kilku. Pierścionek żem zabrał, zdobywczy był. Później go twojej matce podarowałem na zrękowiny. Bośmy już wtedy ze sobą sympatyzowali. Najpierw nas w starych ponemieckich koszarach rozlokowano, tośmy się na randki wymykali. Potem, już po wojnie, połowy ślub wzięliśmy i zajęliśmy mieszkanie po szkopach, we Wrzeszczu, blisko tego, gdzie teraz Benerowie mieszkają... mieszkali. Przez lata gnieździliśmy się wespół z innymi lokatorami, na kupie. Aleśmy i tak szczęśliwi byli, że na swoim. Bo to nie było takie proste, zdobyć mieszkanie: ten był lepszy, kto silniejszy. Przydzały dopiero później wprowadzili. Tam na świat przyszedłeś. Potem dali nam nowe lokum w takiej lepiance przy stoczni. Byle jakie, rozpadające się, ale samodzielne. To już pewnie pamiętasz. Sam je wyremontowałem, własnymi rękoma. Kolejne lata się tam żyło po bożemu. Choć i nieszczęść nie zabrakło... Urodziła się twoja siostra, ale nam zmarła w niemowlęctwie, na zapalenie płuc. Takie czasy były. Kiedyśmy ze spółdzielni to mieszkanie dostali, ten pierścień matka od razu dla ciebie schowała. Sama nigdy nie chciała go nosić, że niby od trupa. Głupia kobieta, bo trup go na palcu nie miał, tylko w kieszeni, a złoto to złoto. Ale tak postanowiła, i ja się sprzeciwił nie będę. Jak go twoja Benerówna dostanie, to o tobie nie zapomni. Zaczeka. Bo to tak, jakbyś cały czas przy niej był...

Tydzień później Krystian pojechał do Warszawy porannym pociągiem, tym samym, którym wcześniej odjeżdżała rodzina Benerów. Resztę dnia – oraz noc – spędził razem z Marylką. Kochali się po cichu w gościnnym pokoju u jej wujostwa. Nikt im nie przeszkadzał, ponieważ przedstawiła go rodzinie oficjalnie jako swojego narzeczonego. Wszyscy im współczuli rozłąki. Nad ranem, gdy zbliżała się już pora wyjazdu na stację, podarował jej pierścień.

– Przecież jestem twoim narzeczoną, sama tak powiedziałaś – stwierdził, gdy próbowała oponować. – To jest zaręczynowy pierścienek. Po mojej matce. Dostałem go od niej dla ciebie. Miałem go tobie podarować. Musisz go wziąć! Będzie ci o mnie przypominał. Dopóki do was nie dołączę...

Wsunęła pierścień na palec. Był trochę za luźny.

– Jest piękny – odparła ze łzami w oczach. – Najpiękniejszy! Będę na ciebie czekać, mój kochany, przecież wiesz. Podziękuj swojej mamie. Ale w pociągu chyba go zdejmę, jest za duży. Wolałabym nie zgubić takiego skarbu. Dobrze go schowam, a na miejscu oddam do jubilera, żeby mi trochę zwęził. Mam nadzieję, że znajdę tam jakiegoś cholernego jubilera... Do diabła, nic przecież nie wiem o kraju, do którego wyjeżdżam na zawsze! Nic! – Głos jej się załamał.

Objęli się i długo całowali. Dopóki jeszcze mogli być razem. Póki czuli nawzajem swoje ciepło, oddechy. Próbował ją pocieszać, jednak żadne rozsądne słowa nie przychodziły mu do głowy. Bo co tu można było jeszcze powiedzieć? Benerowie jechali przecież do obcego kraju, taka była prawda. Z powodu cudzych urojeń musieli opuścić własną ojczyznę, porzucić całe swoje dotychczasowe życie, dom, przyjaciół. niesprawiedliwość tego, do czego zmuszono tych ludzi, bolała.

Aż w końcu nadszedł czas, by wyruszyć. We trzech, razem z milczącym Benerem oraz zakłopotanym wujem Marylki, znieśli bagaże do dwóch taksówek, wrócili po zapłakane kobiety i pojechali na Dworzec Gdański, gdzie stał już podstawiony pociąg. Peron był zapchany. Nic dziwnego. Tylu ludzi odjeżdżało na zawsze...

Gdy już cała rodzina Benerów znalazła się w przedziale, długo jeszcze stali z Marylką po obu stronach opuszczonego okna, trzymając się za ręce. Na

serdecznym palcu dziewczyny wciąż tkwił pierścionek, mrugając rubinowymi połyskami w promieniach bladego wiosennego słońca.

– Rzeczywiście, jest za luźny – szepnęła do niej. – Zsunie ci się. Lepiej go od razu zdejmij i schowaj.

– Tak zrobię, gdy tylko pociąg odjedzie. Obiecuję. Ale na razie chcę go mieć na palcu. Dla ciebie.

Wkrótce pociąg ruszył. Nie machali do siebie, jak inni. Tylko patrzyli – on na oddalające się, najpierw powoli, potem coraz szybciej wagony, ona na znikającą w oddali sylwetkę swego chłopaka. Aż w końcu ostatni wagon rozpląnął się w powietrzu. Krystian długo jeszcze stał na peronie. Najpierw w towarzystwie innych zapłakanych odprowadzających, a potem już tylko sam jeden. Zgarbiona postać na pustej stacji. Czuł się opuszczony, złamany, samotny jak palec.

Bilet powrotny do Gdańska miał w kieszeni. Pozostały mu jeszcze niespełna dwie godziny czasu, o ile pociąg odjedzie zgodnie z rozkładem jazdy. Nie chciało mu się chodzić bez sensu po mieście, zdecydował się zaczekać w dworcu. Nie wiedział, że będzie to jego ostatnia podróż...

Gdańsk, marzec, 50 lat później

– Pani godność? – zapytał przystojny blondyn, urzędujący w hotelowej recepcji.

– To znaczy? – Nie zrozumiała.

– Imię, nazwisko...

– Sara Peretz. Pokazać paszport?

– Poproszę.

Młody człowiek przejrzał dokument, zapisał dane w komputerze, po czym zerknął na nią z ciekawością.

– Piękne imię. Oryginalne – uśmiechnął się.

– Dziękuję – odwzajemniła uśmiech. – Popularne u nas, w Izraelu.

– Mówi pani świetnie po polsku.

– Tak. Chyba tak. Matka uczyła mnie języka od dziecka. Pochodziła z Polski. – Sara posmutniała.

– Ale nie przyjechała z panią?

– Mama nie żyje. W zasadzie to wychowywała mnie babcia, ale... ona też już nie żyje. Odkąd wyjechała, nigdy już tu nie wróciła. Nie chciała. Dopiero ja...

– Przyjechała pani do nas turystycznie? – podchwycił, by nie czuła się speszona. – Może w czymś pomóc?

Chłopak z zainteresowaniem przyglądał się poważnej dziewczynie w dżinsach i szarym prochowcu, o kręconych rudych włosach do ramion oraz oczach zielonych jak morze. Z paszportu wiedział, że ma dwadzieścia cztery lata. Jego rocznik. Doszukiwał się w jej twarzy egzotycznych semickich rysów, ale nie potrafił ich rozpoznać. Była po prostu bardzo ładna. Podobał mu się jej akcent, gdy mówiła po polsku. Wzruszała go, wydawała się taka krucha. Taka samotna w obcym kraju. Niekoniecznie przyjaznym dla cudzoziemców, szczególnie ostatnio. Czuł, że gdzieś głęboko w sercu ta młoda kobieta skrywa jakiś dramat. Może rodzinny.

– Dziękuję, ale nie trzeba. Przyjechałam... odnaleźć ślady mojego dziadka. Poszukać wspomnień o nim – odpowiedziała po chwili.

Oddał jej paszport. Gdy po niego sięgała, dojrzał na jej palcu pierścień. Bardzo misternie wykonany, wyglądał na stary.

– Jaki piękny pierścionek! – wyrwało mu się. – Precyzyjna robota. Bardzo przepraszam, nie powinienem, ale... interesuję się biżuterią. Studiuję wzornictwo na ASP, tutaj dorabiam sobie do stypendium.

Dziewczyna uniosła dłoń i również przyjrzała się klejnotowi, jakby widziała go po raz pierwszy.

– Rozumiem. Ten pierścionek to jedyna pamiątka po moich bliskich – odparła.

Moja babka, Maria Bener, przyjechała do Izraela wraz ze swoimi rodzicami po wydarzeniach marca sześćdziesiątego ósmego – z Gdańska. Była wtedy w ciąży, choć jeszcze o tym nie wiedziała. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym urodziła się moja matka, Lea, a ćwierć wieku później urodziłam się ja. Trzy

przedstawicielki kobiecej gałęzi rodziny Benerów – plus prababka Jadwiga, której nie pamiętam. Jadwiga była Polką... Nie, inaczej: WSZYSCY Benerowie byli Polakami. I nigdy nie przeszkadzały im w tym żydowskie korzenie pradziadka, polskiego patrioty, matematyka, wykładowcy zaangażowanego w „wypadki marcowe”. Maria Bener – przez rodzinę i przyjaciół nazywana Marylką – wówczas studentka farmacji akademii medycznej, również uczestniczyła w demonstracjach studenckich w Gdańsku. Po stłumieniu buntu rozpoczęły się szykany. Prześladowania objęły rodzinę Benerów, przede wszystkim profesora, ale również Marylkę, która została zatrzymana razem w innymi studentami. Wśród nich był jej chłopak, a w zasadzie narzeczony, Krystian Bocheński. Ten pierścionek Maryla dostała od niego w dniu wyjazdu z Polski, wcześniej był on własnością jego matki. Oboje byli w sobie bardzo zakochani. Planowali wspólną przyszłość. Nie przypuszczali, że tak to się skończy...

Na fali antysemityzmu rodzina Benerów została zmuszona do opuszczenia kraju. Krystian odprowadzał ich na pociąg, odjeżdżający z Dworca Gdańskiego w Warszawie. Tego samego dnia miał wracać z powrotem do Gdańska. Jednak nie dotarł tam: został napadnięty i ugodzony nożem w tunelu warszawskiego dworca. Nigdy nie wykryto sprawcy, podobno byli to jacyś „koczujący na dworcu bandyci z półświatka”. Zginął na miejscu, skradziono mu pieniądze i dokumenty. Lecz moja babka przez całe życie była przekonana, że zamordowali go komuniści. Komunistyczna bezpieka. Jak było naprawdę, nigdy się nie dowiemy. Jednak pasmo tragedii na tym się nie skończyło. Na wieść o śmierci jedyne go syna matka Krystiana zmarła na zawał serca. Bocheńscy już wcześniej stracili jedno dziecko, dziewczynkę. Przeszli przez piekło „wyzwolenia”. Starszy Bocheński również był buntownikiem: brał udział w wydarzeniach pięćdziesiątego szóstego roku w Gdańsku. Po śmierci żony i syna żył jeszcze przez jakiś czas, leczyl się psychiatrycznie. Zapewne zachorował na depresję, gdyż mniej więcej rok później popełnił samobójstwo, wieszając się na drzewie w niewielkim nadmorskim lasku – obecnie podobno mieści się tam zagospodarowany park – obok osiedla, na którym mieszkali.

Na szczęście Marylka dowiedziała się o tym wszystkim dopiero po czasie, od wspólnych znajomych. Wcześniej nie niepokoiła się za bardzo brakiem listów od ukochanego, spodziewała się, że władze PRL-u będą utrudniać korespondencję. Benerowie z pomocą dalszej rodziny – ocalonej z holocaustu – jakoś urządzili się

w Izraelu, ułożyli sobie życie, znaleźli pracę. Mieli szczęście, ponieważ znali języki, jedynie hebrajskiego musieli uczyć się od podstaw. Pradziadek wykładał matematykę w szkole, w programie anglojęzycznym, jego żona pracowała w ogrodnictwie. Marylka zamierzała kontynuować studia medyczne, jednak... była w ciąży. Zdążyła urodzić córkę, Leę, moją matkę, nieświadoma wydarzeń w Polsce. Czekala na narzeczonego. Miał do niej przyjechać, tak się umówili... Niestety, nie dojechał. Ona słowa nie zlamala, pozostała mu wierna. Nigdy nie wyszła za mąż, z nikim się nie związała. Do końca życia oplakiwała Krystiana. Pierścionek od niego przekazała córce, gdy ta dorosła.

Lea od samego początku była dziwnym dzieckiem, jako młoda dziewczyna sprawiała kłopoty matce i dziadkom, którzy mimo to bardzo ją kochali. Benerowie nigdy nie mieli pretensji do córki za nieplanowaną ciążę. Wiedzieli, że dziecko było dla niej wszystkim, jedynym łącznikiem z narzeczoną, z ojczyzną. To byli światli ludzie. Małą opiekowali się z oddaniem, pomagając Marylce aż do śmierci. Zginęli razem w wypadku samochodowym w roku osiemdziesiątym czwartym. Nie zdążyłam ich poznać. Urodziłam się dopiero dziesięć lat później. Lea, jak wspominałam, sprawiała kłopoty. Zadawała się z niewłaściwymi ludźmi spoza swojej szkoły, a gdy dorosła, niewiele się zmieniło, tyle że zrobiło się jeszcze bardziej niebezpiecznie – związała się z wyjątkowo nieciekawym towarzystwem: narkomanami, prowokatorami, politycznymi buntownikami. Z jednym z nich mnie splodziła. Nigdy nie dowiedziałam się, z którym. Zresztą zdaje się, że ona sama nie była tego pewna. Wychowywała mnie praktycznie babcia, zarzucając sobie, że własnej córki nie potrafiła, choć ją kochała do szaleństwa. A może właśnie dlatego. Lea była w końcu dzieckiem ubóstwianego Krystiana, przypominała go fizycznie. Po śmierci matki, a mojej babki – Maria umarła na białaczkę – Lea próbowała się mną opiekować, ale tak naprawdę nigdy nie miała serca do macierzyństwa. Więc wychowywałam się sama. Może dzięki temu jestem samodzielna i jakoś sobie w życiu radzę, bo po rodzinie został mi jedynie ten pierścionek. Resztę matka roztrwonila na swoją działalność polityczną i diabli wiedzą, na co jeszcze. Po obowiązkowej – również dla dziewcząt – służbie wojskowej zrobiłam licencjat ze slawistyki na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie i przyjechałam do Polski, w dwa miesiące po tragicznej śmierci Lei. Zginęła w zamachu terrorystycznym

w Tel Awiwie. Jakby na własne życzenie... Zawsze powtarzała mi, że „karma wraca”. Miała rację. Pozostał mi po niej ten pierścień.

Być może zostaną już tutaj, w „starej” ojczyźnie. Na stałe. Ostatecznie tam, w Izraelu, też mnie nic nie trzyma. Jestem chyba takim legendarnym Żydem Wiecznym Tułaczem, płci żeńskiej. Jeszcze nie sprecyzowałam swoich planów. Na razie chcę odnaleźć ślady mojej rodziny tutaj, w Polsce. Obu rodzin. Swoje korzenie. Potrzebuję ich, by dowiedzieć się, kim tak naprawdę jestem...

Gdańsk, 8 marca

To wszystko Sara opowiedziała mu znacznie później. Najpierw jednak wydarzył się wypadek, którego znaczenia nigdy do końca nie zrozumiała. Dokładnie ósmego marca zwiedzali razem Stare Miasto. Chłopak z recepcji wręczył jej tego dnia bukiet róż – z okazji Dnia Kobiet. Nie знаła tego obyczaju, ale rozczuliło ją to i zarazem rozbawiło. Nigdy by nie przypuszczała, że wystarczy być kobietą, by z tego powodu świętować. Zapadł już późny wieczór, właśnie wyszli z pizzerii, która dla Roberta – tak miał na imię – była kultowa, podobnie jak dla innych studentów ASP w Gdańsku. Mimo początków marca, noc nad miastem zapadła pogodna, boczne ulice były jednak o tej porze raczej wyludnione. Wracali spacerkiem w kierunku przystanku tramwajowego, gdy zniemacka napadła ich dość spora grupka wygolonych na łyso wyrostków. Musieli za nimi iść, obserwować ich, być może już od samego baru. Wyrwali Sarze torebkę, usiłowali ściągnąć z palca pierścionek. Udało im się – był nieco za luźny, łatwo się zsunął, jednak wypadł napastnikowi z ręki. Sara usłyszała tylko metaliczny brzęk i kątem oka zobaczyła, jak błyskotka toczy się po asfalcie, obracając wokół własnej osi...

Dziewczyna, choć z pozoru drobna i krucha, miała za sobą profesjonalne przeszkolenie wojskowe, zaskoczyła więc agresorów. Dwóch najmłodszych od razu rzuciło się do ucieczki. W międzyczasie Robert powalił na bruk trzech najbardziej zajadłych. W trakcie szarpaniny ktoś z przypadkowych przechodniów zaczął wzywać pomocy, co ostatecznie spłoszyło chuliganów.

Sara wciąż miała na ramieniu torebkę, jednak pierścienia nie było. Choć szukali go wszędzie. Zniknął jak kamfora...

Jestem. Tkwią wiele metrów pod ziemią, moknę w wodzie, ledwie dociera do mnie światło i ludzkie głosy. Ale jestem. Rozpoznałem te rewiry, już tu kiedyś byłem. Gdzieś w pobliżu rozpoczęła się moja misja, gdzieś tutaj czekałem za pazuchą martwego człowieka, by ktoś mnie zabrał i pozwolił działać, przekazywać dalej złą energię. Teraz historia zatoczyła koło. Teraz będę spał w tej studzińce, będę odpoczywał. Lecz nigdy nie przestanę czekać. Bo jestem Przeklęty.

NEGATYW

Prolog

Akcja ratunkowa trwała kilka dni. W zasadzie uniemożliwiały ją niekończąca się śnieżycy i wiatr, momentalnie zasypujący wszelkie ślady. Nawet psy były bezradne. Wypytywano turystów, lecz nikt nie widział samotnej kobiety na szlaku, zwłaszcza że w taką pogodę normalni ludzie nie wybierają się w góry. W końcu zamiecie ustały, ale poszukiwania nadal nie przynosiły rezultatów. Rysiek rozpaczliwie śledził akcję. Ja podsuwałam ratownikom pomysły różnych tras, którymi mogła pójść. Doskonale znałam przecież jej ulubione miejsca. Bez powodzenia. W końcu przerwano akcję. Mówili, że oczywiście nadal będą szukać, ale już tak od przypadku do przypadku, gdy dostaną jakiś cynk na przykład. Usłyszałam, jak ktoś w schronisku powiedział, że wiosną się sama odnajdzie... To był wstrząs, jak przysłowiowy kubek zimnej wody na łeb. Straciliśmy nadzieję. Rysiek płakał. Pierwszy raz w życiu widziałam, jak facet płacze...

Ja nie płakałam. Nie miałam na to czasu. Miotaly mną różne uczucia. Od zimnej furii poczynając, na beznadziejnym żalu kończąc. Taki bezsensowny koniec?! Dlaczego?!

Różne myśli kłębiły mi się w głowie. Coś doprowadziło ją do tego, że tamtej nocy poszła po śmierć. To nie był przypadek. Pamiętałam dobrze jej słowa: „Muszę coś zrobić”.

Wszystko zaczęło się wtedy, gdy zadzwoniła do mnie Ewa. To znaczy – zaczęło się dla mnie. Bo tak naprawdę trwało to już od dłuższego czasu, tylko ja nie miałam zielonego pojęcia, że coś się dzieje...

Pracowałam właśnie w ciemni, niezbyt zadowolona z życia. To było jeszcze przed epoką aparatów cyfrowych. Musiałam skończyć – koniecznie jeszcze tego samego dnia – jakieś bardzo nudne zlecenie. Kiedy więc zadzwoniła Ewa, ucieszyłam się. Odrobina relaksu.

– Kaśka, czy pojedziesz z nami na narty w lutym? – zapytała moja przyjaciółka bez zbędnych wstępów.

Często jeździliśmy razem w góry, ale najczęściej latem albo wczesną jesienią. Żeby sobie połączyć. Narciarz ze mnie byle jaki.

– A co ja tam będę robić? – odparłam zaskoczona. – Za narty dziękuję.

– Możesz się opalać na werandzie. Górskie słońce zimą, pomyśl tylko... Możesz też spacerować albo pić piwo i czytać książki. Tylko pojedź, proszę cię!

– Jeśli obiecasz, że pochodzimy też po górach, tylko we dwie, to może się nad tym zastanowię – zawahałam się, skuszona wizją.

– O tak, planuję też pochodzić... – Głos Ewy zabrzmiał dziwnie, jakby chciała zrobić komuś na złość, ale wtedy ledwie zwróciłam na to uwagę.

– A co? Rysiek ci nie pozwala? – Mąż Ewy często mnie wkurzał, przemądrzalec jeden.

– On uważa, że łażenie zimą po górach jest nierozsądne, przecież wiesz – powiedziała nieco ironicznie. – Nie rozumie tylko, że przyjemność a rozsądek to dwie różne sprawy.

– Osioł. Przecież nie urodziłaś się wczoraj! Całe życie łażyliśmy zimą po górach – zauważyłam z oburzeniem. Naprawdę nie znosiłam tego faceta. – Jeszcze zanim go poznałaś. Czy on się nigdy nie nauczy, że na pewne rzeczy nie ma wpływu? Jesteście małżeństwem już z piętnaście lat!

– Czternaście. Nie nauczy się. Ale nie w tym rzecz...

– A w czym?

– Nieważne, kiedy indziej ci powiem. To jedziesz?

– Jak będę miała forszę. A swoją drogą, ja bym zwariowała z takim facetem. Nie rozumiem, jak możesz słuchać wiecznych pouczeń!

– Nie rozumiesz, bo jesteś starą panną. A forszę ci pożyczę.

– Ja ci dam starą, wredna babo!...

No więc stanęło w końcu, że jadę. Górcom nie mogłam się oprzeć. Ewie też nie. Przyjaźniłyśmy się od dzieciństwa. I nawet jej mąż nie mógł zniszczyć tej przyjaźni. Choć nigdy nie ukrywałam przed nią swojego zdania na jego temat. Może to i nieładnie z mojej strony, ale wlaź w jej życie z buciorami i tłamsił niemilosiernie. Nie mogłam spokojnie na to patrzeć.

Mąż Ewy, Rysiek, to całkiem osobny rozdział. Wprawdzie nie zaakceptowaliśmy się do końca, ale z czasem nauczyliśmy się wzajemnie

tolerować. Spotykaliśmy się często we trójkę, więc było to konieczne. Nie mogłam jednak zrozumieć, co ona w nim widzi... Prawdę mówiąc, moim zdaniem nie zasługiwał na Ewę. Był taki nieciekawym. Nawet dość przystojny, na swój sposób, ale – no cóż, dentysta! Zero wyobraźni, za to ostra megalomania. I zawsze wszystko musiał wiedzieć lepiej. Mało tego – przez całe życie uważał sam siebie za wcielenie doskonałości. Nigdy nie lubił dentystów. Do tego jasny blondyn, świńsko różowy, zażywny... Nie znoszę blondynów. Nie rozumiem, dlaczego nikt nie wymyśla dowcipów o blondynach, tylko wiecznie o blondynkach – o niebo sympatyczniejszych!

Ewa natomiast zawsze była wyjątkowa. Drobną niebieskooką szatynką, żywiołową, upartą, inteligentną. Uczciwa aż do bólu, życzliwa do przesady. Serce nosiła na dłoni. Tylko gdzie ona miała oczy? No, niby mówi się, że miłość jest ślepa. Chyba tak. Pasowali do siebie jak pięść do nosa.

A jednak wyglądało na to, że są całkiem dobrym małżeństwem... Nie mieli dzieci, więc bardzo troszczyli się o siebie nawzajem. Zawsze mnie to odrobinę denerwowało. Nie chodzi o to, że czułam się zazdrosna o przyjaciółkę. Ani nawet o światopogląd. Kiedy człowiek żyje sam i musi sobie radzić, to się nie rozczula, ani nad sobą, ani nad innymi. Lecz nie w tym rzecz. Drażnił mnie jego protekcjonalizm. I jej łagodny konformizm. Kiedyś taka nie była. Dawniej była silna. Nigdy nikomu nie pozwalałyśmy wodzić się za nos!

Przed wyjazdem spotkałyśmy się tylko jeden raz. Ewa wpadła do mnie na chwilę, żeby ustalić, co kto bierze. Zawsze tak robiliśmy – bo niby po co nam na przykład dwa kochery? Albo dziesięć rolek papieru toaletowego? Lepiej mieć luz w plecakach.

Wyglądała na zmęczoną. A może nawet chorą. Spojrzałam ukradkiem w lustro – żeby nie przyglądać jej się zbyt nachalnie wprost – i pomyślałam, że prezentujemy się kontrastowo. W lustrze ujrzałam czarownicę z szopą czarnych kręconych włosów, czyli siebie, a obok bladą porcelanową lalkę – cień Ewy. Miała interesująco podkrążone oczy i zapadnięte policzki. Kontrast uderzył mnie do tego stopnia, że aż zrobiło mi się głupio... Dlaczego ja zawsze muszę wyglądać tak zdrowo i energicznie? Za grosz romantyzmu. Co się

dziwić, że jeśli już kręci się koło mnie jakiś, to koniecznie musi to być cherlak, nieudacznik i ofiara losu!

Za to Ewa... Nic dziwnego, że w tym swoim cyruliku budzi takie ojcowskie uczucia!

– W muzeum tyle pracy czy chora jesteś? – zapytałam niezbyt delikatnie, ale nigdy nie bawiłyśmy się w subtelności. Znałyśmy się zbyt długo.

Ewa była konserwatorem zabytków, kochała swoją robotę. Praca nigdy jej nie męczyła.

– A co? – zainteresowała się, rzucając okiem w lustro. – Aż tak fatalnie wyglądam?

– Fatalnie – oświadczyłam stanowczo. – Co jest grane?

Bawiła się swoim szalikiem.

– Nie wiem... Właściwie nic.

Patrzyłam na nią bez słowa. Odwróciła wzrok.

– Nie gap się tak – wzruszyła ramionami. – Chyba mnie ktoś... prześladuje. Mam dziwne telefony. I nie tylko... Dlatego muszę wyjechać, może przez ten czas... Opowiem ci wszystko na miejscu, pójdziemy w trasę tylko we dwie i ci opowiem, naprawdę. Tylko teraz mnie nie męcz, jeszcze za mało wiem. Ale się dowiem. I przypadkiem nic nie gadaj Ryškowi! Nawet się nie waż!

– Ewka, co ty bredzisz?

– Nic nie bredzę – odparła poważnie. – Ja się po prostu boję...

Jej słowa zdumiały mnie, ale bez przesady. Ewa zawsze miała skłonność do dramatyzowania rzeczywistości. Pomyślałam, że pewnie jest przepracowana, choć nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Jak już coś robi, to nie zna umiaru...

Przecież nie mogła się w nic wplątać, nie Ewa – chodząca prawość! Niby w co? Telefony? Jest bardzo ładna. Może znów podkochuje się w niej skrycie jakiś student albo praktykant. Nic nowego, wiecznie jej się to przytrafia, ku ubolewaniu męża – pomyślałam z satysfakcją. Każdy przechodzi czasem załamanie nerwowe. Różne stresy i depresje są na porządku dziennym. Takie czasy. Ewa jest wrażliwa. Pogadam z nią i wszystko się wyjaśni. Razem pośmiejemy się z tych jej strachów.

Malutkie drewniane schronisko było przepelnione. Sami narciarze! Na szczęście mieliśmy rezerwację. Na tydzień. Nie mogłam zostać dłużej, robota czekała. A Ewa z Ryśkiem jeszcze nie sprecyzowali do końca swoich planów, uzależniali je od pogody, warunków narciarskich i tak dalej. Póki co warunki były, choć w schronisku doszły nas słuchy, że pogoda ma się zmienić. Lada dzień może być śnieżycą. Też fajnie.

Schronisko stało sobie na urokliwej polance u końca wąskiej doliny, przytulone malowniczo do zalesionego zbocza, otoczone świerkowym lasem i z ośnieżonymi szczytami w tle. Budynek był stary, ale mocny, w góralskim stylu. Ciasny, a jednak sympatyczny – z tymi drewnianymi okiennicami, spadzistym dachem i gościnną werandą od frontu. Tutaj, na tym tarasie, oraz w mrocznej jadalni skupiało się schroniskowe życie.

Na dobry początek połaziliśmy sobie po dolince, brnąc ciężko w syrkim śniegu. Pstrykałam widoczki. Świeciło słońce i był spory mróz, choć wcale się tego nie odczuwało. Tutaj to normalne. U nas może być zaledwie pięć stopni mrozu, a odczuwa się to tak, jakby ich było dwadzieścia! A tu na odwrót... Góry wokół prezentowały się dumnie, widoczność była doskonała.

Popijaliśmy herbatkę z termosu, dopóki na mrozie termos nam nie pękł. Postawiliśmy termos na śniegu i poszedł wkład. Ulepiliśmy bałwanka. Dostał czapeczkę z kubka po rozbitym termosie. A raczej kask. Takie sobie miłe wspominki...

Potem Ewka z Ryśkiem, wspólnie z innymi maniakami, postanowili pojeździć sobie dla rozgrzewki – a ja w tym czasie opalałam się na tarasie jak jakaś stara rupa. W dodatku opychając się czekoladą.

Ewa wciąż była dziwna. Przygaszona i roztargniona. Nawet nie miałyśmy okazji pogadać. Rysiek warował przy niej jak pies łańcuchowy. Odnosiłam jednak wrażenie, że i ona sama nie rwie się do rozmowy. Może wtedy zapędziła się, potem zdała sobie sprawę, że przesadziła, i teraz jej po prostu głupio? A może się zakochała?! W tym hipotetycznym młodym praktykancie?

Tak minęły dwa dni. Próbowалам wyciągać ją na zwierzenia, lecz rzucała tylko jakieś półsłówka. A ten jej upierdliwy prosiaczek stale kręcił się w pobliżu. Wymusiłam jednak na niej obietnicę, że jutro lub pojutrze

pójdziemy same, tylko we dwie, na długi spacer. On może w tym czasie pojeździć w innym towarzystwie. Ma już inne towarzystwo.

Zapaleni narciarze dziwnie łatwo nawiązują między sobą znajomości...

Zaraz, zaraz – przyszło mi nagle do głowy – on przecież wcale nie jest zapalonym narciarzem! Tylko takiego udaje. Nawet jeździ jak łamaga, wcale nie lepiej ode mnie. Zwyczajny snob po prostu. Bo nasz pan słynny dentysta musi robić to, co akurat modne. Z pewnością gra też w tenisa, a może nawet w golfa, a także jeździ konno... Hej, szturmem do elit, nawet jeśli słoma z butów wystaje!

Tego samego dnia po południu zaczął sypać śnieg. Coraz mocniej i mocniej. Siedzieliśmy uwiązani w schronisku. Wszyscy zgromadzili się w jadalni. Zamówiłam sobie herbatę i tradycyjny schroniskowy bigos. Od razu usłyszałam komentarz mojego pupila – Rysia – że to niezdrowo się tak obżerać. Dokupiłam więc jeszcze ciastko. Potem czytałam książkę.

Ewa też coś niby czytała, ale zauważyłam, że prawie nie przewraca kartek. Faceci grali w karty – Rysio z nimi. Miałam ochotę powiedzieć mu, że hazard także szkodzi. Ale zamknęłam buzię, żeby nie sprawić przykrości Ewie i nie wywołać przy okazji kolejnego wykładu.

Zabrałam herbatę z sokiem malinowym i wyciągnęłam Ewę na papierosa, na werandę. Zaczęło wiać. Dmuchięło na nas śniegiem, skuliłyśmy się więc pod daszkiem. Ewa powiedziała:

– Będzie zadyma...

Była spięta i zdenerwowana. Zapytałam ponownie, co się dzieje. Pokręciła głową, zamyślona.

– Dużo się zmieniło w moim życiu. Nie wszystko rozumiem. Czuję, że coś się wydarzy, nie wiem tylko, co. Muszę coś zrobić...

Mam nadzieję, że tak naprawdę – nawet w koszmarach sennych – nie wyobrażała sobie tego, co rzeczywiście miało się wydarzyć.

– Wciąż się boisz? – zapytałam serio. Już mi jakoś nie było do śmiechu. Zaczęłam się o nią naprawdę martwić.

– Ten strach, czy raczej lęk, nie opuszcza mnie ani na chwilę – odpowiedziała.

Trzęśliśmy się z zimna i z emocji. Herbata natychmiast wystygła. Ewa miała długie włosy, wiatr je tarosił, narzuciła kaptur.

– Czego się boisz?

– Nie wiem.

– A wiesz, jak to się nazywa, kiedy boisz się i nie wiesz czego?! – zdenerwowałam się. Jestem naprawdę konkretną osobą i lubię jasne sytuacje.

– Uważasz, że powinnam iść do psychiatry, tak? – zapytała gorzko, odgarniając kosmyki włosów, które wiatr wpychał jej w usta wraz z płatkami białego puchu.

– Ewa, sorry, nie to miałam na myśli – zaprotestowałam – Tylko może weź się w garść? To mi wygląda na depresję albo coś podobnego...

– Mówisz zupełnie jak Rysiek.

– Więc co chcesz zrobić? – wzruszyłam ramionami. Wiedziała, jak mnie dotknąć. Porównanie z Ryśkiem było dla mnie nie do zniesienia.

W tym momencie skrzypnęły drzwi i ktoś wyszedł na taras. Zaświecił latarką.

A, tu jesteście! Już się zastanawialiśmy, czy was gdzieś nie zasypało!

To był nasz dentysta, jak zwykle, w samą porę.

– Wyszliśmy na fajkę – powiedziała Ewa.

– Nagadałyście się?

– Akurat! – zauważyłam cierpko, a Ewa szybko dodała:

– Jak tu gadać? Nie widzisz, co się dzieje?

– No, fakt, nieźle dmucha. Śnieżycą. Ogłoszą alarm lawinowy. Nie wiem, czy sobie jeszcze pojeżdżamy, to może potrwać kilka dni. Wracajmy, będzie impreza. Jakoś trzeba się bawić!

Weszliśmy do środka. Otrzepaliśmy kurtki na progu. Natychmiast rozległy się okrzyki, żeby szybko zamykać drzwi. Wichura błyskawicznie nawiewała śnieg i zimno do środka. Drzwi zamknęły się zresztą same – siłą wiatru. Powiesiliśmy kurtki na wieszaku.

– A ty – pouczył mnie boski Rysiu na stronie – nie ciągnij Ewy na papierosy, miała rzucić palenie!

Rany boskie...

Pod wieczór wiatr się wzmógł – wiał już z siłą huraganu. Śnieg sypał nieprzerwanie i coraz gęściej. Siadł prąd. W jadalni zapalono świece. Wszyscy pozakładali na siebie, co tylko mogli. Sama ubrałam dwa grube wełniane swetry i nie powiem, żeby mi było za gorąco...

– To co, może coś dla rozgrzewki?! – padła propozycja, przyjęta z ogólną aprobatą.

Na stołach pojawiły się flaszki. I kubeczki. Ktoś zaczął rzępolić na gitarze.

Zupełnie jak za dawnych lat. Przypomniały mi się zwariowane, studenckie czasy – zwłaszcza że Ewa była tu razem ze mną, tak samo jak dawniej. Nawet Rysiek przestał mi aż tak przeszkadzać. Ostatecznie wtedy też różni z nami bywali.

Kierownik schroniska udzielił nam ostatnich instrukcji, porad i błogosławieństwa, a także życzył udanej zabawy i dobrej nocy. Wyraźnie zależało mu na ruchu w interesie.

Impreza się rozkręcała. Ktoś usiłował tańczyć po góralsku. Na zewnątrz wyla zawierucha, a nam robiło się coraz cieplej i weselej. Jeśli ktokolwiek usiłował spać na górze, to nie wiem, czy mu się to udało. W każdym razie nikt nie zgłaszał pretensji. Chyba wszystkich przywiało tu, na balangę...

Potem wielokrotnie usiłowałam przypomnieć sobie wydarzenia tamtej nocy. Zacierają się w mojej pamięci, zamroczonej nadmiarem alkoholu i tą szczególną atmosferą. Do dziś myli mi się chronologia zdarzeń. Nie kojarzę dokładnie, co, gdzie i w jakiej kolejności się działo. Pamiętam, że wszyscy ryczeli góralskie przyśpiewki – ja zresztą też, choć okropnie fałszuję. Jakaś pani tańczyła solo na stole. Albo na bufecie. Jacyś całowali się w kącie. Wiatr wyl niemiłosiernie, przez szpary między deskami wpadał do środka śnieg...

Pamiętam, jak Rysio czepiał się pewnego gościa, który podobno bezczelnie wpatrywał się w jego żonę. I że Ewa zareagowała na to dość niecodziennie – zamiast po prostu go wyśmiać, prawie się rozplakała. Chciała nawet wracać natychmiast na górę. Musiałam mocno przekonywać ją, by została. Ewa nigdy w życiu nie była mazgajem, lecz tym razem piła dość ostro, więc może tak ją to rozkleiło.

W pewnym momencie przypominałam sobie, że jestem przecież fotografem i powinnam koniecznie robić zdjęcia. Rejestrować wszystko. Aparat zawsze mam przy sobie i jakimś cudem nigdy nie uległ on żadnemu wypadkowi, nawet w takich warunkach. Działa tu chyba specjalny zmysł, zawsze czujny i nastawiony wyłącznie na ochronę narzędzia pracy. Latałam z tym aparatem po całej jadalni, pstrykając co popadło, i nawet udało mi się wymienić film pod stołem. Nie wiem, czemu pod stołem – przecież było ciemno, paliło się tylko kilka świeczek, a film był w kasecie!

Nie pamiętam, ile godzin upłynęło do chwili, gdy zauważyłam, że Rysiek wyprowadza pijaną do nieprzytomności Ewę. Aby dostać się na górę, trzeba było wyjść na zewnątrz, obejść schronisko i wejść tylnymi drzwiami. Istniało wprawdzie przejście prosto z jadalni, ale akurat był tam remont i chwilowo nie można było z niego korzystać. Zawolałam coś za nimi, z trudem przekrzykując hałas. Zapytałam chyba Ryśka, czy mam pomóc doholować ją do pokoju. Zdaje się, że machnął na to ręką i odkrzyknął, że nie ma potrzeby; albo coś w tym rodzaju. Może, żebym się odczepiła – nie dosłyszałam. Chwilę szamotał się z drzwiami, tak wiało. Pstryknęłam zdjęcie. Pomyślałam, że mąż czasem bywa w życiu przydatny.

Z tego, co działo się później, pamiętam już tylko migawki.

Dalej szalałam z aparatem. Wiem, że Rysiek wrócił z powrotem, bo za jakiś czas zabrakło mi papierosów. Chyba ktoś buchnął mi paczkę ze stołu. Nie zamierzam insynuować, że zrobił to Rysiek. Po prostu bez fajek nie mogę się obyć, a ponieważ palę wyłącznie jeden nietypowy gatunek – od innych robi mi się niedobrze – musiałam iść po nie do pokoju. Rysiek wtedy na pewno był w jadalni, bo zapytał mnie, gdzie idę, oraz przykazał nie budzić Ewy pod żadnym pozorem. Zajmowaliśmy wspólnie pokój, czwórkę – ale zapłaciliśmy za dodatkowe łóżko, żeby mieć święty spokój.

– Dałem jej prochy i niech sobie śpi – powiedział coś w tym stylu. – Zachowuj się cicho!

Wytoczyłam się na dwór. Zamieć była nieziemska, widoczność zerowa. Ale mnie się to akurat spodobało. I nawet nie pamiętam, żebym zmarzła. Radośnie, po omacku – bo nawet latarka nie pomagała w tej śnieżycy –

dotarłam do środka i cudem chyba pokonałam schody na górę. Na palcach przebrnęłam przez pokój, znalazłam papierosy, udało mi się nie zbudzić śpiącej w śpiworze Ewy i wyszłam, cicho zamykając za sobą drzwi. Dopiero na schodach wyrznęłam się i zleciałam, ale nawet to nie popsulo mi humoru. Standardowo uchroniłam aparat, który miałam oczywiście przy sobie. Sądzę, że gdybym zleciała w przepaść, mój aparat ostałby się w stanie nienaruszonym – i zapewne wyłącznie on...

Żadnego bólu po upadku nie czułam, złąkałam się tylko, że rumor mógł obudzić Ewę. Ale na szczęście nie obudził. Ja natomiast dopiero rano odkryłam, że jestem dziwnie obolała i mam solidnego guza na głowie. A także siniaki – nie powiem, gdzie.

Nie pamiętam drogi powrotnej. Pamiętam tylko uczucie euforii, spowodowanej śnieżycą. Taka nostalgia. Kiedyś, dawno temu, próbowałyśmy z Ewą trochę się wspinać, także zimą. Niczym szczególnym to nie zaowocowało, pozostała za to tęsknota...

Kiedy wróciłam, Rysio zapytał, co z Ewą. Odpowiedziałam, że śpi jak niemowlę. Później już niczego nie pamiętam. Piłam coś jeszcze, tyle wiem. A potem chyba film mi się urwał. Obudziłam się z potężnym kacem – na ławie w jadalni – przykryta własną kurtką. Ktoś szarpał mnie za ramię. Usiłowałam się bronić, chciałam dalej spać. Ale ten ktoś był cholernie uparty.

– Kaśka, obudź się, na miłość boską!

Z trudem usiadłam. Zdumionym wzrokiem ogarnęłam jadalnię. Dookoła – pokotem – spało mnóstwo ludzi. Na ławach, stołach i nawet na podłodze. Wszyscy w swetrach i kurtkach.

Oczywiście, Rysiek. Czego on ode mnie chce, do diabła?! Spojrzałam na zegarek, było dopiero parę minut po szóstej.

– Co się stało? – wymamrotałam nieprzytomnie.

– Czy ty wiesz, gdzie jest Ewa?!

– Co?

– Ewa znikła! Nigdzie jej nie ma!

– Może poszła siusiu? – powiedziałam sennie.

– Czy ty nie rozumiesz? Nie ma jej w schronisku ani w pobliżu schroniska, wszędzie szukałem! Nikt jej nie widział, nikt nic nie wie!

Oprzytomniałam z trudem.

– A może chciała się przejść? – zapytałam bezradnie.

Niektórzy zaczęli się budzić. Rysiek mówił głośno.

– Ty chyba nie wiesz, co gadasz! Nie słyszysz, co się dzieje na dworze? Jest jeszcze gorzej niż w nocy!

– E tam – powiedziałam. – Ona nie boi się byle śnieżycy. Pewnie chciała się przewietrzyć i zaraz wróci.

– Już nie pamiętasz, w jakim była stanie? Nie wytrzeźwiałyby do tej pory, nie ma mowy! Szukam jej już od godziny...

– Tym bardziej różne głupoty mogły jej przyjść do głowy – pocieszałam go bez przekonania. Sama czułam się fatalnie. Nie sądzę, bym w tym stanie miała ochotę na spacer. A tym bardziej rozsądniejsza ode mnie Ewa. Nadrabiałam jednak miną. Zapytałam głośno, czy nikt nie widział wychodzącej o świcie dziewczyny. Ale nikt nic nie widział ani nie słyszał. Rysiek zauważył:

– Wyszła pewnie tylnym wyjściem...

– Musiałaby zabrać kurtkę. Tu ją zostawiła, na wieszaku. Zaraz...

Kurtka Ewy wisiała na swoim miejscu. Wydawało mi się, że Rysiek zbladł.

– Boże...

– Nie miała innej kurtki?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Rysiek, jak to było? Kiedy zauważyłeś, że jej nie ma?

– Spałem tutaj, ale jakoś kiepsko, bo obudziłem się jeszcze przed piątą. Pomyślałem, że pójde sprawdzic, jak się czuje Ewa. Ale jej już nie było. Najpierw trochę poczekałem, potem się zaniepokoiłem i zacząłem szukać. Postawiłem na nogi personel, nikt jej nigdzie nie widział. Przeszukałem całe schronisko, nawoływałem na zewnątrz. Nic!

– Chodźmy jeszcze raz zobaczyć na górę – zaproponowałam.

Wtedy jeszcze aż tak bardzo się o nią nie martwiłam. Byłam pewna, że w pijanym widzie rzeczywiście mogła wpaść na pomysł pospacerowania sobie w zadymce... Pamiętałam swój własny wczorajszy zapal! Ewa zna góry. Nie

poszłaby daleko. Dziwne tylko, że wybrała się sama... Normalnie to by mnie przecież obudziła, zawsze razem popełnialiśmy różne głupstwa! A jeśli gdzieś zasnęła?! I zamarzła?! Jest bez kurtki! Teraz dopiero naprawdę się zdenerwowałam. Jeśli zaraz nie wróci, trzeba jej dalej szukać – i to szybko...

Poszłam z Ryskiem na górę. Obejrzałam rozbebeszony śpiwór i zamknięty plecak. Chyba nic nie zabrała ze sobą, nawet latarki... Sprawdziliśmy – niczego nie brakowało. Przed drzwiami nadzialiśmy się na kierownika schroniska. Z niepokojem zapytał Ryśka, co z żoną. Zapowiedział, że – jeśli się zaraz nie odnajdzie – trzeba będzie zawiadomić TOPR. Jest alarm lawinowy. Sprawdziliśmy jeszcze książkę wyjść. Nie wpisała się tam. A wiedziałam, że Ewa zawsze poważnie traktowała przepisy, zwłaszcza w górach! Chyba nawet pijana w sztok nie zapomniałaby wpisać się do książki. Rysiek wyglądał jak z krzyża zdjęty. Już się nie wymądrzał. Robił, co mu kazano, jak automat. Szybko ubrałam buty i kurtkę i wyszliśmy na zewnątrz, żeby przeszukać okolicę schroniska. Kilka osób dołączyło do nas. Jeszcze było dość ciemno. Nadal mocno wiało, śnieg sypał bez przerwy, nic nie było widać. Wszyscy nawoływali – bezskutecznie... W międzyczasie kierownik łączył się z TOPR-em.

Pamiętałam dobrze jej słowa: „Muszę coś zrobić”...

No i zrobiła! Tylko co właściwie? Czy zamierzała – w ten spektakularny sposób – popełnić samobójstwo? Nie, to niepodobne do Ewy. Nie znosiła robić wokół siebie zamieszania. Może była tak bardzo zrozpaczona lub przerażona, że wyszła sobie w śnieżyce, nie myśląc o konsekwencjach – i stało się najgorsze? Nieprawdopodobne...

Musiła uciekać? Przed czym? Przed kim? A może ten pomysł przyszedł jej do głowy nagle, wypięła dużo, chciała z jakiegoś powodu pójść w góry? Pójść w góry po raz ostatni... Och, staję się melodramatyczna! Czegoś nie wiemy. A może była śmiertelnie chora i nie potrafiła sobie z tym poradzić? Żle wyglądała... E, bzdura! Fizycznie czuła się świetnie. Gorzej z psychiką! Właśnie – psychicznie nie była w najlepszej formie.

Co ona sobie kombinowała?! Może rzeczywiście jej odbiło? Tak sugeruje Rysiek. Twierdzi z uporem maniaka, że ostatnio dziwnie się zachowywała. No

fakt. Dało się zauważyć i bez niego! Ale o co tu chodzi? Czy może to mieć jakiś związek z jej pracą? Muzeum... Dzieła sztuki... Mogła na przykład wiedzieć coś, czego nie powinna. Bała się przecież...

A może ona wcale nie umarła? Może naprawdę uciekła? Gdzieś się ukrywa? Takie rzeczy się przecież zdarzają! Jeśli tak, to prędej czy później skontaktuje się ze mną. Wstąpił we mnie cień nadziei. Uczepiłam się tej myśli – z nią było łatwiej.

Niezależnie od poszukiwań w górach śledztwo prowadziła także miejscowa policja. Funkcjonariusze ze sto razy wypytywali nas wszystkich o przebieg wydarzeń. Przesłuchali faceta, który według Ryska wpatrywał się w Ewę nazbyt uporczywie. Okazało się, że gość uznał ją po prostu za niezłą sztukę – typowy prymitywny podrywacz. Zreiterował, gdy okazało się, że jego wybranka jest tu z mężem. Nic nowego poza tym nie odkryli. Na wszelki wypadek spisali wszystkie personalia, a całą historię uznano za nieszczęśliwy wypadek. Uznali Ewę za osobę zaginioną – i tyle...

Po sprawie!

Wróciłam do domu pierwszym możliwym pociągiem. Chyba na długo miałam już dosyć gór. Czas płynął, życie toczyło się dalej, tak jakby nic się nie stało...

Pisali o tej sprawie w gazetach, spekulowali w telewizji. Protekcyjnie i bez emocji. W końcu mają takich przypadków więcej, nawet jeszcze ciekawszych. Ale ja nie mogłam pracować, nie mogłam normalnie żyć, nie mogłam o tym zapomnieć ani na chwilę. Jakaś niejasna myśl nie dawała mi spokoju. Tu nic nie było oczywiste! Za dobrze znałam Ewę. Coś tu śmierdzi. Coś jest nie tak. Czułam, że jestem jej coś winna.

Już nie wierzyłam, że odnajdzie się żywa. Lecz nie przyznawałam się do tego wprost, nawet sama przed sobą. Lepiej wierzyć. I postępować tak, jakby miała wrócić. Więcej – jakby od tego, co zrobię, zależało jej życie...

Muszę się dowiedzieć, co się naprawdę stało. Nigdy nie zaznam spokoju, jeśli tego nie wyjaśnię! Coś gnębiło Ewę. Była z tym sama. Nikt jej nie pomógł. Zbagatelizowaliśmy problem. I ja, i jej ukochany mąż...

Tak sobie postanowiłam, ale nie miałam pojęcia, od czego zacząć. Skąd niby mam wiedzieć, jak się do tego zabrać? Wypytywać jej znajomych? Jeśli mi

nie powiedziała, to innym tym bardziej. Może Ryśkowi? Nie wyglądało na to, żeby wiedział więcej ode mnie... Ale i tak muszę z nim porozmawiać, jak już trochę dojdzie do siebie. Poza tym – co? Przeszukać jej rzeczy? Korespondencję, dokumenty? A niby jak?! Mam jeszcze odrobinę delikatności. Rysiek nigdy by tego nie zrozumiał. Może później... Mogę natomiast sprawdzić, nad czym ostatnio pracowała. Pójdę do muzeum.

Pomysł z aferą muzealną wydał mi się z początku prawdopodobny. Chyba za dużo się w życiu naczytałam. Ale to byłoby przynajmniej romantyczne! Ewa w roli szlachetnego obrońcy zagrożonych dzieł sztuki. W tym kontekście jej tragedia przynajmniej nabrałaby sensu. Może nawet byłaby mniej bolesna? Śmierć za sprawę zawsze jest mniej bolesna. No, chyba że sprawa nie jest tego warta.

Teraz już wiem, że rzeczywistość najczęściej nie bywa ani romantyczna, ani wzniosła. I że za zasłoną tajemnicy kryją się zwykle najbardziej niskie, przyziemne i paskudne strony natury ludzkiej.

Poszłam do muzeum nazajutrz, pod koniec dnia pracy. Wiedziałam, że zastanę tam wtedy Alę, koleżankę Ewy, którą kiedyś poznałam. I nikt nie będzie nam przeszkadzał w rozmowie. Ala rzeczywiście jeszcze pracowała. Na warsztacie miała właśnie stary feretron z wizerunkiem Madonny o urodzivej twarzy. Zastygłam przed nim w podziw. Boże, jakież to piękne! Co za niesamowity kunszt i precyzja! A do tego z obrazu promieniował autentyczny mistycyzm... Ci artyści w dawnych czasach musieli być naprawdę natchnieni. Jakże im tego zazdroszczę!

Ala była konserwatorem dzieł sztuki, tak samo jak Ewa. Szczupła blondynka w okularach, w ciemnozielonym golfie pod roboczym fartuchem. Spokojna i konkretna. Aż miło rozmawiać z takimi osobami. Są obiektywne, nie dają się ponosić emocjom, obdarzają zbawienną równowagą mój nieco rozchwiany umysł... Nieco zdziwiła ją moja wizyta, choć od razu połączyła to z zaginięciem koleżanki.

– Taka tragedia – pokręciła głową. – Nie mogę w to uwierzyć...

Pogadałyśmy chwilę i w końcu zapytałam, nad czym teraz siedzi.

– Och, dłubię i za siebie, i za Ewę. Nic nadzwyczajnego. Restaurujemy barokowe malarstwo sakralne. Tyle że sporo tego!

– Nic nadzwyczajnego?! Przecież to jest cudowne! Wy, muzealnicy, jesteście naprawdę zepsuci... Ewa też nad tym pracowała?

– Tak, trochę tak, ale ona dość długo była na urlopie. Bezpłatnym. Zdawało mi się, że miała jakieś kłopoty rodzinne. A może chorowała? Ty nie wiesz? – Ala sama nawiązała do interesującego mnie tematu. Tym lepiej, że nie wyszło to ode mnie.

– Nie słyszałam, żeby chorowała, chyba nie – odparłam ostrożnie. – Nie ukrywałaby tego przede mną, a już na pewno Rysiek by coś wiedział. Choroby nie stanowiły dla niej tematu tabu, zawsze była racjonalistką. Wspominała o kłopotach?

– Nie pamiętam dokładnie, ale coś kiedyś wspomniała. Tylko tak, zdawkowo. Nic konkretnego. A co? – Ala postawiła przed nami filiżanki z kawą.

– Nie, nic. Tylko dziwnie się ostatnio zachowywała. Jej mąż uważa, że była trochę... no... niezrównoważona.

Wyglądało na to, że przyszedł tu na ploty! Co ta Ala sobie o mnie pomyśli...

Ala jednak odpowiedziała zwyczajnie:

– Niczego takiego nie zauważyłam. Powiedziałabym raczej, że była zmartwiona. Może im się nie układało?

– Raczej się układało... – O dziwo – dodałam w myślach. – On to wszystko bardzo przeżywa. Wciąż nie może dojść do równowagi.

– No tak, trudno się dziwić. Wiesz, był tutaj parę dni temu, po prywatne rzeczy Ewy. Całkiem sympatyczny facet.

– Tak? – pominęłam komentarz – I co zabrał?

– Nic takiego. Jakieś szpargały z biurka.

Dopiłam kawę. Zanim wyszłam, spytałam jeszcze ostrożnie:

– Czy nie sądzisz, że Ewa mogła mieć jakieś kłopoty w pracy?

– W pracy? Jakiego rodzaju?

– No... w ogóle...

– Coś ty! Merytorycznych na pewno nie, była świetna. Personalnych to nie Ewa, ona się nie mieszała w żadne takie rozgrywki. Zresztą mówiłam ci, że ostatnio rzadko bywała w pracy.

– A jakieś afery, no wiesz – nic się u was nie działo?

Ala wytrzeszczyła na mnie oczy. Najwyraźniej nie rozumiała, o czym mówię.

– Mam na myśli, może to głupio zabrzmie, ale... mam na myśli coś takiego, jak kradzieże obrazów albo fałszerstwa... Takie rzeczy.

Roześmiała się.

– Czy ty wiesz coś, o czym ja nie wiem?! Kobieto, coś takiego to nie u nas! Można sobie pomarzyć. U nas jest nuda i monotonna, ciężka harówka. A tak poważnie, to my nie mamy nawet takich zbiorów. To prowincjonalne muzeum. Zapomnij! – Odprowadzając mnie do drzwi, zapytała jeszcze: – Słuchaj, czy mogłabyś wpaść tu za tydzień, zrobić parę zdjęć?

Czemu nie, już nieraz robiłam dla nich zdjęcia. Powiedziałam, że przyjdę.

Niestety, Ala rozwiała moje złudzenia. Zrozumiałam, że to był fałszywy trop. A raczej pobożne życzenie, jeśli można tak się wyrazić w tej sytuacji. Wyglądałam się. Wizja Ewy w charakterze bohaterskiego detektywa w spódnicy rozwiała się w niebyt.

Wkrótce potem odwiedził mnie Rysiek. Zmieniony. Taki jakiś spokojny, cichy, zadumany. Spokorniał. Schudł też trochę, co go w sumie odrobinę uszlachetniło. Nawet zrobiło mi się go żal. Miał na sobie flanelową koszulę w kratę, jak w górach. Powiedział, że nie nosi żałoby, bo nie może uwierzyć, że Ewa nie żyje. Dopóki jest uznana za zaginioną, tak długo dla niego nie umarła. Poza tym w jego sercu zawsze będzie żyła. Cóż, słusznie. Ja zresztą też nie chodzę w czerni. Ewa nie znosiła podobnych ceremonii.

Zrobiłam herbatę, podałam ciasteczka. Nie chciał ciasteczek. Przyszedł porozmawiać o Ewie z jej najlepszą przyjaciółką... Brakuje mu Ewuni, chce przynajmniej powspominać. No a z kim, jak nie ze mną?

– Mam wyrzuty sumienia – rzekł. – Może ją zaniedbywałem?

– Na pewno nie – odrzekłam kurtuazyjnie.

– No, ale jednak coś jej było. Powinienem się tym zainteresować. Jako mąż miałem taki obowiązek. Może nie doszłoby do tej tragedii, gdybym odpowiednio zareagował?

– Nie obwiniaj się; tym jej już nie pomożesz. Skąd mogłeś wiedzieć? Ja też robiłam sobie wyrzuty, ale to bez sensu. Raczej trzeba zorientować się, o co tu chodzi...

– Znam dobrych lekarzy, ale nie miałem odwagi zaproponować jej wizyty. Bałem się, że to jeszcze pogorszy sprawę! Byłem głupcem. Ona potrzebowała pomocy, a ja jej nie udzieliłem, to moja wina!

– Jakich lekarzy? – zapytałam bardzo spokojnie.

– Jak to, jakich? Myślałem, że wiesz, w jakim była stanie.

Zapaliłam papierosa. Skrzywił się, ale postanowiłam to zignorować.

– A w jakim stanie była twoim zdaniem?

Robił wrażenie skonsternowanego. Odparł jednak z przekonaniem:

– Ona przeżywała kryzys. To mogło być wczesne przekwitanie. Zdarza się nawet częściej, niż myślisz! – dodał, patrząc na mnie z satysfakcją, jakby już doszukując się i u mnie objawów klimakterium. Pewnie dlatego, że parsknęłam śmiechem, kiedy postawił tę swoją diagnozę. – Nie wiem zresztą, co było przyczyną, ale faktem jest, że nie zachowywała się normalnie – kontynuował urażony. – Miała objawy manii prześladowczej, nie odróżniała rzeczywistości od fikcji, którą sobie tworzyła.

– Wydawało mi się, że jesteś dentystą, nie psychiatrą – nie wytrzymałam w końcu.

Nadał się, zraniony w swojej miłości własnej. Zapanowała niezręczna cisza. Zmiękłam – facet stracił żonę, a ja go napadam! To nie jego wina, że taki głupi...

– Moim zdaniem właśnie przyczyna jest istotna – oznajmiłam.

– Co masz na myśli?

– Nie wiesz, co mogło się wydarzyć w jej życiu? Jakies zmiany? Problemy?

– A ty coś wiesz? – odbił piłeczkę – Coś ci powiedziała?

Patrzył na mnie uważnie. Podejrzewałam, że nie zniósłby, gdybym wiedziała od Ewy coś, o czym mu nie powiedziała. Zwykle mówiła mu

wszystko. Nie do wiary, ale ona go naprawdę kochała.

Szkoda, ale w tym przypadku mogłam go uspokoić.

– Niestety, właściwie nic – wzruszyłam ramionami. – Chyba nie zdążyła.

– Nic? Kompletnie nic?

– Tylko tyle, że czegoś się bała, miała dziwne telefony i że coś się zmieniło w jej życiu, ale nie powiedziała co. I jeszcze, że musi coś zrobić. Mówiła, że powie mi więcej, jak sama się dowie. Ale potem to się stało...

Rysiek siedział zamyślony. Kiedy zamilkłam, odetchnął głęboko.

– Czyli zgadza się, miałem rację – rzekł tryumfalnie. – Nic więcej ci nie powiedziała, bo nic więcej nie było! Ja słyszałem od niej dokładnie to samo. A już się przestraszyłem, że nie wiedziałem o czymś, co mogłoby mnie dobić... Uwierz mi: za tym się nic więcej nie kryje!

– Skoro tak ci lepiej...

Ciekawa filozofia: „Co JEGO mogłoby dobić”... Egoista jeden. Zawsze myśli przede wszystkim o sobie.

– Tak, chyba tak mi lepiej. Nie chcę tego dłużej roztrząsać. I tobie też nie radzę. Stało się to, co się stało, i spekulowanie niczego tu nie zmieni. Tylko można samemu od tego zwariować!

Tu cię mam, pomyślałam. Uczepił się tej swojej tezy, jak rzep psiego ogona.

– Czyli jednak upierasz się, że ona zwariowała, tak?

– Nie wracajmy już do tego, proszę cię! Wiemy, że była cudowną osobą, oboje ją kochaliśmy. Wspominajmy ją taką, jaką była przez całe swoje życie...

OK! Masz do tego prawo. Ja nie muszę się z tobą zgadzać, ale możemy już o tym nie rozmawiać. Zwłaszcza że i tak się nie dogadamy – pomyślałam. Coś mi się jednak przypomniało.

– Rysiu – zagaiłam niepewnie. – A nie wiesz przypadkiem o czymś... o czymś związanym z jej zawodem? Jakies dzieła sztuki? Handel, ekspertyzy czy coś w tym rodzaju?

– Co masz na myśli? – zainteresował się z roztargnieniem. – Jakie ekspertyzy?

– No, antyków... Rzeźb albo obrazów – odparłam niepewnie. – Rozumiesz, w tej branży ma się różne znajomości. Czasem można się przypadkowo w coś

wplątać...

– A wiesz... – ożywił się na moment. – To jest myśl. Może i wdepnęła w jakieś przekręty? Wszystko jest przecież możliwe. Ewka jakiś czas temu przyniosła do domu obraz. Ponoć kupiła w antykwariacie. Sama wiesz, jak ona kochała te starocie. I była cholernie naiwna. Coś tam wspominała o ekspertyzie...

– Co to za obraz?

– Taki stary pejzaż z ruinami zamku w tle – wzruszył ramionami. – Może wartościowy? Sądziś, że jej dziwaczne zachowanie albo... samobójstwo... mogą mieć z tym coś wspólnego?

– Nie mam pojęcia – rozłożyłam bezradnie ręce. – Ale nie spocznę. Staram się chwycić wszystkiego, każdej przesłanki, każdego drobiazgu, żeby tylko dojść prawdy.

Dołałam herbatki. Rysiek się zamyślił. Dopiero po dłuższej chwili znów się odezwał:

– Słuchaj, Kasiu, ty robiłaś w górach jakieś zdjęcia – zmienił temat. – Wywołałaś je już może?

O, masz ci los! W tym całym zamieszaniu zupełnie o nich zapomniałam.

– Nie, wyobraź sobie, nie pamiętałam o tym. Teraz mi dopiero przypomniałeś o tych zdjęciach! Zupełnie nie miałam do nich głowy.

– Tak, rozumiem... oczywiście. Ale wiesz, ja bym bardzo chciał je mieć, to w końcu ostatnie zdjęcia Ewuni, ostatnie chwile z nią. – Miał taką minę, jakby chciał się znowu rozplakać. Och, tylko nie to! Nie umiem postępować z płaczącymi facetami!

– Jasne, nie ma sprawy. Jeszcze dziś ci je wywołam i jutro możesz odebrać – powiedziałam szybko.

– Ale nie chcę ci sprawiać kłopotu, na pewno nie masz czasu. Ty zawsze jesteś zawałona robotą...

– Takie życie – uśmiechnęłam się, chcąc dodać mu otuchy. – Owszem, mam trochę pracy, ale poradzę sobie. Najwyżej dostaniesz te zdjęcia pojutrze.

– Wiesz co, mam lepszy pomysł. Pożycz mi ten negatyw, jeszcze dziś oddam go do wywołania i jutro ci zwrócę. Nie będziesz musiała tracić dla mnie

czasu. Obiecuję, że będę go strzegł jak oka w głowie!

Zawahałam się. Mam taką zasadę, że nie daję nikomu swoich negatywów do łapy. Jednak sytuacja jest wyjątkowa. To są prywatne zdjęcia, nieprzeznaczone do sprzedaży. I rzeczywiście – powinnam dziś robić co innego... A niech tam, zaryzykuję!

Zgodziłam się. Rysiek dziękował serdecznie i przeproszał za kłopot. Poszłam poszukać negatywu. Znalazłam film w bocznej kieszonce plecaka. Nawet nie wiem, kiedy go tam schowałam. Chyba wtedy, gdy pamiętnej nocy poszłam po fajki. Problem w tym, że – jak sobie właśnie przypomniałam – miałam jeszcze jeden w aparacie, niedokończony. Próbowалам odtworzyć w myślach, co też może na nim być. Chyba nic ważnego. Robiłam wtedy zdjęcia w pijanym widzie, wymieniałam film pod stołem, zdaje się, już pod koniec imprezy. Potem na pewno niewiele pstrykałam i raczej nie mogło być na tych zdjęciach Ewy. Na pierwszym filmie są ujęcia z gór i z większości tamtego wieczoru. Dobra, dam mu tylko ten negatyw, ten drugi i tak na nic się nie przyda. A może go jeszcze wykorzystam. Na pewno zostało tam kilka pustych klitek.

Tak zrobiłam. Rysiek schował kasetkę skwapliwie do kieszeni.

– Jestem ci bardzo wdzięczny, naprawdę. To dla mnie cholernie ważne. Odniosę, jak tylko będę mógł.

– Pamiętaj, uważaj na ten negatyw, dla mnie też jest cenny! – ostrzegłam. – Masz tam zdjęcia ze spacerów i z imprezy. Sporo tego. No i powinno być też kilka waszych wspólnych z nart. Ale zabulisz trochę.

Miałam wrażenie, że nie słucha zbyt uważnie; potakiwał dość bezmyślnie.

– To ja już polecę – oznajmił. – Jeszcze raz ci dziękuję. Chcę zdążyć do zakładu przed zamknięciem!

Zaczęłam podejrzewać, że przyszedł tylko po ten negatyw, a cała wcześniejsza rozmowa była czystym konwenansem. Trudno mu się zresztą dziwić. Co zdjęcia, to zdjęcia. Zatrzymany w kadrze czas. To dlatego wybrałam ten zawód.

Dość szybko odwaliłam swoją robotę w ciemni i okazało się, że mam niespodziewanie dużo czasu. Nalałam sobie kieliszek wina... Wciąż myślałam

o Ewie. Nagle zapragnęłam zobaczyć fotki, które miałam na tym niedokończonym negatywie. Przynajmniej te. Ciekawość nie dawała mi spokoju. Chyba to wywołam... Zresztą powinnam tak zrobić, choćby ze względu na Ryśka. Ma prawo do całości. Być może są tam jednak jakieś zdjęcia z Ewą? Przecież nie pamiętałam dokładnie, w którym momencie zmieniałam film. Jutro dostałby odbitki. Będzie miał małą niespodziankę, nie wie nawet, że istnieje jeszcze jeden negatyw... Trochę szkoda, że nie wykorzystam tego filmu do końca, to dobry materiał. Przynajmniej połowa się zmarnuje. Ale trudno, bez przesady, nie zubożę od tego.

Poszłam za ciosem i wywołałam negatyw. Wysuszyłam, pocięłam. W przerwie zjadłam późną kolację – sałatkę z tuńczyka, z oliwkami. Kiedy siedzę w ciemni, tracę rachubę czasu i jadam nawet w środku nocy. Potem szybko zrobiłam odbitki, na moim ulubionym papierze z subtelnym połyskiem, w formacie 13 x 18. Tę czynność wykonywałam mechanicznie, oglądanie zostawiłam sobie na później. Byłam już trochę zmęczona. Ale dostrzegłam, że na kilku zdjęciach jest Ewa! Już podczas płukania coś mnie tknęło, ale jeszcze nie wiedziałam co. Poczułam niepokój... Miałam zamęt w głowie, nie mogłam myśleć. Szybko wysuszyłam odbitki i odłożyłam pod prasę, żeby się rozprostowały. Postanowiłam chwilę odpocząć, może rozjaśni mi się w głowie.

Zdrzemnęłam się i przyśniła mi się tamta zabawa. W moim śnie Ewa miała zdumioną, groteskową twarz, zaciśnięte usta, zezujące oczy... Boże święty! Obudziłam się z uczuciem jeszcze większego niepokoju. Zaczynało świtać. Dopadłam zdjęć i zaczęłam je gorączkowo przeglądać. Jest! Od razu na początku, bardzo niewyraźne... ale wystarczająco, żeby dojrzeć wyraz twarzy Ewy – prawie taki sam, jaki ujrzałam we śnie. Przestraszony i niedowierzający. Jakby wstrzymywała oddech, a jej spojrzenie wędruje gdzieś w bok.

Do dziś nie wiem, czy podłożem mojego snu było to zdjęcie, czy zarejestrowana w podświadomości rzeczywistość? Zaraz, trzeba to ułożyć w kolejności... Złapałam negatyw. Ułożyłam odbitki obok siebie na podłodze. Zdjęcia były jak kadry z filmu, waliłam przecież jedno po drugim, niczym automat.

Najpierw wszyscy przy stole. Śmieją się, śpiewają, gestykują. Nie zwracają uwagi na obiektyw aparatu, za bardzo zajęci sobą i za bardzo pijani... Wśród nich jest Ewa, skupiona i zadumana. Niedaleko Rysiek – też wyobcowany z otoczenia, spięty, dziwnie jakoś ją obserwuje. Na następnym ujęciu Ewa odwraca się, chyba z kimś rozmawia, ale nie widać jej dobrze, bo jakiś kretyń włożył mi w kadr i robił wygibasy do aparatu. Zdjęcie do bani. Wróć, coś tu jednak widać: Rysiek najwyraźniej doszedł już do siebie, nawet się uśmiecha, rozlewa wszystkim wódkę do kubków... Następne jest właśnie to, które mnie zastanowiło: Ewa siedzi na ławie wśród dobrze już rozbawionego towarzystwa. Jej twarz oświetlona jest płomieniem świecy, w oczach ma zdumienie i jakby... zgrozę. A może popłoch? Spogląda gdzieś w bok. To spojrzenie wygląda na takie... dziwnie ukradkowe. W cieniu, tuż przy niej, stoi Rysiek, miesza coś w kubku za pomocą turystycznego niezbędnika. Co on, koktajl tam robił?! Na następnych trzech zdjęciach nic specjalnego, jak to na imprezie: wszyscy popijają, gadają, nawet Ewa jest ożywiona, choć znając ją, powiedziałabym, że trochę sztucznie – ale może to tylko sugestia... Na ostatnim z tej serii jakby straciła całą parę, wygląda na zmęczoną. Na kolejnym ujęciu Ewa ma głowę opartą o blat stołu. Chyba już niezłe ścięta! Rysiek usiłuje ją podnieść. Nikt nie zwraca na nich uwagi... Kolejny kadr: Rysiek właśnie walczy z drzwiami, podtrzymując bezwładną Ewę. A na następnym ich miejsca już są puste... Zaraz, zaraz... Zdjęcia pstrykałam bez przerwy. Czyli cały ten dramat, który tu widać, rozegrał się w stosunkowo krótkim czasie, najwyżej kilkunastu minut. Na pierwszych zdjęciach Ewa wcale nie sprawia wrażenia pijanej. Jakim cudem zdążyłaby tak szybko urznąć się do nieprzytomności?! Ale przecież Rysiek wyprowadzał ją kompletnie narąbaną, sama widziałam... Nawet miałam głupią satysfakcję, że tym razem to ja jestem trzeźwiejsza!

Reszta tych zdjęć nie przedstawiała już nic ciekawego, większość nieostrych, zwykły chłam. Na ostatnim ładny landszafcik: widok zasypanego śniegiem schroniska, w tle góry – pożegnalne zdjęcie.

Siedząc po turecku na podłodze, jeszcze raz obejrzałam zdjęcia i powoli je odłożyłam. Tu jest odpowiedź na większość pytań. Tylko jeszcze jej nie

zrozumiałam. Zaraz... Coś się wtedy musiało wydarzyć. Naraz rozjaśniło mi się w głowie. Rysiek! Tylko on był cały czas obok niej! Nie, to niemożliwe... Niemniej jednak coś ukrywa. Uczestniczył bezpośrednio w tym dramacie. Musiał coś zauważyć. Dlaczego milczy na ten temat? W jakim celu wyciągał dziś ze mnie informacje? Był ciekawy, ile wiem? Bardzo mu zależało na tym negatywie! Za bardzo. Niby czemu nie mógł poczekać dzień dłużej, miałby odbitki za darmo... Poza tym jego rozpacz wydała mi się nieco teatralna.

Myślałam intensywnie, chodząc w kółko po pokoju. Ktoś powiedział jej coś tak okropnego, że ścięła ją to z nóg. A w rezultacie – zabiło... Rysiek? Ale co, na miłość boską, co?! I dlaczego? Przecież oni się naprawdę kochali. Musiałam to przyznać. Może chodziło o zazdrość? Ten facet, o którego Rysiek tak się pieklił...

Ale przecież Ewa – bezkompromisowo uczciwa – nie była zdolna do zdrady! Nigdy by nie puściła Ryśka kantem. Nikomu nie robiła świństw, a co dopiero jemu... Nie, to odpada. Ten podrywacz w charakterze tajemniczego kochanka – co za bzdury mi chodzą po głowie.

Zaraz, a może ona kogoś nagle rozpoznała, może tego podrywacza właśnie, może ten ktoś jej zagrażał... Z jakiegoś powodu nie chciała, żeby Rysiek się o tym dowiedział. Może ten hipotetyczny osobnik wyprowadził ją potem pod jakimś pretekstem – podstępem albo siłą – gdzieś do lasu i zamordował?!

Na jednym zdjęciu Ewa prawdopodobnie z kimś rozmawia. Nie widać z kim. Nie z Ryśkiem w każdym razie. Ale w końcu to nic niezwykłego, przy stole zwykle się rozmawia. Wracamy do punktu wyjścia. Bo niby kim miałyby być ta zbrodnicza postać? Nic nie wskazuje na to, że Ewa zamieszana była w jakąś aferę. Czyli co – jednak Rysiek? Ejże, czy przypadkiem nie przemawiają przez ciebie stare animozje? Jeśli chodzi o małżonka Ewy, to nie jesteś obiektywna – upomniałam sama siebie.

Lecz moje podejrzenia narastały, jakby mimo woli... W końcu wymyśliłam coś takiego: jeśli Rysiek jest winny, to nie zwróci mi filmu! Proste! Fotografia to w końcu nic innego, tylko zatrzymana przeszłość. Rysiek zdaje sobie z tego sprawę. Coś mu w tej uwiecznionej przeszłości bruździ... Jest przekonany, że

to jedyny negatyw. Jeśli ma coś do ukrycia, będzie chciał się go pozbyć. Jest szansa, że zniszczy film, nawet go nie wywołując, żeby unicestwić potencjalny dowód. Zdjęcia go tak naprawdę nie interesują. Szkoda negatywu, ale to by było najmniejsze zło. Gorzej, jeśli się kapnie, że musi być jeszcze jeden... Co wtedy? Wyprę się! Powiem, że po pijanemu prześwietliłam.

Następnego dnia Rysiek się nie zgłosił. Czekałam cierpliwie do wieczora. Nie, to eufemizm – czekałam niecierpliwie! Jego telefon nie odpowiadał. Cóż, może mu coś wypadło. Ale następnego dnia nie zgłosił się również. Nie mogłam go złapać nawet na komórkę. Także przez kolejne dni był nieuchwytny. Moje podejrzenia rosły w zawrotnym tempie...

Natomiast w międzyczasie zadzwoniła Ala, ta z muzeum.

– Wiesz, namieszałaś mi w głowie – powiedziała z wahaniem w głosie. – Coś mi się przypomniało. Afera muzealna odpada, ale... kiedyś przypadkiem spotkałam Ewę z jakimś facetem. W kawiarni. Zobaczyłam ich przez szybę, więc niewiele widziałam, ale... No nie wiem... Zdziwiłam się, bo romansowanie na boku mi nie pasowało do Ewy. Zresztą facet był nawet przystojny, lecz nie wyglądali na parę szczęśliwych zakochanych. Nie byli chyba w zbyt świetnych humorach. A krótko przedtem, tego samego dnia, Ewa miała dziwny telefon. Powiedziała mi, że to pomyłka, ale była bardzo zdenerwowana. Jakoś tak połączyłam oba te fakty...

– A to na pewno nie był jej mąż? – zapytałam.

– Nie, to na pewno nie był Ryszard – odparła stanowczo. – Ten był młodszy i w ogóle zupełnie inny!

– Jak wyglądał ten facet? – Od razu przypomniał mi się nachalny adorator Ewy ze schroniska. Może to ten sam? Może jednak pojechał tam za nią?

– Koło trzydziestki, brunet, zarost, długie włosy. Za młody. I taki jakiś... dziwny – powiedziała ostrożnie. – Zdziwiłabym się, gdyby Ewa z kimś takim romansowała.

– Wiesz – zauważyłam – w tych sprawach kobiety bywają nieobliczalne. Ale to rzeczywiście dziwne. Nie mówiła ci nic na ten temat?

– Nie. I nie pytałam! – odparła. – Nie byłam z nią aż tak blisko. Może to zresztą przypadkowe spotkanie? Mogła na przykład pójść sobie po prostu na

kawę po pracy i ktoś się dosiadł. Jakiś sąsiad albo znajomy. Przecież Ewa nie była odludkiem.

Odkładając słuchawkę, miałam w głowie jeszcze większy mętlik. Pewnie, że mogło to być przypadkowe spotkanie. Ale w tej sytuacji nie mogłam zakładać przypadków. Ewa z kimś się spotykała. W kawiarni. I z pewnością nie był to Rysiek. Ani ten gość ze schroniska. Tamten był grubawy, łysawy i w okularach.

Rysiek nadal się nie odzywał. W końcu dodzwoniłam się do jego gabinetu. Wyraźnie go to nie uradowało. Spławił mnie. Powiedział, że jest bardzo zajęty i żebym nie przeszkadzała. I że się odezwie. Ale się nie odezwał przez kolejnych kilka dni...

Więc któregoś niedzielnego poranka podjechałam do jego domu. Jeszcze tak niedawno to był dom Ewy. Co za parszywe życie!... Właśnie miałam wysiadać z samochodu, kiedy otworzyły się drzwi i wyszedł z nich Rysiek – z jakąś lafiryndą pod rękę! Coś jej skwapliwie tłumaczył. Baba była ewidentnie z tych tłumaczeń niezadowolona, wzruszała pogardliwie ramionami. Podprowadził ją do taryfy, wsadził, pomachał – taksówka ruszyła. Rozejrzał się szybko na boki, lecz mnie na szczęście nie zauważył: siedziałam w samochodzie, w bezpiecznej odległości. Aut parkowało tu mnóstwo, a moje tico niespecjalnie się wyróżnia. Zawrócił do domu.

Ciekawe, pomyślałam. Tak szybko się pocieszył? Babsztyl, owszem, prezentował się niezłe, przynajmniej z daleka...

Zastanawiałam się akurat, co mam teraz zrobić, kiedy ponownie wyszedł z domu. Tym razem wsiadł do swojego czerwonego Citroena i odjechał. Przecież nie będę go śledzić! Z domu zadzwoniłam na jego komórkę. Nie odpowiadała. Zadzwoniłam na numer domowy i nagrałam wiadomość na sekretarce. Nie pierwszą, ale za to najostrzejszą. Zażądałam negatywu jeszcze dzisiejszego wieczoru...

Zadzwonił następnego dnia rano, kiedy jeszcze spałam.

– Cześć, to ja – oświadczył beztrosko. – W sprawie tego negatywu. Wiesz, nie mogę go znaleźć. Strasznie mi przykro. Gniewasz się?

Zabrzmiało to w moich uszach tak cynicznie, że – mimo niewyspania – wstąpiła we mnie jakaś ogromna energia, która natychmiast zamieniła się w furję.

– Czy się gniewam?! Zabiję cię! Co to znaczy: nie mogę znaleźć?! Co ty sobie wyobrażasz...

– Dzwonię z gabinetu – przerwał mi bezczelnie. – Nie mam czasu na takie rozmowy.

– A zdjęcia chociaż masz?! – w porę przypomniałam sobie, co jest najważniejsze. A raczej, co powinno być najważniejsze w tej sytuacji.

– Nie zdążyłem oddać do wywołania, wybacz – powiedział to spokojnie i beznamiętnie.

– Ty chyba oszalałeś! – chciałam kontynuować, ale przerwał połączenie. Po prostu rzucił słuchawką!

Cham jeden – pomyślałam, zanim jeszcze dotarło do mnie, co to naprawdę oznacza. A oznaczało, że moja teoria znalazła potwierdzenie. Jednocześnie nawet poczułam ulgę. Najwyraźniej nie zorientował się w kwestii istnienia drugiego negatywu. To świetnie, że nie zadał sobie fatygi wywołania tych zdjęć! Może nawet od razu zniszczył film. Byłam teraz pewna, że drań ma jakiś związek z zaginięciem Ewy. Jeszcze co prawda nie wiem jaki...

Z jakiegoś powodu przed nim uciekła. Z jakiego? Nie wiem, nawet się nie domyślałam – ale się dowiem.

W tym momencie dotarło do mnie, że pomyślałam właśnie dokładnie to samo, co w swoim czasie powiedziała Ewa. „Ale się dowiem”. Jej to najwyraźniej nie wyszło na zdrowie. Może czasem lepiej za dużo nie wiedzieć? Obym tylko nie skończyła tak jak ona...

Zaraz potem ostudziłam nieco swoje emocje. Bez przesady, dlaczego ja się porównuję z Ewą? Bo przypadkiem użyłam tego samego sformułowania? Toż to bzdura! Ja przecież nie jestem – chwała Bogu – żoną Ryśka. A z niego jest może kawał gnojka, ale to przecież żaden zbrodniarz! Nawet nie typ zbrodniarza... Taki kretyn?

I wtedy nagle przyszło mi do głowy, że może to ja jestem kretynka, a nie on. Naiwna kretynka, taka sama jak Ewka! Bo on, zdaje się, wcale nie jest taki

głupi, na jakiego wygląda. To zimny, cwany, wyrachowany drań. Egocentryk czystej wody.

Już wtedy zaczęła mi się zarysowywać, mgliście na razie i niejasno, pewna szalona hipoteza. Nie miałam jednak żadnych dowodów. Moje podejrzenia były czysto instynktowne. I mrozące krew w żyłach. Upił ją celowo... Z zemsty... Popchnął do samobójstwa... Może specjalnie wpędzał w chorobę psychiczną? Takie rzeczy snuły mi się po głowie.

Setki razy od nowa oglądałam te zdjęcia. Nie wiedziałam, czy nie ponosi mnie przypadkiem fantazja. Na wszelki wypadek dobrze zabezpieczyłam negatyw. Gdybym posiadała sejf, na pewno bym go w nim zamknęła, jak jakiś drogocenny skarb. Kompletnie nie miałam pojęcia, co powinnam zrobić. Iść z tymi rewelacjami na policję? Ośmieszę się tylko. Co prawda, mam zdjęcia. Ale to za mało...

Z zamyślenia wyrwał mnie telefon. Dzwoniła ponownie Ala. Przypomniała mi, że obiecałam zrobić dla nich zdjęcia, i dodała, że bardzo im zależy na czasie. Było mi to na rękę. Oderwę się trochę od tego myślenia. Powiedziałam, że przyjadę za chwilę.

W muzeum było cicho i spokojnie. Kojąca atmosfera na moje zszargane nerwy. Miałam zrobić po kilka ujęć odrestaurowanych właśnie zabytków. Przyjemne zajęcie. Właśnie kończyłam, kiedy weszła Ala.

– Zostaniesz chwilkę, kiedy już się z tym uporasz? Zaparzyłam kawę.

– Nawet nie wiesz, jak chętnie! – odparłam, zadowolona. – Akurat kończę.

Kiedyś często tu bywałam. Ewa też zawsze parzyła dla nas kawę lub herbatę, potem siedziałyśmy sobie w jej zagraconej pracowni i gadałyśmy... Teraz wydawało mi się, że to było wieki temu.

Ala czekała na mnie w małym gabineczku na zapleczu. Na biurku stała już parująca, mocno aromatyczna kawa. Specjalnie nie przepadam za kawą, ale tu jakoś zawsze mi smakowała.

– Alu, a nie wiesz czegoś o obrazie, który ostatnio kupiła Ewa w jakimś antykwariacie? – przypomniało mi się nagle, gdy błędziłam wzrokiem po obrazach, wiszących na ścianach pomieszczenia.

– Ten neogotycki pejzaż? – Ale podała mi stylową, porcelanową cukiernicę. Tu wszystko musiało być stylowe. – Nic cennego, ale słodki, prawda? Byłyśmy razem, kiedy go wypatrzyła na wystawie. Sama jej doradziłam, tani był. Ewie bardzo się spodobał. Jakaś niemiecka pracownia z dziewiętnastego wieku, całkiem niezły stan, jak na taki sklepik.

– Ale nic cennego – pokiwałam głową.

– No niezbyt – przyznała. – Za to naprawdę urokliwy. Kupiła go Ryszardowi z okazji, zdaje się, rocznicy ślubu. Albo może to chodziło o jego imieniny, nie pamiętam... A co, podoba ci się?

– Bardzo – odparłam. – Zainteresował mnie. Byłam ciekawa, czy to oryginał, czy może jakaś kopia.

No tak, pomyślałam – fałszywy trop. Dziwne tylko, że Rysiek nie wspomniał, że ten obraz dostał od niej w prezencie.

– Robiłam porządki w pracowni – powiedziała nagle Ala – i znalazłam w szafie między papierami kalendarzyk Ewy z zeszłego roku. Nie chciałam wyrzucać. Może przekażesz go jej mężowi?

Pogrzebała w szufladzie i podała mi mały czerwony notesik.

– Jasne, dzięki – schowałam kalendarzyk głęboko do kieszeni. Serce mi biło. Już się rozpędziłam, żeby go wręczyć Ryskowi!

Pośpiesznie dopiłam kawę i pożegnałam się z Alą. Jeszcze na schodach szybko przejrzałam zdobycz. Sporo zapisków... Tak, to jest to! Znałam dobrze stary zwyczaj Ewy. Zapisywała w kolejnych kalendarzach całe swoje życie w telegraficznym skrócie. Zwykle były to krótkie hasła, zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych. Ale czasem fantazja ją ponosiła i wypisywała swoje złote myśli, a nawet notowała sny. Oczywiście miała tam też zwykle notatki, adresy, telefony... Podobnie było w tym kalendarzyku. Po powrocie do domu spędziłam nad nim godzinę i w miarę czytania robiło mi się coraz bardziej gorąco.

Miałam dziwne wrażenie, jakby Ewa zmartwychwstała, jakbym z nią znowu mogła rozmawiać. Komentowałam na głos jej słowa, zapisane na tych małych karteczkach. Chciało mi się śmiać i płakać, na przemian. Typowa Ewa! Jednak z czasem zapiski stawały się coraz krótsze i bardziej niedbałe. Potem

zaczęły występować sporadycznie, jeszcze dalej dość długo nic i po przerwie, nabazgrane w poprzek strony dużymi literami słowo: KONIEC. Później znalazłam już tylko jedną notatkę. Też zajmowała całą stronę: MARLENA??! I jakiś numer telefonu...

Siedziałam nad tym kalendarzykiem, paliłam papierosy i dumałam. Coś spadło na Ewę nagle. Wcześniejsze zapiski były normalne. Pełne ciepła, zabawne i optymistyczne. Charakterystyczne dla Ewy. Później wyraźnie coś się wydarzyło. A potem ten KONIEC... Dziwne. Musiała doznać potężnego ciosu, jeśli przerwała notatki. Robiła je od wieków, zawsze, odkąd pamiętam. Gdyby to była tylko zwyczajna drobna przykrość, na pewno by ją zapisała! Czyli zaprzecza to teorii o narastających problemach psychicznych. Coś takiego nigdy nie pojawia się ot, tak sobie, niemal znienacka – chyba że spowodowane jest ciężkim szokiem.

I czy cokolwiek wspólnego z tą sprawą ma tajemnicza Marlena bez nazwiska? Jest przy niej numer telefonu. Zadzwoń! Co mi szkodzi, spróbuję. Zawsze mogę udać, że to zwykła pomyłka.

– Medicus – wyposażenie gabinetów lekarskich, słucham – odezwał się damski głos w słuchawce.

– Czy zastałam... panią Marlenę? – zapytałam ostrożnie.

Co Ewa mogła mieć wspólnego ze sprzętem medycznym? Za to dobrze wiem, kto mógł, a nawet z całą pewnością miał!

– Marlenę? Chodzi o tę panią z marketingu?

– Tak, chyba tak...

– Niestety, jest na urlopie.

– A kiedy wróci do pracy?

– Trudno mi powiedzieć, proszę się dowiadywać.

No tak. Wszystko jasne... A właściwie nie, wcale nie wszystko. Muszę, koniecznie muszę, skontaktować się z tą cholerną Marleną! Jeśli nie będę miała pewności, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim, nie ruszę dalej. Możliwe, że to nie Ewa wplątała się w jakąś aferę, tylko Rysiek! A Ewa za to zapłaciła... Mam stanowczo za mało informacji. Ewa wspominała o dziwnych telefonach. Skąd wytrzasnąć więcej danych? Jak ona mogła trzymać to wszystko przede

mną w tajemnicy?! Czyżby nie ufała nawet mnie? Gdzie szukać klucza do tej zagadki?

Klucza?!

Coś mi się raptem przypomniało... Mam zapasowe klucze do domu Ewy! A raczej teraz już domu Ryska.

Ewa dała mi je dawno temu, kiedy wyjeżdżali gdzieś na dłużej i miałam w tym czasie podlewać u nich kwiatki. Jeden był od furtki, drugi od domu. Potem ich już nie odbierała, bo – jak stwierdziła – będą na podobne okazje w przyszłości. Okazji tak wiele nie było, najczęściej na urlopy jeździliśmy wspólnie albo Rysiek wyjeżdżał sam, służbowo. Za to teraz mi się przydadzą...

Następnego dnia rano, kiedy wiedziałam, że Rysiek powinien być w pracy, zadzwoniłam dla pewności do jego gabinetu. Odebrał. Miałam przygotowany tekst. Zapytałam, z nutą hysterii, czy znalazł wreszcie mój negatyw.

– Nie, nie znalazłem! Już cię za to przepraszam. Jeszcze raz powtarzam, że jak znajdę, to dam ci znać! Masz coś jeszcze?

– Ja chcę tylko odzyskać swoją własność! Kiedy wracasz do domu? Może wpadnę i poszukamy razem?

– Wracam późno. Będę wykończony.

– Słuchaj, jeśli będziesz w domu przed, powiedzmy, siódmą, to może jednak przyjadę? Nie zajmę ci dużo czasu.

– Nie dziś. Na pewno nie wrócę przed siódmą. Przepraszam, nie mam czasu na dyskusje! Pacjenci czekają.

Głupi palant! Poczulałam się rozgrzeszona. I miałam pewność, że nie będzie go w domu, kiedy złożę tam wizytę.

Pojechałam zaraz po śniadaniu. Na wszelki wypadek zaparkowałam na sąsiedniej ulicy.

Denerwowałam się trochę, ale naprawdę tylko trochę – w końcu tyle razy odwiedzałam w przeszłości ten dom, tyle razy czułam się tu jak u siebie. Dla mnie to nadal był dom Ewy. Zawsze nim był, odkąd pamiętam. I zawsze będzie. Nie mam się czego obawiać w domu Ewy.

Dom stał na rogu, w rozległym ogrodzie pełnym wysokich drzew. Duży, stary, z otwartym gankiem. Rozejrzałam się dookoła dla formalności, na

wszelki wypadek nacisnęłam też guzik dzwonka... Po czym otworzyłam furtkę i wślizgnęłam się szybko do ogrodu. Trochę obawiałam się, że Rysiek mógł wymienić zamki, ale klucz pasował. W domu był alarm, na szczęście jednak wiedziałam, jak go wyłączyć... Uff, Bogu dzięki! Z tymi alarmami to nigdy nie wiadomo. Bez problemu dostałam się do środka. Dopiero tutaj zaczęłam naprawdę odczuwać napięcie. Może dlatego, że dom od wewnątrz prezentował się inaczej niż przedtem. Pozornie Rysiek niewiele zmienił... Ale teraz panował tu sterylny porządek, jak w muzeum – podczas gdy za czasów Ewy dominował zwykle malowniczy bałagan! O wiele bardziej pasujący do tych zabytkowych, stylowych mebli i starych obrazów. Ewa zawsze twierdziła, że przebywając na co dzień w muzealnych wnętrzach, nie ma ochoty odtwarzać ich we własnym domu.

W razie czego lepiej będzie zdjąć buty! Zamknęłam za sobą drzwi na klucz i rozpoczęłam metodyczne poszukiwania. Najpierw w salonie i bibliotece. W bibliotece natknęłam się na olejny obraz w złożonych ramach. Nie widziałam go tu przedtem. Średnich rozmiarów, przedstawiał nastrojowy, mglisty pejzaż z pochmurnym niebem i ruinami średniowiecznego zamczyska na urwistej skale pośrodku wzburzonego jeziora. To pewnie ten obraz, który Ewa podarowała Ryśkowi. Rzeczywiście – nastrojowy. Ewa zawsze lubowała się w tego typu klimatach. Mnie też się podobał, choć szczerze wątpię, żeby Rysiek naprawdę go docenił. Zdałam sobie jednak sprawę z tego, że nie mam teraz czasu na kontemplowanie dzieł sztuki. Powróciłam do poszukiwań. Mniej więcej orientowałam się, gdzie co trzymali. Z ulgą zauważyłam, że pod tym względem nic się nie zmieniło, wszystko pozostało tam, gdzie powinno być. Poruszając się ostrożnie i odkładając każdy drobiazg dokładnie na swoje miejsce – Rysiek był pedantem – przejrzałam zawartość szuflad w szafie bibliotecnej, gdzie zwykle przechowywali papiery. Znalazłam mnóstwo starych listów i dokumentów, ale nie było wśród nich niczego ciekawego. Zastanawiałam się też, czy przy okazji nie natknę się przypadkiem na swój negatyw, nigdzie go jednak nie zauważyłam. Co zresztą było do przewidzenia. W tak zwanym pokoju do pracy dopadłam komputera. Modląc się, wstukiałam hasło: eva. Dzięki Bogu, nie zmienił go. Dokumenty. Są listy! Nie

zastanawiając się długo, zgrałam to wszystko na dyskietkę, którą znalazłam w kartonie w szufladzie biurka. Czytać będę w domu. Teraz szkoda czasu.

Buszowałam sobie w najlepsze, kiedy usłyszałam skrzypnięcie furtki i jakieś głosy... Ktoś szedł ścieżką w stronę domu! Spłoszona zerknęłam na zegar – dopiero pierwsza! Ostrożnie, trzęsąc się cała, spojrzałam w okno przez firankę. Na miłość boską, to Rysiek! A to drań jeden zaklamany! W dodatku nie sam, tylko znowu z laską! Nie byłam pewna, ale chyba to ta sama. Nawet się już nie ukrywają. Porwałam dyskietkę i buty. Akurat zblizali się do ganku. Wycofując się w popłochu, przypomniałam sobie, na szczęście, że zostawiłam w zamku klucz!

Jednym skokiem dopadłam drzwi i wyszarpałam go rozpaczliwie – dokładnie w tym momencie, gdy niemal wchodzili już, śmiejąc się bez troski, na schodki. Jakoś – zagadani – nic, chwala opatrności, nie usłyszeli.

Pędem pobiegłam do łazienki na tyłach domu. Było tam okno. Wąskie, ale jakoś się przecisnę. Wchodzili właśnie do środka, kiedy jeszcze mocowałam się z nim gorączkowo. W końcu udało mi się otworzyć okno, zrzuciłam buty, wyskoczyłam i w ostatniej chwili zdążyłam je lekko przymknąć. Ktoś wszedł do łazienki. Skuliłam się za rosnącym tam szczęśliwie krzaczkiem. Serce waliło mi jak młotem. Usłyszałam nucenie i za chwilę babski głos:

– Ryśku, zostawiłeś niedomknięte okno w łazience?

Głos Ryśka odpowiedział z wnętrza domu:

– Tak? Nie pamiętam! Być może.

Okno zostało zamknięte. Ale nadal nie śmiałam się poruszyć. Tylko buty ostrożnie włożyłam. Na szczęście wszędzie była stara trawa, więc nie zostawię śladów... Śnieg dawno stopniał. Po jakimś czasie, prawie się czolgając, dotarłam pod kuchenne okno, skąd miałam dobre dojście do parkanu przy bocznej ulicy. Chciałam się tamtędy przemknąć. Znów usłyszałam fragmenty rozmowy. Lufcik był uchylony. Siedzieli w kuchni, cholera jasna! W pewnym momencie Rysiek powiedział – początku nie dosłyszałam – coś takiego:

– ...ta wariatka... po swój cholerny negatyw...

Antypatyczny babski głos odpowiedział szyderczo:

– A niech sobie szuka do upadłego!

To usłyszałam wyraźnie. Widocznie była bliżej. Poczekaj, ty wstrętna krowo – pomyślałam w duchu. Po chwili wyszli z kuchni. Pobiegłam ukosem przez ogród, między drzewami, przeskoczyłam ogrodzenie, na szczęście z tej strony dość niskie – i boczną uliczką dotarłam do swojego samochodu.

Zanim byłam w stanie ruszyć, wypaliłam dwa papierosy. Serce wciąż tłuło mi się w piersi się jak oszalałe i żyła pulsowała na skroni! Ja to mam szczęście... Raz w życiu włamuję się do cudzego domu i od razu pakuję się w kłopoty!

Przeglądając zawartość dyskietki, znalazłam mnóstwo bezużytecznych rzeczy: listów do rodziny i znajomych, raczej nie najnowszych, próbek poetyckich Ewy i tak dalej. Już myślałam, że cały mój wysiłek był daremny. Ale na samym końcu natknęłam się na jeden list, dla którego warto było ryzykować! To właśnie coś takiego, czego potrzebowałam.

List był do Ryśka, datowany tuż przed naszym wyjazdem w góry, czyli dwa miesiące temu. Brzmiał mniej więcej tak:

Drogi Rysiu!

Jeśli czytasz ten list, to znaczy, że nasze małżeństwo nie ma już sensu. Nie warto udawać, że jest normalnie, nic nie jest tak samo i ja o tym wiem. Wyrażając się ściślej – wiem więcej niż możesz przypuszczać. Rozmawiałam z tą... panią. Oraz z paroma innymi osobami. Wygląda na to, że ładujesz się w niezłe kłopoty. Mam nadzieję, że oprzytomniejesz, zanim będzie za późno. W każdym razie bądź ostrożny! Nie potrafię już dłużej żyć w ten sposób. Myślę, że czas się rozstać.

W górach zamierzam ostatni raz z tobą porozmawiać. Jeśli ta rozmowa potwierdzi moje przypuszczenia, to wrócisz do domu sam. Ja zostanę kilka dni dłużej, może namówię Kasię, żeby mi towarzyszyła. Powiem jej wszystko dopiero w ostatniej chwili. Na razie ode mnie nikt nic nie wie.

Przeczytasz ten list, spakujesz swoje rzeczy i wyprowadzisz się, zanim przyjadę. Nie ukrywam, że to akt dobrej woli z mojej strony. A dla ciebie ostatnia szansa.

Zdecydowałam się na rozwód bez orzekania o winie. Nie dlatego, że przestraszyłam się telefonów twojej, jak sądzę, przyjaciółki, ale dlatego, że mnie na to stać. Nie mam już o co walczyć.

Mam pracę, trochę oszczędności i, na szczęście, mam gdzie mieszkać. Będę musiała sobie radzić. Ty też. To chyba sprawiedliwy układ?

Nie wiem tylko, jak uporać się, delikatnie mówiąc, z rozczarowaniem. Boję się dalszego życia z takim obciążeniem – ale to już mój problem. Zastanawiam się jednak, jak to możliwe, że przez tyle lat nie wiedziałam, kim naprawdę jesteś.

Życzę ci szczęścia – Ewa

Boże, już nic nie rozumiem... Czyżby jednak rzeczywiście zdecydowała się na ten samobójczy krok? Ależ nie, to niemożliwe – list wydaje się dość rozsądny. Mimo goryczy i gniewu nie sprawia wrażenia listu samobójczyni. Miała zamiar wszystko mi opowiedzieć. Nie zdążyła. Dlaczego nie naciskałam jej bardziej?! O jakich kłopotach tu mowa?

Znowu zaświtał mi cień nadziei. Zaczęłam marzyć sobie, że może się jednak myliłam, że Ewa tak naprawdę nie zginęła, że jedynym wyjściem dla niej była – lub wydawała się – ucieczka, zniknięcie z horyzontu. Obojętnie z jakiego powodu! A niechby nawet z głupiej miłości! Albo zdrady – obojętnie, kto kogo zdradzał. Tkwiła w tym wszystkim zagadkowa Marlena, ale także długowłosa, brodaty brunet. W skrajnym załamaniu, w desperacji ludzie czasem podejmują najdziwniejsze kroki. Było to z mojej strony rozpaczliwe czepianie się resztek wiary, resztek wrodzonego optymizmu. Bo w głębi ducha przygotowana byłam na to, że już jej więcej nie zobaczę...

Na razie musiałam zidentyfikować złowróżbną postać kobiety uczestniczącej w tym dramacie. Będącej przypuszczalną sprawczynią dramatu. Nie wątpiłam, że jest nią owa Marlena z kalendarzyka Ewy. Nie wątpiłam, że kryje się za tym jakaś grubsza afera. Może Ewa coś wykryła. Pytanie, czy Marlena to ta sama osoba, z którą aktualnie prowadzi się Rysiek. Musiałam mieć pewność. Jeszcze raz zadzwoniłam do firmy Medicus i zapytałam, czy pani Marlena wróciła już z urlopu. Nie wróciła. A kiedy wróci? Nie wiadomo.

– Proszę posłuchać, ja mam bardzo ważną sprawę do tej pani! – przekonywałam rozpaczliwie recepcjonistkę. – Po prostu muszę się z nią skontaktować, nie mogę dłużej czekać. Chodzi o wyposażenie gabinetu

dentystycznego, które załatwiałam z panią Marleną. Dziwię się, że nie zostawiła dla mnie żadnej wiadomości...

– A może ktoś inny mógłby pani pomóc? Połączę panią z kierownictwem.

– Nie, nie – to mi nic nie da! Potrzebna mi jest właśnie ta pani. Sprawa została już prawie sfinalizowana, mam tylko do uzgodnienia parę szczegółów. Pani Marlena musiała o mnie zapomnieć, prosiłam przecież o kontakt! – udawałam teraz rozdrażnioną.

– Na pewno nie zapomniała – zawahała się recepcjonistka. – Ale... ta pani być może już do nas nie wróci po urlopie. Prawdę mówiąc, praktycznie nie pracuje już chyba w naszej firmie.

– Ależ to mnie bynajmniej nie pociesza! – zdwoiłam czujność. – Proszę jednak sprawdzić, czy nie ma dla mnie jakiejś informacji – tu podałam fikcyjne nazwisko.

– Niestety, mam tu tylko wiadomość dla pana doktora, zaraz... Fiałkowskiego. Nic więcej.

– Doprawdy, niepoważne... – narzekalam. – To bardzo pilne!

– Więc jak mogę pani pomóc?

– Proszę mi, z łaski swojej, umożliwić kontakt z panią Marleną. Może jej prywatny numer telefonu?

– Ale nam nie wolno udzielać takich informacji – zaniepokoiła się. – Naprawdę mi przykro...

– Co więc pani proponuje? Zapewniam panią, że to leży w interesie tej pani. I pani firmy również! – Byłam już rzeczywiście coraz bardziej zła i sfrustrowana.

– Chodzi na pewno o tę panią z marketingu? – Wyczułam, że mnie sprawdza. Zaryzykowałam:

– Tak, dość młoda, wysoka brunetka... – Więcej szczegółów nie znałam. Widziałam tamtą zmięć tylko z daleka. Była w płaszczu i czapce. Ale wydawało mi się, że włosy i karnację miała ciemną.

– Ewentualnie mogę pani podać numer komórki – recepcjonistka zmiękła. Najwidoczniej miała mnie dość i chciała pozbyć się wreszcie intruza.

To mnie w zupełności zadowalało. Zadzwoiłam od razu. Dopóki nie opuściło mnie natchnienie... Wymyśliłam sobie, że przedstawię się ponownie jako lekarz, a dalej zobaczymy. Będę improwizować. Jak mi się nie uda, trudno – jakoś inaczej babę wyśledzę.

Odebrała po pierwszym dzwonku. Głos ostry, energiczny, pewny siebie. Chyba ten sam! Wydawała się nieco zaskoczona moim telefonem. Trudno się dziwić. Rozpoczęłam swoją kwestię od stereotypowych uprzejmości. Po kilku frazesach zdecydowałam się przejść do ataku:

– Mam dla pani bardzo korzystną propozycję – oświadczyłam tajemniczo. – Nie na telefon. To poufne. Rzecz dotyczy pewnego preparatu, którego pilnie potrzebuję. Czy możemy się jakoś spotkać?

– Przepraszam, jak pani... trafiła do mnie? – dopytywała się ostrożnie.

– Polecono mi panią – odparłam enigmatycznie.

– Tak?

– Doktor Fiałkowski bardzo był zadowolony ze współpracy – improwizowałam. – Chwalił panią.

Chwila ciszy...

– Doprawdy? – Strzał chyba był celny. – Bardzo się cieszę. Ale jestem na urlopie.

– Tak, słyszałam. Niemniej interesuje mnie współpracą właśnie z panią. Zaręczam, że to korzystna propozycja – zawiesiłam głos. – Intratna...

Nie wiem, skąd czerpałam natchnienie. Intuicja chyba.

– Gdzie miałybyśmy się spotkać? – zapytała. Czulałam, że jeszcze się waha, ale chyba złapała przynętę.

– A gdzie by pani odpowiadało? – Uśmiechnęłam się do siebie. – Może w jakiejś miłej kawiarence w centrum?

To ją chyba przekonało. Ciekawość ewidentnie babsztyła zżerała, a publiczne miejsce prawdopodobnie uspokoiło. Mnie to akurat też odpowiadało. Czulałam, że trafiłam w dziesiątkę. Było coś konfidencjonalnego w jej głosie. Ciekawe, co się za tym kryje? W każdym razie coś, o czym wiedziała Ewa!

Spotkanie zostało umówione na następny dzień, w południe. Na koniec poprosiłam o dyskrecję. Odparła, że nie muszę jej o tym przypominać. Czyli to dla niej nie pierwszozna.

Przez całą noc wyobrażałam sobie tę naszą konwersację. W końcu zdecydowałam się nadal polegać na swoim psim instynkcie. Do tej pory się sprawdzał.

Czekałam w samochodzie co najmniej kwadrans przed umówionym czasem spotkania. Nie powiem, nieco się denerwowałam. Przecież od tej rozmowy tak wiele zależało. Sprawdziłam – o tej porze knajpa była prawie pusta. Tuż przed dwunastą podjechał mały zielony fiat, wysiadła z niego samotna kobieta. Chyba to ta! Weszła do kawiarni. Odczekałam jeszcze kilka minut. Siedziała przy stoliku, grzebiąc w portmonetce. Kelnerka właśnie stawiała przed nią filiżankę kawy.

– Pani Marlina? – zagadnęłam i także zamówiłam kawę.

Spojrzała na mnie. W tym spojrzeniu dostrzegłam niepewność. Usiadłam po przeciwnej stronie i przyglądałam się jej dłuższą chwilę bez słowa. Była wysoka i szczupła, miała około trzydziestki. Ciemne, proste włosy mniej więcej do ramion. Niebrzydka, dość arogancka twarz. Coś twardego i bezkompromisowego w oczach... Pusta uroda. Widać było, że jeśli nawet ta osoba czasem myśli, to wyłącznie o sobie. Teraz spoglądała na mnie wrogo.

– Pani nie jest... Poznają panią! Widziałam panią na zdjęciach! Czego pani ode mnie chce?!

Kelnerka przyniosła moją kawę. Tamta skorzystała z okazji i wstała. Zauważyłam przy okazji z przyjemnością, że „wysoka” to w tym przypadku zbyt subtelne określenie... Choćla pasowałoby bardziej. Wielka raszpla. O, tej to Rysiek nie będzie raczej nosił na rękach!

– Siadaj! – powiedziałam ostro. – W jednym cię nie okłamałam: naprawdę mam dla ciebie korzystną propozycję.

– Nie mam ochoty z panią rozmawiać!

– Możesz nie mieć ochoty, nie przyszedłam tu dla twojej przyjemności. Ale leży to w twoim interesie.

Powoli usiadła. Zapaliłam papierosa. Nawet ją poczęstowałam. Wzięła machinalnie, zaciągając się łapczywie.

– Czego chcesz ode mnie? – zapytała wyzywająco.

– Chcę prawdy – powiedziałam, patrząc jej z uśmiechem prosto w oczy. Zobaczyłam w nich panikę.

– Jakiej prawdy?!

– Całej prawdy. Nie będę obwijać w bawełnę – wiem o tobie dużo. Takich rzeczy, którymi z pewnością wołałabyś się nie chwalić, zwłaszcza glinom... Rozumiesz, o czym mówię?

Milczała. Czyli dobrze!

– Będę ci zadawała pytania, a ty mi na nie odpowiesz. Stoi!

– Na jaki temat?

Nie odpowiedziałam.

– Coś ci się pomyliło – odwróciła wzrok. – Pomyliłaś adres! Nie mam nic wspólnego z tymi sprawami. Ja tylko wyposażam gabinety lekarskie, a o innych rzeczach nic nie wiem!

– Wiesz, wiesz... – uśmiechnęłam się porozumiewawczo. – No to jak? Decydujesz się? Bo zaczynam mieć pomału dosyć...

– A jeśli tak? Co dostaję w zamian? – Wydmuchała dym w moją stronę. Bardzo chciała sprawiać wrażenie pewnej siebie. Tylko ręce się jej trzęsły.

– Posłuchaj: byłam na policji. Oni wiedzą, że w tej chwili z tobą rozmawiam. Mnie naprawdę nie interesują twoje wyczyny na płaszczyźnie zawodowej. Interesuje mnie wyłącznie sprawa zaginięcia Ewy. Tak się składa, że brakuje nam kilku szczegółów. A ty je znasz, wiemy o tym. Opowiesz je i będziesz miała święty spokój. Niczym nie ryzykujesz, nawet nie jesteś podejrzana. Ale odmawiając – ryzykujesz dużo.

– Ty chyba zwariowałaś! – Aż podskoczyła na krześle. – Nie wiem, o czym mówisz!

– Powtarzam ci, nie ryzykuj... – Zgasiłam papierosa w popielniczce. – Teraz jeszcze możesz się z tego wykręcić. Nie chcesz chyba odpowiadać za współudział? Naprawdę sądzisz, że Rysiek będzie cię ochraniał, tak jak ty jego?

Facetów nie znasz?! Na naiwną panienkę raczej nie wyglądasz... – dodałam z satysfakcją.

– Policja cię nasłała? – zapytała, bawiąc się serwetką.

– Można to i tak ująć. Jestem fotografem, współpracuję z nimi – blefowałam na całego. – Mamy na ciebie różne rzeczy, ty wiesz, jakie... Nie bądź frajerką. On cię wrobi. Chcesz siedzieć resztę życia w więzieniu dla takiego głupka?

Zastanawiała się długą chwilę, paląc drugiego papierosa. Widać było, jak kalkuluje. W końcu powiedziała:

– Ja nic nie zrobiłam. Ale niech ci będzie, pytaj! Z tym że wyłącznie o prywatne sprawy, o żadnych przekrętach nie rozmawiam, bo nic nie wiem, rozumiemy się?

Wiedziała, że i tak spróbuje kombinować. Nie szkodzi. Lepszy rydz, niż nic.

– Ok. Jak się poznaliście? – zadałam zatem pierwsze pytanie.

– Z Ryśkiem? – wzruszyła ramionami. – W pracy. Na prezentacji naszej oferty, już ze dwa lata temu. Potem wyposażyłam mu gabinet.

– Kiedy zaczął się wasz... romans?

– Parę miesięcy temu. To znaczy, już dawno coś iskrzyło, ale tak naprawdę to chyba w listopadzie zeszłego roku.

– Na fotelu dentystycznym?

W odpowiedzi uśmiechnęła się – jak na mój gust – obleśnie i kontynuowała:

– Coś w tym stylu. Chciałabys znać szczegóły, co? Spotykaliśmy się często, bywałam w jego gabinecie po godzinach pracy, czasem razem wyjeżdżaliśmy. Jego żona na początku o niczym nie wiedziała. Ani mój mąż... Zresztą on ma to gdzieś, to drań! Rysiek mówił, że mnie kocha, że z żoną mu nie wychodzi. Takie tam, wiesz. On lubi się zabawić, a ona go śmiertelnie nudziła i nie pozwalała rozwinąć skrzydeł. Interesowały ją tylko książki, obrazy i te wasze góry! Ze mną mógł chodzić do pubów, na dyskoteki... I kochać się na różne sposoby... – Przerwała, patrząc na mnie wyzywająco.

– Kontynuuj – powiedziałam. – To interesujące.

– Pornole oglądamy sobie na wideo! – zarechotała cynicznie. – Nie bądź zbyt ciekawska. W każdym razie było nam razem świetnie. Ale on nie podejmował żadnej decyzji, chociaż powiedziałam mu wyraźnie, że jestem w każdej chwili gotowa rozstać się z mężem. – Znowu zamilkła.

– No i co dalej? – ponagliłam.

– Zaczęłam nalegać. – Ponownie wzruszyła ramionami. – Wiesz, on naprawdę za mną szalał. Nadal szaleje. Po prostu, pasujemy do siebie.

– Co dalej? – spytałam z naciskiem. Rzeczywiście, pasujecie... pomyślałam. Miałam ochotę ją kopnąć!

– Chciałam go złapać na ciężę. Udało mi się. Wtedy powiedział, że rozwiedzie się z nią.

– Rzeczywiście byłeś w ciąży?

– Byłam. Ale nie z nim. Chyba z mężem. Ale my mamy trudną sytuację finansową, a mój mąż lubi sobie wypić. To dupek. – Jej głos nagle stwardniał. – Zdradza mnie na okrągło!

– No to miałaś satysfakcję, co?

Jakie to banalne, mój Boże... Przez coś takiego Ewa musiała zginąć? Wspaniała, wartościowa Ewa?!

– Chciałam lepszego ojca dla dziecka – podniosła głos. – Albo przynajmniej dobrych alimentów.

– No jasne. I co się stało?

– W końcu musiałam zorganizować sobie aborcję, bo ta krowa nie chciała mu dać rozwodu! Nie mogłam ryzykować, ten mój by mnie chyba zatłukł. Nie stać nas na bachory, jego zdaniem. Ale Ryśkowi o tym nie powiedziałam. Dopiero niedawno. On myśli, że poroniłam.

– Wtedy zaczęłaś telefonować do Ewy? Straszyc ją? Grozić?

– Wiecie o telefonach?

– On o nich wiedział?! – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

– Najpierw nie. Ale potem się dowiedział. To były zwykłe dowcipy, nic takiego... Świetnie się bawiliśmy, mówię ci! Byłam pewna, że ona się złamie. Różne numery jej robiłam! Ale w końcu sama do mnie zadzwoniła. Nie wiem, jak się o mnie dowiedziała, to znaczy, kim jestem. Bo Rysiek jej na pewno nie

powiedział. On mnie nie chciał narażać. Oświadczyła, że to ona wystąpi o rozwód, bo też jej nakłamałam o tym dziecku. Niby szlachetna taka! Rysiek tego nie chciał. Znaczący tego procesu. Bał się, że to mu zniszczy karierę. No i wszystko by stracił. Dom i w ogóle... Powiedział, że będzie udawał dobrego męża, uspi jej czujność, a potem sam to jakoś załatwi.

Zdzira opowiadała to wszystko ze złośliwym samozadowoleniem. Miała je wypisane na swojej uszmkowanej gębie, pod tym krzywym, sztucznym uśmiechem. Zrobiło mi się niedobrze.

– I załatwił – powiedziałam, udając spokój.

Unikała mojego wzroku. Gmerała łyżeczką w pustej filiżance.

– Mówił, że jej powiedział wszystko dosadnie i że ta idiotka polazła w góry, żeby się zabić. Stwierdził, że o niczym więcej nie potrzebuję wiedzieć. Powiedział jeszcze, że przeczekamy i wszystko będzie dobrze. A co się właściwie stało? Ja nic więcej na ten temat nie wiem, słowo ci daję!

– Jak wygląda twój mąż? – zapytałam tylko dla zasady. Bo właściwie to byłam już niemal pewna, że to wiem.

– A co? – wyszczerzyła zęby. – Zainteresowana jesteś? Za ile go kupisz?

Otworzyła portfel i podała mi zdjęcie legitymacyjne zarośniętego bruneta około trzydziestki, o długich, tłustych włosach.

Zgadza się. Przecucie mnie nie myliło.

– Zadowolona? – zapytała, ostentacyjnie drąc zdjęcie na małe kawałeczki i wrzucając je do popielniczki. – Fakt, robi nie najlepsze wrażenie, prawda? Więc teraz mnie już chyba rozumiesz?

Cwaniara. Tyle się nagadała, wyraźną jej to frajdę sprawiło, a w sumie i tak nic ważnego od niej nie usłyszałam... Cudzołóstwo nie jest w końcu karalne w tym kraju.

Doradziłam jej jeszcze, żeby zamknęła się na wszelki wypadek w domu, skoro i tak ma urlop. I z nikim nie rozmawiała przez najbliższe dni – zwłaszcza z nim. Wcale nie z troski o nią, o nie! Jak dla mnie, to mogliby się wzajemnie pokroić na kawałki i zjeść... Po prostu lepiej, żeby się teraz przypadkiem nie dogadali. Powiedziałam też – zgodnie z prawdą – że nikt jej w tę sprawę nie wmixa, bo i tak nie ma przeciwko niej istotnych dowodów.

Taka sprawiedliwość. Durny sukinsyn może i pójdzie siedzieć – jeśli się o to postaram – ale bladź pozostanie bezkarna.

A potem zabrałam zdjęcia, list i kalendarzyk i udałam się prosto na policję...

Na policji początkowo nie miał mnie kto wysłuchać. Jakiś tłusty oficjał patrzył na mnie z pobłażliwym uśmiezkiem, a na koniec stwierdził, że to właściwie sprawa tamtejszych władz, a w ogóle to jak nie ma ciała... Że najlepiej by było poczekać na opinię ratownictwa górskiego. Wkurzyłam się. Oznajmiłam, że jeśli sądzi, że będę teraz jechała na drugi koniec Polski, żeby mnie łaskawie potraktowano serio, to się grubo myli i żeby ruszyli tyłki, bo mam kontakty w prasie i sprawę nagłośnię, choćby po swoim trupie! No, dokładnie w ten sposób nie powiedziałam, nie tymi słowami, ale taki z grubsza był sens. Facet uznał mnie chyba za jednostkę niebezpieczną i gotową na wszystko, bo przydzielił mi w końcu młodszego oficera, który miał wreszcie moich wywodów normalnie i spokojnie wysłuchać. No i chwala mu za to. Tuścioch zrehabilitował się w moich oczach. Bo nie dość, że ten drugi był młodszy, do tego przystojny i bez obrączki – to jeszcze sympatyczny, bystry i rzeczywiście słuchał. A nawet zadawał pytania. Wysoki szatyn. Lubię takich. Blondynów nie cierpię.

Miał naprawdę sympatyczny uśmiech i taki mały garbek na nosie... i jeszcze zabawny dołek w brodzie.

– No więc... – przyjrzał mi się uważnie zaraz na wstępie. – Z czym pani do nas przyszła? Bo wygląda pani na zdeterminowaną. Co to za zdjęcia?

– Tak, jestem zdeterminowana – odparłam zdecydowanie. – Bo to poważna sprawa. Jestem pewna, że się nie mylę. Zdjęcia później. Najpierw opowiem panu wszystko od początku...

Rozmawialiśmy tak prawie całą noc, tuż przed świtem był już w zasadzie przekonany. A ja coraz bardziej przekonana do niego. Nie uwodziłam go, Boże broń, ale wydaje mi się, że doskonale się rozumieliśmy.

Istniał tylko jeden problem: dowody. Owszem, poważnie potraktował moje zdjęcia i zapiski Ewy, ale słusznie zauważył, że to nie wystarcza, aby oskarżyć kogoś o morderstwo. Czy nawet nakłonienie do samobójstwa. A ta... osoba –

w zasadzie nic istotnego nie ujawniła, i nawet nie ma pewności, że oficjalnie potwierdziłaby swoje informacje. Na to ja, że nie mamy czasu, bo ta osoba, być może, właśnie dochodzi do wniosku, że jednak lepiej byłoby naradzić się z ukochanym. Więc rozmawialiśmy przez następne dwie godziny. Wczesnym rankiem mieliśmy już gotowy plan działania. Ze mną w roli głównej. W razie czego potwierdzam, że nie tylko się na to zgodziłam, ale wręcz nalegałam. Dokładniej rzecz ujmując – wymusiłam. Na własną odpowiedzialność. Naturalnie ryzyko zostało ograniczone do minimum. Ale przecież życie w ogóle jest ryzykownym przedsięwzięciem, prawda? Oczywiście, to wszystko miało wyglądać zupełnie inaczej! Ani przez chwilę nie oczekiwaliśmy tak dramatycznego rozwoju akcji. Rysiek zaskoczył mnie jednak po raz kolejny i nieoczekiwanie zmienił staranny, rozsądny, z góry zaplanowany scenariusz wydarzeń. Nie doceniałam go czy raczej przeceniłam – sama już nie wiem, pogubiłam się w tych ocenach...

Zanim jednak przystąpiliśmy do akcji, przystojny oficer połączył się z Zakopanem:

– Chodzi o kobietę, która zaginęła w górach, w lutym. Tak... tak, właśnie. Szukajcie gdzieś w pobliżu schroniska. Tak, to pilne.

Rysiek chadzał do roboty na dziewiątą. Około ósmej dzwoniłam do jego furtki. Przedtem zatelefonowałam, że koniecznie muszę do niego wpaść, bo mam coś nowego w sprawie Ewy, że to bardzo ważne i że się zdziwi. Chwila ciszy, po czym zgodził się skwapliwie.

Przyjął mnie nad wyraz przyjaźnie, poczęstował herbatą, którą zignorowałam.

– Jakoś marnie wyglądasz, jakbyś w ogóle nie spała – zagał. – Coś ty znowu wymyśliła?

– Rzeczywiście, całą noc nie spałam – odparłam z przekonaniem, bo istotnie tak właśnie było.

– No więc – jakie przynosisz rewelacje? – zapytał pobłaźliwie.

Zobaczysz, gnojku! Położyłam na stole zdjęcia. Zaczął je przeglądać. Z przyjemnością obserwowałam, jak stopniowo robi się coraz bardziej siny.

– Co to... do kurwy nędzy, skąd to masz?!

– Teraz rozumiesz, po co przyszedłem? – uśmiechnęłam się niewinnie. – Rozmawiałam z twoją przyjaciółką. Wiem wszystko. Mam też kopię pamiętnika Ewy, może chcesz poczytać?

– Ty idiotko! Nie wiesz, w co się pakujesz! Po co ci było się wtrącać?!

– Zabiłeś bliską mi osobę... – oświadczyłam złowrogo.

– Może i zabiłem. Ciebie też zabiję, głupia cipo... Zaslugujesz na to tak samo, jak ona! Dwie idiotki... Skąd masz te zdjęcia, pytam?! Przecież zniszczyłem ten cholerny negatyw!

Roześmiałam się szyderczo.

– Zawsze byłeś ograniczony! Dlatego dałeś się napuścić tej swojej lali. Były dwa negatywy, rozumiesz, tępy mózdzku?

– Że też ja nie załatwiłem was razem w tych górach... – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – A miałem okazję! To by było jeszcze zabawniejsze: dwie napite kretyнки wspominały młode lata i poszły sobie w góry w czasie burzy śnieżnej. Ale pochrzaniłem sprawę!

– Właśnie, teraz będziesz miał problem, co?

– Tak sądzisz? Gdzie masz ten drugi negatyw, gadaj! – zamachnął się, jakby chciał mnie uderzyć, ale zrezygnował. – Zresztą, znajdę bez twojej pomocy.

Wyrwał mi torbę, którą trzymałam na kolanach, wyrzucił zawartość na podłogę, znalazł klucze od mojego mieszkania i kluczyki do samochodu. Schował je do kieszeni.

– Możesz sobie szukać – zachichotałam. – Negatyw już dawno leży na komisariacie. Jesteś skończony!

– Nawzajem, ty również – syknął. – I to dosłownie. Ja tam nie mam już nic do stracenia!

– Wobec tego możesz mi chyba powiedzieć, dlaczego to zrobiłeś? Bo zrobiłeś, prawda?

– Chciałabys wiedzieć, co? Dobra, powiem ci. I tak... już mi nie zaszkodziś, postaram się o to – uśmiechnął się oblesnie. – Zrobiłem to dla kobiety, którą kocham. Zabiłem sukę, bo się nie chciała odczepić!

– Próbowala ratować wasze małżeństwo – starałam się wciągnąć go w rozmowę.

– A co mnie to obchodzi? – Wzruszył ramionami obojętnie. – Nie było czego ratować. Ona była nudna jak flaki z olejem!

– Dlaczego po prostu nie odszedłeś?

– Co ty, chora? Nie dałaby mi rozwodu. A na dodatek zaczęła coś podejrzewać. Zauważyła, że grubsza forsa wypływa z naszego wspólnego konta. Interesy, rozumiesz. Nie mogłem ryzykować. Zamierzała wnieść sprawę. Rozwodową, oczywiście. To by był dla mnie koniec! Zrujnowałaby mnie! Do tego straciłbym dom, a on jest dużo warty. Zwłaszcza z tymi antykami...

– To był jej dom! Po rodzicach. Razem z całym wyposażeniem, wszystko należało do niej!

– No, właśnie. A teraz jest mój!

– Więc tylko z powodu domu?

– Tylko? – zrobił zdumioną minę. – Ten dom to majątek! Znalazłem sobie nową kobietę, zakochałem się, miałem zostać ojcem. Powiedziałem o tym Ewce, ale nie chciała zrozumieć. Była zaborcza. Egoistka jedna... Przez nią moja dziewczyna straciła nasze dziecko. Ale mamy czas. Zamierzam sprzedać tę chałupę. Cholerne starocie tak samo... Razem z tym kiczem, który mi dała na rocznicę ślubu. Widziałas ten bohomasz? Myślała, że polecę na takie gównio! Ale z tysiączek za niego dostanę... Ułożę sobie życie od nowa. Potrzebuję forsy!

Najważniejsze, że się rozgadał, pomyślałam sobie, tylko co dalej? Gorączkowo zastanawiałam się nad dalszą taktyką. Musiałam poznać motyw i przebieg wydarzeń. Postanowiłam trochę go sprowokować. Bombardowanie emocjami – przypomniałam sobie wskazówki sympatycznego policjanta. Czasem ustępować, czasem drażnić, zależnie od tego, co podpowie intuicja.

– W takim razie powiem ci prawdę – oznajmiłam. – Jesteś półgłówkiem, więc dobrze ci tak. A prawda jest taka: twoja zdzira była w ciąży, owszem, tyle że nie z tobą. Prawdopodobnie z mężem albo z jakimś innym kochasiem. I bynajmniej nie poroniła, tylko sobie zafundowała skrobankę. Przypuszczam, że za twoje pieniądze!

– Kłamiesz, kłamiesz! – wybuchnął. – Skąd możesz wiedzieć?!

– Tylko się nie rozplacz. Sama mi powiedziała. Swoją drogą, ty nigdy nie chciałeś dzidziusia. Nagle zapragnąłeś potwierdzić w ten sposób swoją męskość? Starzejesz się? Czy masz problemy z potencją?

– Nic ci takiego nie powiedziała! Kłamiesz, ty podła dziwo!

– Powiem ci więcej: to nie Ewa zamierzała cię zrujnować. Potrzebujesz forsy, boś się władował w niezłe tarapaty, zgadza się? Oblubienica wciągnęła cię w ten swój proceder. Ale interes wam nie szedł. Narobiłeś sobie masę długów. Bo o jej utrzymaniu to już nawet nie wspomnę. Po to są ci potrzebne pieniądze Ewy!

– Stała mi na drodze! – rzucił ni w pięć, ni w dziewięć, z zaciętością. – Gdyby była inna... wtedy może nie byłoby Marleny! Cholerna chodząca doskonałość! Mam przez nią same kłopoty! A poza tym ona wcale nie była taka święta! Stale kręcili się koło niej ci jej... adoratorzy! Prowokowała facetów! Taka była!

– Więc o to chodzi! – znów zachichotałam. – Kompleksy, co? Gdybyś miał odrobinę inteligencji, to byś je leczył w inny sposób. A nie dawał się wpuszczać w maliny pierwszej lepszej oszustce.

– A ty skąd niby to wszystko wiesz?! – krzyknął z furią, miotając się wściekle po pokoju.

– Znam życie. – Teraz ja wzruszyłam ramionami. – Pomijając fakt, że miło nam się plotkowało z twoją narzeczoną...

– Zapałaś się, co? – Spojrzał na mnie ze wstrętem. – Już od dawna się na mnie zapałaś, ty...

– Właśnie – uśmiechnęłam się cynicznie. – Masz świętą rację. Zapałam się. Intuicja, wyobraź sobie, kobieca intuicja.

– Zawsze uważałem, że jesteś parszywą, feministyczną lesbą!

– Wiesz, mam to gdzieś – zaśmiałam się. – Nigdy cię nie lubiłam. To tylko Ewa złego słowa nie dała na ciebie powiedzieć. Co prawda, nie wpadła na to, żeby sprezentować tobie i twojej fładrze swój dom. A szkoda, bo może by teraz żyła...

– Może – przytaknął. – Ale nie była aż tak wielkoduszna.

– I właśnie z tego powodu tamtej nocy zaprawiłeś jej drinka trucizną?

– Co ty pieprzysz?! – naprawdę się zdziwił. – Masz wyobrażenia rodem ze staroświeckich kryminalów!

– Wrzuciłeś jej coś do wódki! Wszystko mam na zdjęciach – zawołałam wściekle. – Na jednym mieszasz coś w jej kubku. Przecież nie cukier w herbatce! Nikt nie pił herbatki! A zresztą Ewa nie słodzi.

– Możesz sobie wsadzić w dupę swoje zdjęcia!

– Otrułeś ją, a potem wyniosłeś do lasu! – W bezsilnej furii rąbnęłam pięścią w stół, aż zabolalo.

– Proszę, proszę! Nie przeszkadzaj sobie, mów dalej, to nawet zabawne...

– Nie ma sprawy, popraw mnie, jeśli się pomyłę... – Z trudem spróbowałam się trochę uspokoić i myśleć racjonalnie. – Środek zadziałał prawie natychmiast. Mogłeś z łatwością udawać, że wyprowadzasz zalaną do nieprzytomności żonę. W ciemności, w zamieszaniu, po pijanemu nikt nie zauważył, że tak naprawdę wynosisz trupa!

– Kretynka z ciebie, ale dobrze kombinujesz – powiedział, rechocząc radośnie.

– Bardzo zabawne – kontynuowałam. – Potem specjalnie schowałeś mi papierosy, chciałeś, żebym poszła na górę i zobaczyła, jak Ewa słodko śpi. Naprawdę trudno ci odmówić tupetu. Miałam być świadkiem, co? Nie ryzykowałeś, byłam przecież pijana, nie wiedziałam dobrze, czy sama żyję. Wszystko bym wtedy kupiła! Wkrótce potem film mi się urwał...

– Nie do końca, niestety! Liczyłem na to, bo chciałem ci zabrać aparat i prześwietlić kliszę, ale broniałś go jak lwica. Pazurami. W trakcie szarpaniny walnęłaś się w głowę. A i tak kurczowo trzymałaś tę maszynę w łapie. Co niektórzy zaczęli zwracać na nas uwagę, w dodatku nie miałem już czasu. Postanowiłem zostawić sobie ten film na później, w końcu to nie było takie ważne, zdawałoby się... Cóż, pomyliłem się, jak widać! Myślałem, że po prostu nie dopuszczę do wywołania tych parszywych zdjęć. A wiedziałem, że i tak zrobisz to dopiero po powrocie. Sądziłem, że mi się udało...

Teraz dopiero zrozumiałam, skąd był ten guz na mojej głowie! Przecież spadając ze schodów, zleciałam raczej na inną część ciała. Szamotaniny

zupełnie nie pamiętam. Musiałam już nie kojarzyć. Widocznie zadziałał mój słynny odruch chronienia aparatu, choćby po trupach.

– Zniszczyłeś negatyw, nawet go nie wywołując? Nie byłeś ciekawy, co na nim jest? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Nie byłem, kurde, ciekawy! Chciałem mieć to z głowy. Jak tylko od ciebie wyszedłem, od razu, jeszcze na ulicy, wyciągnąłem film z kasetki, żeby go prześwietlić, a potem wywaliłem do kosza. Odetchnąłem z ulgą. Skąd mogłem przypuszczać, że masz jeszcze jeden? Zrobiłaś mnie w konia!

– Masz pecha.

– A tego bym nie powiedział! – uśmiechnął się ironicznie. – Zwłaszcza w twoim położeniu. Powiedziałbym, co najwyżej, że spotkał mnie mały dyskomfort. Te twoje zdjęcia i tak są gównem warte. Nie mówiąc już o interpretacji. Bo nie było żadnej trucizny, ty idiotko! Ewka dostała solidną, choć bez przesady, dawkę środków nasennych, co w połączeniu z alkoholem dało pożądaną efekt. Spała jak zabita, ha, ha! Ładne porównanie, co? Takie... z dreszczykiem! Pasuje do okoliczności... Zabrałem ją tylko na mały spacer. Zostawiłem w lesie, kawałek za schroniskiem, tam gdzie nie prowadzi żaden szlak. Nawet się nie przebudziła. Cały czas szalała śnieżycą. Bardzo mi to było na rękę, momentalnie zawiewało ślady. Ją też na pewno szybko zasypało...

– A gdyby ratownicy znaleźli ciało? – zapytałam.

– Byłbym niepokieszonym wdowcem! To proste – durna baba przesadziła z alkoholem, fatalnie się poczuła, pewno nie mogła zasnąć, tak często bywa... Więc wzięła prochy! Fakt, trochę przesadziła, niestety. Cóż – nie upilnowałem, moja wina. Ale skąd mógłbym przypuszczać? Nawet nie wiedziałem, że ma przy sobie coś takiego! Zresztą sam też byłem wstawiony, każdy potwierdzi. Siła wyższa! Pluję sobie w mordę, oczywiście. Tabletki widać nie zadziałały od razu, może bolała ją głowa – w każdym razie zapragnęła się przejść, a to niebezpieczne w stanie upojenia alkoholowego. Zwłaszcza w taką straszną noc. Prawdopodobnie zablądziła, biedaczka! Upadek moralny... Na dodatek wszyscy widzieli, że była ostatnio trochę dziwna. Zostawiła taki zagadkowy list w komputerze. Nigdy nie wiadomo, co się dzieje w sercu kobiety! Zabrała

tajemnicę do grobu... Więc, jak widzisz, tak naprawdę ja jej wcale nie zabiłem. Pomogłem tylko w podjęciu słusznej decyzji...

Pomyślałam sobie, że ten psychol rzeczywiście zabezpieczył się na wszystkich frontach. Bo nawet gdyby Ewa cudem obudziła się w porę i odnalazła drogę powrotną lub gdyby ją odratowano – co zresztą jest fizycznie niemożliwe, po tylu godzinach wychłodzenia – też nic mu nie zagrażało. Nie pamiętałaby przecież, jakim sposobem znalazła się w lesie! Dla wszystkich byłoby oczywiste, nawet dla Ewy, że poszła tam sama. Nikt by niczego nie podejrzewał. Nie było świadków. Na tyłach schroniska są tylko zaplecza, żadne okna nie wychodzą na tę stronę. A nawet gdyby, widoczność i tak była zerowa. Zbrodnia prawie doskonała...

– Więc dlaczego ma na zdjęciu taką minę, jakby zobaczyła ducha? – przypomniałam sobie.

– Może zobaczyła? Skąd ja mam wiedzieć? Podobno ludzie tuż przed śmiercią widują duchy! Ci z zaświatów wiedzą, kto ma wkrótce do nich dołączyć, i próbują nawiązać kontakt. Ty nic nie widzisz?

Wtedy zrozumiałam, że rzeczywiście widzę. Pewnie to samo, co zobaczyła Ewa: nie ducha, tylko prawdziwego potwora! Nawet ja doznałam szoku. Przypuszczałam, że jest złym, egoistycznym człowiekiem bez serca – lecz on był po prostu pustym, zimnym ludzkim monstrum! Nie posiadał duszy...

– To dlaczego tak bałeś się moich zdjęć? – zapytałam. – Zadałeś sobie sporo trudu, żeby się ich pozbyć.

– Wcale się aż tak nie bałem, bez przesady. Nie pochlebiam sobie – mrugnął. – Brałem pod uwagę, że mogłaś przypadkiem uwiecznić moment, kiedy wrzucam jej coś do kubka. Wołałem nie ryzykować. Ale tak naprawdę to nawet przez sekundę nie sądziłem, że te zdjęcia naprowadzą cię na jakiś ślad. Zresztą nic takiego na nich nie ma. Wykręcę się z tego... Za to ty, po bezsennej nocy, zaśniesz za kierownicą i wylądujesz w rowie, ze skutkiem śmiertelnym. Takie bywają następstwa urojeń! Wypadki chodzą po ludziach, którzy sami się o nie proszą.

– Dziwny urodzaj na nietypowe zaśnięcia.

– Ale wiesz, co było dla mnie najsłabszym punktem? – nawijał dalej – Przez cały czas nie miałem pojęcia, ile ta idiotka naprawdę ci nagadała. Dlatego tak się spieszyłem, zanim powie więcej. Bo przecież umawialiście się na spacerek sam na sam, nie? A jednak mogłem polegać na tej jej kretyńskiej, małżeńskiej lojalności...

W tym momencie rzuciłam się na niego! Zrobiło mi się ciemno przed oczami, nie mogłam się powstrzymać. Tego nie miałam w planie. To był czysty odruch. Waliłam go po pysku, gryzłam i kopałam... W pierwszej chwili był kompletnie zaskoczony. A potem zaczął mnie dusić. Przemknęło mi przez myśl, że to już koniec, nikt nie zdąży mi pomóc.

– Chciałem ci dać skosztować tego samego, czym poczęstowałem twoją uwielbianą psiapsiółkę, ale chyba cię jednak uduszę – wycharczał.

I wtedy przez moje ubranie wyczuł podśluch. Zesztywniał, puścił mnie i rozejrzał się w popłochu dookoła.

– Niczego nie próbuj, pod domem jest pełno policji! – ledwo wydobyłam z siebie głos. Gardło mnie bolało, całkowicie ochrypłam. W ogrodzie i na schodkach słychać już było tupot i okrzyki.

– Mam cię w dupie! – krzyknął i rozbijając szybę, wyskoczył przez okno.

Potem wszystko działo się bardzo szybko. Usłyszałam „Stój, bo strzelam!”, jednocześnie ktoś do mnie podbiegł i o coś pytał, nie słuchałam, wybiegłam przed dom... Wołali za mną, ale nie wiem co. Być może w tym amoku miałam zamiar go gonić, nie pamiętam! Rysiek biegł, krwawiąc, przez ogród, nie zwracał uwagi na pościg. Tą samą drogą, jaką niedawno uciekałam przed nim. Przeskoczył ogrodzenie w biegu, wpadł na ulicę i wleciał prosto pod nadjeżdżającą furgonetkę. Usłyszałam tylko pisk opon, odgłos uderzenia i ciszę...

To by było na tyle. Dobrze się stało, bo inaczej wsadziliby go za kratki i wypuścili po iluś tam latach. A wtedy sama musiałabym go zabić. Tymczasem los wymierzył sprawiedliwość. Szkoda tylko, że nie był bardziej szczodry.

Wciąż mnie dręczyło, że to babsko będzie sobie chodzić bezkarnie po ulicy!

Na koniec mój oficer, odwożąc mnie do domu z przymusowych oględzin lekarskich, powiedział:

– Najadła się pani strachu... Co prawda, na własne życzenie. Co pani chciała, sama wymierzyć mu sprawiedliwość?! Zdążylibyśmy, cały czas byliśmy na nasłuchu. Ale nie trzeba było tak ryzykować. Morderca to morderca. Gdybym wiedział, że ma pani taki temperament, w życiu bym na to nie poszedł. I tak mi się za to oberwie... Swoją drogą, niezwykła z pani kobieta. Ale to jeszcze, niestety, nie koniec. Będzie pani musiała złożyć zeznania. I, naprawdę strasznie mi przykro, chyba znaleźli pani przyjaciółkę. W lesie, pod czapą starego śniegu. Nie aż tak blisko schroniska, jak pani przypuszczała. Kawał drogi musiał ją nieść!

Nie chciałam jednak tego słuchać. Wołałam zachować w pamięci żywą Ewę. Poprosiłam, żeby policja sama zawiadomiła jej rodzinę. Ewa miała starszego brata w innym mieście.

Pewnego wieczoru, gdzieś tak po kilku tygodniach, przyleciał do mnie podekscytowany Marek – to ten mój gliniarz – i oznajmił, co następuje:

– Kasiu, mamy coś na tę, no wiesz... osobę. Możemy ją przyskrzynić za nadużycia finansowe, na sporą skalę. Rozumiesz? I nie tylko – robiła różne przekręty! To cała afera, śledztwo jest w toku. Rozrabiała, rozrabiała, aż nareszcie wpadła! Brała udział w paskudnych oszustwach, spekulacjach, nielegalnym handlu artykułami medycznymi, niezarejestrowanymi lekami i tak dalej. Wchodzi w grę także szantaż. To cwana baba! Ale w końcu noga się jej powinęła... Firma, w której pracowała, chce ją niezależnie zaskarżyć. No i co ty na to?

– Jak to, co ja na to?! – nie posiadałam się z radości. – Przecież dawno wam o tym mówiłam!

Marek się roześmiał.

– No to powinnaś być zadowolona. Posiedzi sobie trochę. A ja przynajmniej będę miał pewność, że nie wywiniesz kolejnego głupstwa.

Ot mężczyźni!

W każdym razie postanowiłam sobie, że nigdy, przenigdy nie wyjdę za mąż.

Zakończenie dla optymistów

Ale to jeszcze nie koniec tej cudacznej historii...

Wkrótce po pogrzebie Ewy, pewnej nocy – byłam sama w domu – obudziło mnie ciche stukanie do drzwi. Sen mam wyczulony, zwłaszcza od czasu tamtych wydarzeń. Natychmiast się przebudziłam. Stukanie się powtórzyło. Narzuciłam na siebie szlafrok i na palcach podeszłam, żeby zerknąć przez judasza. Na klatce panowały ciemności. Ale pukanie rozległo się znowu. Tym razem nawet bardziej natarczywe.

– Kto tam? – zapytałam ostrożnie.

– Otwórz, to ja...

Głos był znajomy. Nie, nie – to niemożliwe... Odbiło mi. Mam halucynacje!

– Co za ja?

– Nie poznajesz? Wiem, że ci trudno uwierzyć, ale to ja, Ewa...

Struchlałam. Serce mi stanęło. Co za jaja?! Ktoś mi robi idiotyczne, niesmaczne żarty?! Może... Marlena!

– Nie wierzę w duchy! – zachrypiałam. – Proszę się wynosić, bo wezwę policję!

– Kaśka, to naprawdę ja. Nie mogę zapalić światła, nie świeci się! Błagam, uwierz mi! Nie jestem duchem.

– Ewa nie żyje! – wpadłam w histerię. – Znaleziono zwłoki!

– Chyba głupio zrobiłam, że tu przyszłam tak bez uprzedzenia. Ale to był pomysł twojego przyjaciela. Miał zadzwonić do ciebie.

Zaraz, ja chyba naprawdę zwariowałam... W tym momencie rzeczywiście zadzwonił telefon. Dopadłam słuchawki.

– Kasia, zdążyłem?! – głos Marka.

Milczałam.

– Czuję, że nie... Przepraszam... Przestraszyłaś się? Wyobrażam sobie! O nic teraz nie pytaj, nie bój się, wpuść swoją przyjaciółkę do domu! Nie bój się, to nie jest kawał, to wszystko jest prawda. Ona ci sama wytłumaczy.

Jak w transie odłożyłam słuchawkę, jak w transie podeszłam do drzwi...

– Jesteś tam jeszcze? – zapytałam głucho.

– Czekam! – odezwał się głos z zaświatów. – Otwórz, zanim pobudzimy sąsiadów.

Otworzyłam. Było mi słabo. W głowie słyszałam szum.

Weszła Ewa... Jak żywa! Tylko włosy miała dziwnie jasne. Pamiętam, że skojarzyła mi się z aniołem. Ewa potrząsnęła mną mocno.

– Nie stój tak! Ja naprawdę żyję! Dotknij mnie. Błogosławieni, którzy... i tak dalej, ja to wszystko rozumiem. No, dalej, uszczypnij, niewierny Tomaszu!

– Byłam na twoim pogrzebie.

– To nie byłam ja! – zaprotestowała Ewa. – Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Nie myślałaś chyba, że naprawdę dałam się zamordować temu frajerowi?!

Nigdy nie pozwalałyśmy wodzić się za nos – przemknęło mi przez głowę, niczym modlitwa.

– No, wierzysz mi? – Jak dawniej, padła na wersalkę. – Zrób najpierw herbatę i daj zapalić!

Nadal jak w transie poszłam do kuchni, zaparzyłam dzbanek herbaty, postawiłam na tacy, dołożyłam dwie filiżanki oraz cukiernicę i łyżeczki. Przyniosłam to wszystko do pokoju. Ewa w tym czasie oglądała zdjęcia, które miałam w albumie. Album leżał zawsze na swoim stałym miejscu. Luzem włożyłam tam te fotografie.

– Ależ mam tutaj minę! Właśnie wtedy upewniłam się, czarno na białym, że mój własny mąż chce mnie ukatrupić – powiedziała Ewa w zadumie.

– Może się wreszcie czegoś dowiem? – powiedziałam zimno, gdy już się uspokoiłam. – Co to wszystko znaczy, zakpiliście sobie ze mnie?! – Odzyskałam nieco równowagi psychicznej.

– Nikt sobie z ciebie nie zakpił! – oburzyła się. – Żebyś ty wiedziała, co ja przeżyłam...

– Właśnie chcę się tego dowiedzieć! Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu siedzisz.

Ewa wypila łyk herbaty.

– Przepraszam, że przyszłam w nocy, ale nie mogłam się doczekać. Wracam prosto z komisariatu, gdzie twój znajomy maglował mnie parę godzin. Dzisiaj przyjechałam i poszłam od razu do nich. Nie chciałam cię

przestraszyć. Ale nie jest jeszcze aż tak późno, myślałam, że może nie śpisz. Wołałam nie wracać tak od razu, w nocy, do swojego domu. A ten twój... znajomy... powiedział, że wcześniej do ciebie zadzwoni, żebyś się nie zdenerwowała, ale widocznie coś mu po drodze wypadło. Jak to facet. Trochę głupio wyszło!

– Głupio?! – zawołałam ze złością. – Mało nie padłam trupem... Ale nieważne! Gadaj, o co tu, do diabła, chodzi!

– To długa historia. – Zamyśliła się. – Opowiem w skrócie, najwyżej potem będziesz pytać o szczegóły. Jak dobrze być tutaj znowu... I znów być sobą! Ok, zaczynam: historię wielkiej miłości Ryśka znasz. Tyle że on nie zdawał sobie sprawy z tego, że ja wiem więcej, niż sobie życzył. Już od pewnego czasu psuło się między nami. Straciłam do niego zaufanie. Prawdę mówiąc, dawno chciałam się rozwieść, ale... było mi go żal! Co za idiotka ze mnie... Więc kiedy wdał się w ten swój, pożał się Boże, romansik, zrobiłam małe śledztwo i dowiedziałam się ciekawych rzeczy. Myślę, że z nim było coś nie tak. Nawet nie potrafił się dobrze maskować, jego zachowanie przypominało mi taką naiwną chytrość dziecka! Podobnie ta jego... Odnaleźli się w korcu maku, zdaje się. Spóźnieni kochankowie. Zdawałam sobie oczywiście sprawę z tego, że chodzi o dom i moje antyki. Gdyby nie to, nie byłoby tematu – *arrivederci* i po kłopotcie! Ale pan doktor wpadł w tarapaty. Potrzebował pieniędzy, a ja nie zamierzałam mu ich dać. Ani też sponsorować jego oblubienicy. Oczywiście, brał sobie sam, sądząc, że tego nie zauważam. Z konta systematycznie znikwały różne kwoty, wiem też, że za moimi plecami dawał do wyceny meble, książki i obrazy. On chyba naprawdę uważał mnie za idiotkę.

Sytuacja przestała być zabawna, gdy skontaktował się ze mną anonimowy facet, który ostrzegł mnie, że dybią na moje życie... Rysiek i to babsko. Podejrzewałam, że gość, który do mnie telefonował, to był jej mąż. Myślałam, że dowiem się od niego czegoś konkretnego. Uczepił się mnie. Nawet się z nim raz spotkałam. Ale był ciężko przestraszony, nie bardzo chciał gadać, uprzedził, że jakby co – on się wyprze. Tylko ostrzegął, i to dość historycznie. Dla spokoju sumienia. Widocznie znał możliwości tej swojej. Nawet nie mam pojęcia, skąd o wszystkim wiedział. Ale może mu się zwierzała? Uwierzę

w każdą perwersję, jeśli o nich chodzi. Słyszałam tylko, że wciąż mieli wiele wspólnych interesów. Też dobrana para...

– Długowłosego bruneta z brodą, nie? – przerwałam jej.

– Tak – zerknęła na mnie ze zdumieniem. – A skąd ty to wiesz?

– Nieważne – uśmiechnęłam się. – Szkoda czasu. Wiesz, że prowadziłam swoje śledztwo.

Machnęła ręką i kontynuowała swoją opowieść:

– Nie do końca oczywiście facetowi uwierzyłam, ale zaczęłam Ryśka stale obserwować. W nawiąknę mi to weszło. Potem zapadła decyzja o wyjeździe w góry. Rysiek bardzo nalegał. A wiesz, że wcale nie przepadał za górami. W ogóle strasznie się nagle zrobił czuły i kochający. Tak, jakby nic się nie stało... Zrozumiałam, że coś ma się wydarzyć właśnie w tych górach. Nietrudno było przejrzeć jego grę, sama przyznasz. Dlatego namówiłam cię, żebyś jechała z nami. Czułam się pewniej.

– Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?!

– Chciałam, ale Rysiu przyspieszył akcję; nie przypuszczałam, że jest aż tak zdeterminowany! Nie było już czasu.

– A przedtem? A potem?! Nie mogłaś się ze mną skontaktować?!

– Przedtem nie miałam stuprocentowej pewności – tłumaczyła cierpliwie Ewa. – I tak byś mi nie uwierzyła. A potem... nie chciałam cię narażać. Sądziłam, że im mniej wiesz, tym jesteś bezpieczniejsza. Nie doceniłam cię! Skąd miałam wiedzieć, że będziesz robiła za detektywa?!

– Powinnaś się domyśleć! – Puknęłam się w czoło. – A ty co byś zrobiła na moim miejscu, co?!

– Pewnie masz rację. – Uśmiechnęła się. – Ale musisz mi to darować. Byłam skołowana. Chciałam jak najlepiej... No, jedźmy dalej: tamtej nocy – gdy zaczęła się impreza i przyszło załamanie pogody – podejrzewałam, że on właśnie wtedy czegoś spróbuje. Miałam takie przeczucie. Przedtem myślałam, że raczej zepchnie mnie gdzieś w przepaść albo uszkodzi narty. Tak naprawdę wcale w to nie wierzyłam! To takie idiotyczne, jak z melodramatu. Ale tamtej nocy poważnie się bałam. Miałam nadzieję, że to tylko moja wyobraźnia, nie chciałam podejrzewać Ryśka o najgorsze – w końcu przez tyle lat był mi bliski.

Do dziś nie wiem, czy on taki podły był zawsze czy dopiero na koniec oszalał. Wolalabym to drugie. W każdym razie starałam się być maksymalnie czujna. Udawałam tylko, że tyle piję. Cały czas go obserwowałam. Zauważyłam kątem oka, jak wrzuca mi coś do kubka i miesza. Najpierw pomyślałam, że jakąś truciznę. Tak mi się jakoś samo nasuwało – on zna się na toksynach, truciznach, alkaloidach, narkotykach i tym podobnych świństwach; w końcu stomatolog to też lekarz. Wyobrażasz sobie, co czułam?! Podejrzenia podejrzeniami, ale zobaczyć na własne oczy coś takiego... Po blisko piętnastu latach małżeństwa! To był jednak szok... Wtedy musiałaś zrobić tamto zdjęcie. Na szczęście dla mnie wysiadł prąd, ciemność mi sprzyjała. Podmieniłam kubki, były takie same – schroniskowe. Ten trefny kubek potem potrąciłam, wszystko się wylało. Nie chciałam, żeby ktoś się do niego dorwał – chyba że to byłby Rysiek, ale on też tylko udawał, że pije. Dalszą akcję masz na zdjęciach. Wytrąbiłam na niby to świństwo, odegrałam komedię.

– Czemu od razu nie narobiłaś alarmu?!

– A co by mi to dało? Zbłąźniłabym się tylko! I dałabym mu szansę na następną próbę, być może skuteczniejszą... Nie, miałam inny plan!

– Zaczekaj, to nie była trucizna.

– Tak, wiem – środki nasenne. Zgniecione opakowanie po nich wrzucił mi do kieszeni kamizelki. Sądził, że niepostrzeżenie. Obejrzałam je sobie, kiedy przez chwilę nie zwracał na mnie uwagi. Miałam resztkę świecy akurat przed nosem. Znałam to lekarstwo, czasem używałam go na bezsenność. No więc zaczęłam udawać strasznie senną. Zataszczył mnie na górę, nakrył troskliwie śpiworkiem i zostawił. Na to liczyłam. Spodziewałam się oczywiście, że może mieć też inne zamiary, na przykład od razu mnie udusić. Nic by mnie już nie zaskoczyło z jego strony. W razie czego w kieszeni miałam solidny scyzoryk. Ostatnio zawsze nosiłam go przy sobie... Byłam gotowa go użyć, naprawdę! W pierwszym odruchu, kiedy sobie poszedł, chciałam natychmiast uciekać, ale nie byłam nawet w stanie się ruszyć. Cała się trzęsłam. Wiesz, że zawsze bałam się wariatów. Słyszałam nawet, jak weszłaś, ale nie byłam pewna, kto to, widziałam tylko światło latarki. Dopiero na policji dowiedziałam się, że to ty. Byłam gotowa do walki. Musiałaś zachowywać się tak cicho?

– Nie chciałam cię obudzić...

– Dzięki! – zachichotała. – No więc leżałam tak i wyobrażałam sobie, co ta świnia zamierza ze mną zrobić. Wiesz, w takim napięciu cholernie trudno się myśli. Ale wpadłam na to, że prawdopodobnie chce mnie wynieść gdzieś do lasu i zostawić, żebym zdechła, pogoda była dla niego jak na zamówienie. Zastanawiałam się tylko, czy czekać, czy zwiewać na własną rękę... To był właśnie ten mój plan. Miałam zamiar wykorzystać jego perfidny pomysł, żeby rozwiązać własny problem. A potem jakoś go zdemaskować. Trochę to skomplikowane, wiem. Obmyśliłam wszystko na gorąco, jeszcze w jadalni. Jednak dobrze wiedziałam, o co mi chodzi. Już wcześniej chciałam po prostu zniknąć. Stąd ten ostrzegawczy list w komputerze – Ewa przerwała dla zaczerpnięcia oddechu, napiła się herbaty i zapaliła kolejnego papierosa.

– A wiesz, że coś takiego przychodziło mi do głowy? – wykorzystałam chwilę. – Tylko nie chciałam robić sobie złudzeń. A jednak intuicja mnie nie zawodzi... No, mów dalej!

– No więc początkowo zamierzałam wiać, gdzie pieprz rośnie, zanim on po mnie wróci – ale zrozumiałam, że to byłby błąd. Bo pomysł: od razu wiedziałby, że coś mu nie wyszło. A w razie czego, co bym udowodniła? Uznano by mnie za paranoiczkę! No i wtedy zawsze mógłby mnie gdzieś dopaść ponownie, nigdy nie miałabym już spokoju, nigdy nie czułabym się bezpiecznie... Lepiej było, żeby myślał, że mu się udało. Przynajmniej na razie. Chciałam zyskać na czasie. Z kolei zastanawiałam się, czy wytrzymam nerwowo to oczekiwanie, jak długo będę potrafiła udawać śpiącą królową, czy się czymś nie wydam... no i tak dalej. A jeżeli na wszelki wypadek walnie mnie czymś w łeb? Tak dla pewności albo po prostu dlatego, że przyjdzie mu na to ochota? Nie lubił mnie! Miałam prawdziwą gonitwę myśli. W końcu jednak postanowiłam zaryzykować. W razie czego będę się bronić, pomyślałam sobie, Rysiek nie jest aż takim siłaczem. Czas dłużył mi się niemiłosiernie. Wreszcie usłyszałam skrzypnięcie drzwi – wszedł do pokoju. Wiedziałałam, że to on, tym razem go rozpoznałam, po oddechu... Poświecił na mnie latarką. Na szczęście leżałam mocno na boku, twarz miałam schowaną. Udawałam, że śpię snem sprawiedliwego. Szturchnął mnie, potem dźwignął...

W tym momencie żałowałam swojej decyzji. Ale nie było odwrotu. Wiedziałam, że jeśli tylko krzyknę, zabije mnie na amen. Na przykład zrzuci ze schodów na łeb. Wtedy już by się ze mną nie pieścił. Był lekarzem, wiedziałby, co mówić. Wszyscy przecież widzieli, w jakim byłam stanie. Najgorzej bałam się właśnie na tych schodach. Na zewnątrz zarzucił mnie sobie na plecy, tak jak rannego żołnierza – ulżyło mi wtedy trochę, mogłam swobodniej oddychać, a nawet otworzyć oczy. Przynajmniej nie widział mojej twarzy. Może i tak by nie widział w ciemnościach, ale kto wie – strach ma wielkie oczy.

Niósł mnie całkiem spory kawałek, w końcu zatrzymał się, zaświecił latarką, potem położył mnie pod drzewem i jeszcze śniegu na mnie nawalił! Nie musiał tego robić, sypało wściekle... W mig byłabym zasypana i bez jego pomocy. Jeszcze raz zaświecił latarką i wreszcie się oddalił, sukynsyn jeden. Na odchodnym życzył mi słodkich snów! Wyobrażasz sobie? Przyjemniaczek. Dobrze, że nie wpadł na to, żeby mnie zrzucić ze stoku. Nie wiem, co by wtedy było... Odczekałam jakiś czas, bojąc się poruszyć, ale w końcu pomyślałam, że jak tak dalej będę leżeć bez ruchu, to już nigdy nie wstanę i drań będzie triumfował.

W kieszeni spodni, oprócz scyzoryka, miałam trochę pieniędzy, papierosy i zapalki. To już coś. Mniej więcej orientowałam się, gdzie jestem – kiedy mnie niósł, starałam się obserwować jego trasę. Niewiele mi to dało, ale przynajmniej rozpoznałam kierunek. Zaczęłam uciekać na przełaj, byle w stronę Zakopanego. W dół, przez te zasy! Parę razy spadłam, tam były strome zbocza. Dobrze, że w śnieg... Cudem nie rozbiłam się na jakimś drzewie. Potem już zjeżdżałam na tyłku, gdzie się tylko dało! Chyba przydały mi się wtedy nasze dawne doświadczenia. I wyobraź sobie, że mimo wszystko, ta nocna ucieczka w śnieżycy sprawiała mi perwersyjną przyjemność.

– Wyobrażam sobie – wtrąciłam, bo to akurat naprawdę świetnie rozumiałam.

– Zresztą sam fakt, że żyję, że go przechytryłam, dodawał mi skrzydeł. Nie było mi zimno, choć nie miałam nawet kurtki. Tylko głodna byłam jak cholera. Dziwne, nie? W takim momencie... Raz nawet sobie zapaliłam, ale w tym

śniegu papieros mi gasł. Jak na te warunki, dość szybko dobrnęłam do cywilizacji, stamtąd nie jest zbyt daleko, na szczęście. Wciąż była noc. Pamiętałam, że pociąg odjeżdża bladym świtem. Zdążyłam. Forsy starczyło mi akurat na bilet i jeszcze nawet na bułkę w Warszawie. Nigdy nic mi tak nie smakowało, jak ta stara buła z kotлетem!

– A gdybyś nie miała żadnych pieniędzy?

– Nie wiem. Może bym żebrała albo ukradła. Albo błagała konduktora o litość. Nieważne, jakoś bym sobie poradziła. W każdym razie w pociągu poczułam się w miarę bezpiecznie. Tu mnie przecież nie dopadnie. Wyspałam się nawet porządnie, choć męczyły mnie koszmary. Niestraszni mi byli słynni pociągowi złodzieje! W porównaniu z Ryśkiem to przemiłe dzieciaki. Zresztą, co mieliby mi ukraść?! Przyjechałam do domu. Musiałam uważać, żeby mnie ktoś nie zobaczył, sama czułam się jak złodziej, a raczej włamywacz. Zabrałam parę rzeczy, takich, żeby Ryśkowi nie podpadło. Miałam też trochę odłożonych pieniędzy, o których nie wiedział. Bo gdyby wiedział, to już by ich nie było. Spieszyłam się. Nawet się nie przebierając, wsiadłam do następnego pociągu. Pojechałam prosto do brata. Wszystko mu opowiedziałam. Ty wiesz, że on nie znosił Ryśka od samego początku...

– Podobnie jak ja – wtrąciłam z satysfakcją.

– No właśnie. Mielicie więcej rozumu ode mnie. Ale łatwo ci mówić! To nie ty się w nim zakochałaś. Miły był kiedyś... – uśmiechnęła się blade. – A przecież miłość jest jak narkotyk, tracisz kontakt z rzeczywistością. Przynajmniej, kiedy jesteś młoda.

– Niech ci będzie – zgodziłam się z powątpiewaniem. – Ja tam nigdy nie tracę!

– Bo ty nie jesteś romantyczna – mrugnęła. – Nie każdy jest taki twardziel. No więc brat mnie cały ten czas ukrywał u swoich zaufanych przyjaciół, bo postanowiłam się nadal nie ujawniać. Nawet ufarbowałam włosy i zmieniłam uczesanie, na wszelki wypadek. Wciąż bałam się własnego cienia. Razem zastanawialiśmy się, co robić. Jednym z wielu wariantów było zatrudnienie prywatnego detektywa, żeby udowodnił Ryśkowi usiłowanie morderstwa. Ale tego też się bałam. Masz pewność, na kogo trafisz? Gdybym wiedziała, jaka

jesteś sprytna, od razu zatrudniłabym ciebie! Na razie sytuacja wydawała mi się beznadziejna. Prawdę mówiąc, nie miałam ochoty ukrywać się przez resztę życia, choć była i taka opcja. Zmiana tożsamości, wyjazd za granicę, te rzeczy. Ale ja lubię swoje życie! Lubię mój dom, moją pracę... Myślałam sobie, całkiem poważnie, że będę musiała go zabić. Nawet obmyślałam różne sposoby. Tymczasem przypadkiem ty mnie wyręczyłaś...

– I nawet wtedy nie zadzwoniłaś do mnie!?

– Zwariowałaś chyba! – Teraz ona znacząco popukała się w czoło. – Już nie pamiętasz, jak zareagowałaś godzinę temu?! A wtedy jeszcze byłaś w szoku po tym wszystkim.

– Dwie godziny temu – spojrzałam na zegarek. – Zrobię kanapki. Będziesz dalej opowiadać w kuchni.

– Już niewiele zostało do opowiadania – podniosła się z wahaniem. – Tyle że strzeliliśmy jeszcze z bratem okropną gafę. Wiesz, to nie najlepsze na apetyt. Może jednak zostaliśmy tutaj? Chodzi o to ciało.

– A, właśnie! – zawołałam niecierpliwie. – Nie zwracaj głowy, tylko mów. Przecież znaleźli twoje zwłoki! Zidentyfikowano je! I na dodatek Rysiek już wtedy nie żył, mogłaś się ujawnić.

– Nie moje – odparła Ewa ponuro. – To był czysty przypadek. Nic jeszcze nie wiedzieliśmy o tragicznym końcu Ryśka. Może i mówili o tym w telewizji, ale nam to widocznie umknęło. Cały czas żyłam w potwornym strachu, że się zorientuje, że mnie pewnego dnia dopadnie, no bo nie było mojego trupa. Przecież zacząłby prędzej czy później coś podejrzewać. No i raptem Zbyszek otrzymał wezwanie, że jako najbliższa rodzina ma przyjechać na identyfikację moich zwłok! Ty wiesz, że nawet on, mój rozsądny brat, jakoś dziwnie na mnie zerkał? Też go musiałam zapewniać, że nie jestem duchem! Czy to mało ludzi ginie w górach? Ale przyznam ci się, sama dość głupio się czułam, kiedy usłyszałam w telewizji, że odnaleziono moje ciało. Zbyszek pojechał, no i zidentyfikował. Czyli potwierdził, że to ja. Trochę go to nerwów kosztowało, ale uznaliśmy taką szansę za urządzenie boskie. A że policja nieskora do zwierzeń, więc nadal nie wiedzieliśmy nic o śmierci Ryśka. To była jakaś inna kobieta – pewnie rzeczywiście ofiara wypadku. Uznaliśmy, że umarłym

wszystko jedno. Ale i tak miałam okropne wyrzuty sumienia. Komuś pewnie nie był obojętny jej los, ktoś czekał na wiadomość o niej – niemłą, ale czasem lepsza taka, niż żadna... Poza tym martwiłam się o Zbyszka. On bardzo to wszystko przeżywał, a przecież dobrze wiedziałam, że na tym się nie skończy.

– Właśnie, odbył się jeszcze twój pogrzeb. – Nie wytrzymałam, parsknęłam nerwowym, histerycznym śmiechem. – Nawet sobie popłakałam. A Zbyszek naprawdę wyglądał na załamane.

– Dziwisz się? – zapytała drwiąco. – Był załamany. Zwłaszcza że akurat dowiedzieliśmy się o Ryśku. Znajomi pokazali nam notkę w gazecie. Nie myśl tylko, że mój braciszek nosił po nim żałobę. Chodziło o coś innego. Zapowiadało się śledztwo. Cała ta nasza mistyfikacja ze zwłokami okazała się niepotrzebna. Zupełnie straciłam głowę. Z jednej strony – byłam wolna... Ale z drugiej – potwornie narozrabialiśmy! Nie umiałam podjąć żadnej sensownej decyzji, zupełnie spanikowałam. W końcu Zbyszek stanął na wysokości zadania. Uświadomił mi, że muszę się ujawnić i to jak najszybciej – nie mam innego wyjścia. No to przyjechałam i poszłam prosto na policję. Szczęście, że trafiłam na tego twojego... kolegę. Okazało się, że doskonale zna sprawę i że Rysiek wszystko wyśpiewał, zanim zginął.

– Tak – przyznałam. – Rzeczywiście, wyśpiewał. I jak wybrnęłaś z tej fałszywej identyfikacji zwłok?

– Twój przyjaciel powiedział mi, żebym się nie martwiła, brat w szoku mógł się pomylić. Zrobią ekshumację.

– Brr... Ale za to będziesz długo żyła! – pocieszyłam ją. – A zmieniając temat: jak ci się podoba ten mój... no, wiesz. W porządku jest, nie sądzisz? Lubię go, nawet bardzo.

– Chyba w porządku – uśmiechnęła się – Chociaż ja nie ufam już facetom. Zamieniamy się rolami! Nie mam twojej intuicji, wolę więcej nie ryzykować. On jednak bardzo mi pomógł, mimo że nie musiał. Mógł okazać się służbistą. Taki Rysiek by był na jego miejscu. Zawsze kochał władzę! A wiesz, do jakiego wniosku doszliśmy z tym twoim? Bo to w końcu on opowiedział mi o twojej roli w tej sprawie. Otóż doszliśmy do wniosku, że oboje jesteśmy z ciebie dumni. Każdy chciałby mieć taką przyjaciółkę.

Zarumieniłam się z wrażenia. To wspaniały komplement, zwłaszcza gdy jeszcze przed chwilą człowiek czuł się wystrychnięty na dudka.

– Wracając do rzeczy: Rysiek opowiedział mi swoją wersję – zmieniłam temat. – W ogóle dużo gadał, wręcz napawał się tym wszystkim...

– Wiem, słuchałam twojego nagrania – uśmiechnęła się. – Nie pamiętasz z kryminalów Agathy Christie, że mordercy są zarozumiali? Lubią się przechwalać, uważają swoją zbrodnię za rodzaj dzieła sztuki. W głębi duszy czują potrzebę posiadania publiczności. Musiał poczuć głęboką wdzięczność dla ciebie, skoro dałaś mu się wygadać.

– Tak? – wzruszyłam ramionami z powątpiewaniem. – Jakoś nie było tego po nim widać. Miał zamiar mnie załatwić!

– Następną mądrość Herkulesa Poirota: morderca zawsze uderza ponownie! Podejrzewam, że trzecia w kolejce byłaby ta jego lalka. Niechcący uratowałaś jej życie!

– Chcesz wzbudzić we mnie poczucie winy? – oburzyłam się szczerze. – Mam lecieć ją ukatrupić, żeby naprawić błąd? Załatw to sobie sama!

Ewa się zaśmiała.

– Nie będę brudzić sobie rąk. Mam ją w nosie – powiedziała z ostatnią kanapką w ustach. – Posłuchaj, czy nie wybrałybyśmy się w góry?

– Co takiego?!

– No, ostatni wypad nie bardzo nam się udał. A ja wolałabym teraz nie wchodzić w drogę dziennikarzom. Mam dosyć sensacji. Lepiej gdzieś przeczekać, niech sprawa choć trochę przyschnie...

KULKA

*We mnie jest początek i koniec, przyczyna i skutek, wszystko, czego pragniesz i czego się boisz – jest we mnie. Mam cię swoim blaskiem i refleksami kolorów, wdzięczę się do ciebie, mrugam i uwodzę. Daję się objąć dłonią, chłodzę i pieszczę. Możesz się we mnie przejrzeć i zobaczyć całą prawdę. Jestem wiecznością, jestem całością, jestem doskonałością. Bo wszechświat jest kulą, wiedziałeś o tym?...
Masz mnie – masz wszystko. Ja dam ci wszystko.
Ja piękna...*

Lipiec

– No i jak, kochani, super tu jest, co? – Maria uśmiechnęła się z nadzieją do syna, popatrując jednocześnie na męża, jakby oczekiwała od niego wsparcia. I słusznie, łatwo było bowiem przewidzieć odpowiedź nadąsanego czternastolatka.

– Wiocha. – Irek wzruszył ramionami. – Już mówiłem sto razy, więc po co pytasz?

On jeden nie cieszył się z przeprowadzki poza miasto. Przez osli upór rodziców musiał zostawić za sobą wszystko, co znał najlepiej: szkołę, kolegów, podwórko, miejskie ulice, na których się wychował. W nosie miał ogródek i przyrodę. Dla niego nie była to w żadnym wypadku gra warta świeczki. Udobruchał się jednak trochę, kiedy zobaczył swój pokój: położony z dala od sypialni rodziców, na poddaszu, obszerny, umeblowany tak, jak to sobie wymarzył.

– Nie narzekaj, chłopie, docień, co masz. – Michał klepnął chłopaka w ramię i dodał: – Możesz wieszać tu te swoje plakaty, miejsca masz dość, nie to co w bloku!

Kupili ten niewielki dom w czerwcu, okazyjnie, w zasadzie w cenie dotychczasowego mieszkania w mieście, które sprzedali bez żalu. Domek był wprawdzie stary, ale po remoncie, więc poza kosmetycznymi zmianami nie musieli niczego w nim zmieniać, przez co uniknęli dodatkowych kosztów. Opłaciło się. Maria cieszyła się szczególnie z przydomowego ogrodu – już planowała, co będą sadzić i gdzie ustawią stół, ławę i parasol ogrodowy, a gdzie leżaki do opalania. Michał z kolei liczył na święty spokój. Pracował jako tłumacz literatury anglojęzycznej i potrzebował go jak tlenu. Tutaj jednego i drugiego nie powinno mu zabraknąć.

Do miasta mieli stąd zaledwie kilka kilometrów: rzut beretem. Nie wynieśli się w końcu na jakieś zadupie, tylko do malowniczej podmiejskiej osady. Uwolnili od wiecznego smrodu, hałasu i betonu. Nawet do Irka w końcu to dotrze. W nowej szkole szybko się zdomowi, a jeśli tylko będzie chciał spotkać się z dawnymi kolegami, to wsiądzie sobie w autobus, dziesięć minut i już jest w centrum. Poza tym będzie mógł przecież zapraszać ich tutaj: grill, ognisko, sama frajda...

– Kolacja, chłopaki! – Maria wyrzała z kuchni, gdzie zarumieniona z emocji szalała pomiędzy nowiutkimi zielonymi szafkami i rustykalnym blatem. – Pierwszy posiłek w naszym pierwszym prawdziwym domu!

Michał usłyszał łomot na schodach, świadczący dobitnie o tym, że Irek jest głodny. Sam również poczuł ssanie w żołądku, nie jadł przecież od śniadania, kursując pomiędzy mieszkaniami, by ostatecznie zakończyć przeciągającą się przeprowadzkę. Zamknął okno w swoim nowym gabinecie – jak żartobliwie nazwał ten maleńki pokój do pracy – drewniane okno z zieloną okiennicą, przez które zaglądał pnący się bujnie winobluszcz, i ruszył do drzwi, gdy nagle o coś się potknął...

Prosto pod jego nogi potoczyła się kulka. Szklana, wielkości mniej więcej piłeczki tenisowej. Gdy padł na nią refleks zachodzącego słońca, przefiltrowany przez liście, rozjarzyła się różnokolorowym blaskiem. Michał

schylił się, podniósł kulkę i wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, skąd się tutaj wzięła. Była jednak ładna, bardzo ładna. Piękny gadżet. Zważył ją w dłoni: dość ciężka. Uśmiechnął się i odłożył kulkę na biurko. Równie dobrze mogła służyć jako przycisk do papierów.

W kuchni żona i syn czekali już przy stole. Na kolację była jajecznica.

– Wsiowa jajeczniczka – z krzywym uśmiezkiem zauważył Irek.

Michał poczuł zniecierpliwienie.

– Och, zamknij się już, bo zrzędzisz jak stara baba – warknął.

Maria spojrzała na nich z dezaprobatą.

– Dość tego. Jajeczniczka palce lizać. I cieszymy się, że mieszkamy na wsi, bo mieszkanie na wsi jest teraz cool, jak wy to mówicie, co nie? – mrugnęła do syna, który prychnął pogardliwie.

– Aha... – zagaił Michał po kolacji. – Ktoś z was zgubił może szklaną kulkę?

– Co proszę? – Maria uniosła brwi.

– Młody, nie ty?

– Ja? Szklaną kulkę? W życiu!

– A co? – zainteresowała się Maria, zbierając naczynia. – Irek, do zmywarki! To co z tą kulką?

– A nic. Znalazłem w gabinecie. Widocznie została po poprzednich właścicielach.

– I po co ci jakaś kulka? – parsknął Irek.

– Na szczęście – odparł Michał przekornie. – Poza tym nada się idealnie jako przycisk do papierów.

– O ile się nie stoczy...

– Nie twoje zmartwienie, synek!

Osiem dni później

Michał postawił ostatnią kropkę, po czym zapisał i zamknął plik. Czas na odpoczynek. Łyknął trochę zimnej kawy, zerknął za okno, na zieleń, która koła zmęczone oczy. Przez moment mignęła mu sylwetka żony: odziana

w stary niebieski dres, uwijała się w ogrodzie, sadząc, siejąc i wrywając zielsko. Była w swoim żywiole, marzyła o tym odkąd pamiętał.

Jak dobrze!...

Mieszkali tu już od przeszło tygodnia i wyglądało na to, że wszystko powoli zaczyna się układać. Poczuli przyływ nowej energii. Nawet Irek pogodził się wreszcie – chyba? – z mieszkaniem „na wiosze”. Docenił szybkie posiłki z grilla, zamiast tradycyjnych obiadów, spożywane na świeżym powietrzu, spodobał mu się też codzienny jogging w lesie, który mieli dosłownie za płotem. Na szczęście wciąż trwały wakacje, więc najtrudniejszy etap będzie miał już za sobą, kiedy pójdzie do nowej szkoły. Wszystko się świetnie układa.

Jest dobrze, jest super...

Michał przeciągnął się leniwie. Jego wzrok padł na szklaną kulkę, leżącą obok laptopa. Naprawdę przyniosłaś nam szczęście, pomyślał wesoło, i przetoczył kulkę po blacie. Złapał ją w ostatniej chwili, gdy zbliżyła się do krawędzi, potrzymał w dłoni, napawając się przyjemnym w dotyku chłodem oraz gładkością szklanej powierzchni. Przyciągała wzrok tęczowymi refleksami, jakby świeciła własnym wewnętrznym światłem. Naraz ujrzał w niej jakiś ruch. W środku. Coś niebieskiego poruszyło się tam i znikło. Zdziwiony obejrzał się i szybko doszedł do wniosku, że to na pewno Maria, w swoim niebieskim dresie, musiała przejść obok okna i to jej postać odbiła się w szklanej powierzchni. Zaśmiał się, rozbawiony własnym roztargnieniem.

Jest cudownie, rewelacyjnie. Wszystko się wreszcie układa...

Tydzień później

– Komu jeszcze zupy? – zapytała Maria. Tego dnia jedli obiad w pokoju dziennym, pełniącym rolę zarazem jadalni i salonu. Na dworze padało, a w kuchni z założenia spożywali tylko śniadania i kolacje.

– Ja chcę! – zgłosił się Irek.

– Nie chcę, tylko poproszę – poprawiła go matka, dolewając mu pomidorówki.

– Nich ci będzie, poproszę. – Chłopiec wzruszył ramionami, z zapalem dobierając się do talerza. Maria zerknęła na męża, który siedział zamyślony nad swoją porcją, prawie nietkniętą.

– Michał? A ty?

– Co ja? – ocknął się.

– Nie smakuje?

– Jest okej – z widocznym oporem zanurzył łyżkę w zupie, po czym ponownie zagapił się w okno.

– O co chodzi?! – zniecierpliwiła się Maria. – Nie po to stoję przy garach, żeby...

– Czego tu dodałaś? – wszedł jej w słowo.

– Jak to? Sól, pieprz, pomidory... A co, niedobra? Może za ostra? Irek?

Chłopak ponownie wzruszył ramionami:

– Dla mnie w porzo.

– Tylko sól i pieprz? – indagował dalej Michał.

– Słuchaj, o co ci chodzi?! A co niby miałabym tam jeszcze dodać, cyjanek?!

Wyszczerył się groteskowo.

– Kto wie, kto wie... Ty to powiedziałaś!

Parsknęła śmiechem.

– Przestań, stary ośle! Ale masz dowcip... – Popukała się w czoło, znacząco spoglądając w stronę syna, który przyglądał się im kpiąco. Michał wreszcie także zdobył się na uśmiech, choć zupę od siebie odsunął.

– Jakoś nie mam dziś apetytu – stwierdził. – Trochę boli mnie głowa, pewnie przez ten cholerny niż.

– Nie przekł... – zaczęła Maria, lecz nagle urwała. Wszyscy aż podskoczyli na dźwięk przeciągłego, wibrującego stukotu, dochodzącego z dołu, z podłogi. Od strony gabinetu Michała toczyła się w ich kierunku szklana kulka...

Przez chwilę wpatrywali się w nią jak zauroczeni, aż w końcu Irek zerwał się z krzesła, by chwycić lśniący przedmiot, zanim potoczy się gdzieś pod szafę.

– Rany, ojciec, to jest ta twoja zaczarowana kulka?! – zdążył tylko zawołać. – Ale jak ona tutaj...

– Nie rusz jej! – Michał odepchnął go brutalnie, schylając się po kulkę i błyskawicznie chowając ją do kieszeni.

Zarówno żona, jak i syn, wpatrywali się w niego nic nierozumiejącym spojrzeniem. Na twarzy chłopca odbijał się szok, na twarzy kobiety niedowierzenie, zamieniające się stopniowo w złość.

– Oszalałeś – wycedziła.

Michał wyglądał teraz na zmieszanego.

– Przepraszam – bąknął. – Coś m odbiło. Ale, kurczę, wiecie, jak nie lubię, kiedy ktoś rusza moje rzeczy. To z przyzwyczajenia. No i pewnie z powodu tego bólu głowy. Sorry, stary... Pójdę się na trochę położyć.

Kilka dni później

Zegar wybił dwunastą, gdy Maria skończyła pracę. Cały wieczór ślęczała nad szkicami ilustracji do podręcznika, nie zauważyła nawet, że zrobiło się tak późno. Irek spał już u siebie na górze, z gabinetu Michała – ani z ich sypialni – także nie dochodziły żadne dźwięki. Pewnie on też już zasnął, pomyślała. Czas się zbierać, jutro trzeba wstać wcześniej i skosić trawnik. O ile rano nie będzie padać, bo na popołudnie znowu zapowiadali deszcz. Całkiem zarósł, aż wstyd. Co prawda, kosiarka ostatnio szwankowała. Michał powinien się tym zająć, ale... jakoś nie wykazuje do tego ochoty. Może więc sąsiada poprosić, pana Witka? Z niego taka złota rączka, no i do tego życzliwy, sympatyczny...

Maria schowała swoje rysunki do szuflady, wyłączyła komputer, zgasiła światło i poszła do łazienki. Gdy po kilku minutach weszła do sypialni, zobaczyła, że Michał owszem, śpi, nawet pochrapuje, ale na niezaścielonym łóżku, w ubraniu. Cóż, pewnie zasnął z tego bólu głowy i tak już został. Maria delikatnie potrząsnęła go za ramię.

– Michał, wstawaj, trzeba pościelić...

– Mmmm...

– Obudź się.

Nagle znieruchomiała. Jej mąż ścisnął w dłoni szklaną kulkę. Jak dziecko. Zupełnie zwariował na jej punkcie, pomyślała trochę rozbawiona, trochę zaniepokojona. Spróbowała wyjąć mu kulkę z ręki, ale trzymał mocno. Gdy spróbowała jeszcze raz – odepchnął ją przez sen.

W końcu udało jej się go dobudzić.

– Już tak późno? – zdziwił się, odkładając pieczołowicie kulkę na półkę z książkami i sięgając po piżamę.

– Myślałam, że służy ci jako przycisk do papierów?

– Co?

– Kulka.

– No bo służy. Machinalnie ją zabrałem.

Kiedy leżeli już obok siebie w ciemnościach, Maria pogładziła męża po plecach. Odsunął się od niej jak oparzony.

– Michał... Co jest?

– Zostaw mnie, chcę spać.

– Okej, okej! – zrobiło jej się głupio. I przykro. Poczwała łyzy pod powiekami. – Wyjaśnij mi tylko, dlaczego reagujesz tak, jakbyś się mną, do jasnej cholery, brzydził?!

Milczał.

– Udajesz, że śpisz?

– Daj mi spokój. Idź do swojego gacha!

– Że co?!

– To, co słyszysz. – Usiadł gwałtownie i zaczął syczeć na nią jak wąż: – Myślisz, że nie wiem?! Uwielbiasz go przecież, cwaniaczka, wiejskiego amanta... Mięśniaka zasranego... Autorytet sobie znalazłaś... Kochaś wszystko wie, kochaś wszystko zrobi... Latasz do niego jak ta suka w rui!

– Do kogo? – Była tak zaskoczona, że nawet zapomniała o złości.

– Nie kłam, nie udawaj! Kogo chcesz wyprowadzić w pole?! Mnie?! Dziwka!

– Matko, ty naprawdę oszalałaś... O kogo ci, kurde, chodzi?

– Może nie biegasz jak pierwsza lepsza do tego całego... jak mu tam... Witka, Wicia, Witusia?! – wykrzywił się do niej, co dostrzegła nawet po ciemku. Odwróciła głowę, gdyż z wściekłości strzykała śliną. Poczwała też

odrzucający, wręcz namacalny smród potu i furii. I nie tylko. Poczwała obrzydzenie.

– Ledwie go znam. Skąd ci coś takiego przyszło w ogóle do głowy? – zapytała zimno, niechętnie. Wcale nie miała ochoty dyskutować, ale zbyte tych farmazonów milczeniem także w końcu nie mogła.

– Widziałem!

Zerwała się z łóżka i zapaliła światło.

– Tak?! Ciekawostka! Chyba w tej swojej... czarodziejskiej kuli, co?! Bo tylko w nią się ostatnio całymi dniami wpatrujesz!

– A być może – uśmiechnął się do niej złośliwie. – Być może...

Zabrała wtedy swoją poduszkę, koc i poszła spać do pokoju dziennego. Rano przeproszał ją nieomal na klęczkach, przyniósł jej nawet bukietik stokrotek, zebranych w ogródku. Dobrze, że nie zdążyła skosić... Kajał się, tłumaczył, że tak ją kocha, że jest zazdrosny, że coś go opętało. Z tym ostatnim akurat Maria zgadzała się bez zastrzeżeń. Rzeczywiście, coś go opętało. I nawet domyślała się, co. Choćby to nie wiem jak idiotycznie brzmiało. Nawet jeśli to przypadek, to i tak...

Nie, to nie przypadek.

Wówczas po raz pierwszy schowała kulkę. Gdy Michał z Irkiem pobiegli do lasu, weszła do jego gabinetu i ją po prostu zabrała. Wrzuciła głęboko do schowka z narzędziami ogrodniczymi, który znajdował się pod schodami. Mąż nigdy tam nie zaglądał, bo i po co. Ogrodu się przecież nie tykał. Zadowolona zamknęła szafkę. Jakby pytał, to powie, że nic nie wie. Kulka mogła się przecież sama gdzieś potoczyć.

A niech jej sobie szuka!...

Jednak już po południu, tego samego dnia, kulka, jak gdyby nigdy nic, leżała na swoim stałym miejscu, czyli na biurku Michała. A sam Michał nawet się na ten temat nie zająknął. Maria zachodziła w głowę, jak on ją zdołał odnaleźć. I kiedy. Szperał za jej plecami? Bez słowa? I to tak, że niczego nie zauważyła?

Maria się nie poddawała. Następnym razem wyrzuciła kulkę do śmietnika. A jeszcze następnym zakopała ją w ogrodzie.

Lecz ta zawsze w jakiś sposób wracała na swoje miejsce.

Sierpień

Jest dobrze. Bardzo dobrze. Coraz lepiej...

Maria z hukiem otworzyła drzwi do sypialni. No tak. Michał znowu spał w biały dzień na tapczanie, z kulką w dłoni.

– Michał! Michał!

– Odpieprzysz się wreszcie ode mnie? Czego znowu chcesz? – wymamrotał, nie otwierając nawet oczu.

– Masz tyle czasu, że możesz się całymi dniami wylegiwać? A twoje tłumaczenie?

– Zdążę.

– NIE zdążysz – oświadczyła dobitnie. – JUŻ nie zdążyłeś! Termin minął tydzień temu. Okłamywałeś mnie. Od miesiąca nic nie robisz. Kompletnie nie!

– Skąd wiesz? – Otworzył wreszcie jedno oko.

– Właśnie dzwonili z wydawnictwa.

Wyszczерzył się ironicznie.

– Aha. No to już wiesz. Lepiej ci? To teraz się wreszcie odczep i zajmij swoimi sadzonkami. Sąsiad ci pomoże.

– Posłuchaj, debilu – wycedziła, czując, jak powoli narasta w niej nienawiść. – Z moich rysunków nie utrzymam domu, siebie, ciebie i dzieciaka. Kończą się oszczędności. Mamy długi. Niedługo zabraknie nam na prąd, a potem na jedzenie. Żyjemy na kredyt. Więc rusz tyłek i zabierz się łaskawie do jakiejś roboty, zanim to wszystko runie! Dotarło?! – wrzasnęła i wyszła, trzaskając drzwiami.

Wszystko się ułoży. Już niedługo. Jesteś przecież stworzony do wyższych celów. Spójrz, tylko spójrz: Oto mównica. Błysk fleszy.... tłumy wielbicieli.... Oklaski.

Jest dobrze. Będzie jeszcze lepiej...

Nastuchiwała przez chwilę. Dalej tkwił w sypialni. Po cichu wślizgnęła się do gabinetu. Chciała zajrzeć do jego komputera, sprawdzić jak zaawansowane

jest tłumaczenie, którego nie oddał na czas. Wydawca zagroził zerwaniem współpracy. To byłby dramat. Może, jeśli nie zostało już dużo, uda jej się namówić go jakoś do ukończenia tekstu lub... lub poprosi kogoś, by to skończył za niego... Może...

Nie zdążyła podejść do biurka, bo...

– Au! Jezu!

Z półki na książki coś na nią spadło i boleśnie uderzyło w ramię, po czym hałaśliwie potoczyło się po podłodzie. Dopiero gdy, wirując, znieruchomiało wreszcie pod oknem, rozpoznała ów przedmiot. Naturalnie: cholerna szklana kulka Michała. Rozświetlona smugą dziennego światła, wpadającego zza żaluzji, lśniła i mieniła się wszystkimi kolorami tęczy. Marii zdawało się też, że słyszy z jej wnętrza jakiś dźwięk. Coś jakby cichy szmer albo monotony szum, trochę jak z muszli. Kulka grała...

Halucynacje – szybko doszła do wniosku. Lecz poczuła lęk. Opanowała go z trudem, podniosła kulkę i zważyła ją w dłoni. Ciężka. Gdyby tak, zamiast w ramię, uderzyła ją w głowę...

Zaraz... ale w ogóle to skąd ona tutaj? Przecież dopiero co miał ją ze sobą w sypialni. Zdążyłby odnieść? A może tych kulek jest więcej? Zabawne, pomyślała, siląc się na autoironię: wygląda na to, że prześladuje mnie głupia szklana kulka! Czy ja już przypadkiem sama nie oszalałam?...

Cha, cha, cha, zabawne... Prawda, jakie zabawne?

Po cichu zamknęła drzwi do gabinetu (to chyba właśnie wtedy po raz kolejny zabrała kulkę i wyrzuciła ją do kubła na śmieci). Nie miała już odwagi zaglądać do komputera. Zresztą po co? Olać to. Poradzi sobie sama.

Poradzi sobie.

Na pewno.

Wrzesień

Irek odrabiał lekcje u siebie na górze. To znaczy, miał odrabiać, ale zamiast tego włączył ulubioną grę komputerową. Co tam. Lekcje nie uciekną. Nic

trudnego nie zadali. Nowa szkoła całkiem mu się spodobała: nie wymagali zbyt wiele, przynajmniej jak do tej pory. Belfry nie gorsze niż wszędzie. Kolesie też ujdą. W siatkę grają, to najważniejsze, a on jest w tym dobry, nawet bardzo dobry, więc od razu u nich zapunktował. No i laski nie najgorsze...

Pospiesznie wyłączył komputer i otworzył podręcznik na pierwszej z brzegu stronie, gdy tylko usłyszał ciężkie kroki na schodach. Kroki? Mało powiedziane. Ktoś wbiegał po schodach. Na pewno ojciec, bo matka tak nie tupie! Udał, że skupia się na książce, gdy drzwi otworzyły się z hukiem. Nawet nie zdążył zarejestrować, co się dzieje, gdy ktoś wyrwał mu gwałtownie podręcznik i cisnął nim o ścianę. Następne, co poczuł, co silny cios pięścią w twarz. Odruchowo złapał się za nos, a gdy na swojej dłoni ujrzał krew, zrobiło mu się słabo. Krzyknął.

Gdy Maria, zaalarmowana krzykiem, wpadła pędem na górę, już od progu zobaczyła dramatyczną scenę. Przez kilka mrozących krew w żyłach sekund stała w drzwiach jak żona Lota, nie wierząc w to, co widzi. Nie mogła, nie chciała uwierzyć, że to się dzieje naprawdę: jej syn, jej mały chłopiec, leżał skulony na podłodze, zasłaniając twarz rękoma, gdy tymczasem jego ojciec – jej mąż, jej kulturalny, wykształcony, spokojny z natury mąż – kopał go po całym ciele, wykrzykując coś belkotliwie...

Oprzytomniała błyskawicznie i rzuciła się pomiędzy nich, szarpiąc i odpychając Michała. Ten pchnął ją i kopnął, lecz nie ustąpiła, gotowa rzucić się na niego z pięściami, gryźć i drapać. Chyba to do niego dotarło, bo w końcu opamiętał się, ciężko dysząc. Maria pomogła wstać synowi. Na jego twarzy lzy mieszały się z krwią, zakrwawione miał również dłonie. Cały się trząsł.

– Co tu się stało?! – krzyknęła ochrypłym głosem, odwracając się do męża.

Milczał, nadal dysząc; w jego oczach czaiło się szaleństwo.

– Co zrobiłeś? – zwróciła się do Irka, ale ten kręcił tylko bezradnie głową. Pewnie jest w szoku, przemknęło jej przez głowę.

– O co poszło, do jasnej cholery?! – ponownie zaatakowała Michała, dopadając doń i tłukąc zaciśniętymi pięściami w jego klatkę piersiową.

Pomyślała, że mogłaby go... zabić.

– Nie będzie mnie gnój okradał! – wrzasnęła Michał.

Maria zdębiała. Nie była w stanie wydobyć głosu. Pytająco spoglądała raz na męża, raz na syna. Chłopiec wciąż kręcił tylko głową, jego twarz nie wyrażała niczego, po policzkach nadal spływały łzy, czerwone od krwi.

– No co się tak gapisz?! Nie pozwolę się okradać! Nikomu, kurwa! Gówniarz podpierdolił mi pieniądze z portfela! Widziałem go! Nakryłem gnojka! Zobacz... – Michał wyszarpnął z kieszeni portfel i jednym szarpnięciem otworzył go, demonstrując, że jest pusty, po czym rzucił nim z furią o ścianę.

– Nigdy ci niczego nie kradłem! – Irek wreszcie wydobył z siebie głos, drżący i zniekształcony od płaczu, ale pełen emocji. Brzmiał szczerze.

– Ty nie miałaś żadnych pieniędzy w portfelu – wycedziła Maria. – Skąd miałbyś je mieć? Nie pracujesz, to nie masz.

– Widziałem, jak grzebał mi w portfelu, na własne oczy widziałem!

– Kiedy widziałeś?

– Dopiero co! Z pół godziny temu!

– Bzdura – głos Marii zabrzmiał twardo i obco, nawet w jej własnych uszach. – Od co najmniej dwóch godzin Irek siedział w swoim pokoju i odrabiał lekcje. Ani razu stamtąd nie wychodził. Wiem, bo przez cały czas byłam w kuchni i dobrze widziałam schody. Tylko ty po nich wbiegłeś. Więc jeszcze raz: gdzie i kiedy widziałeś, jak kradł ci pieniądze, które nie istniały? Znowu w szklanej kuli?

Michał otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zrezygnował. Odwrócił się na pięcie i wypadł z pokoju. Nie zamknął za sobą drzwi – kopnął w nie.

– Ja nie kradnę, przecież wiesz... – chlipnął Irek, wtulając się w matkę.

– Wiem, synku – przytuliła go i pogłaskała po mokrym policzku. – Tata... też wie, tylko coś się ostatnio dzieje z jego nerwami.

– To od czasu tej kulki, mamó. Jemu odbiło.

– Nie mów tak. Każdy ma swoje... swoją kulkę. Tacie to minie i wszystko wróci do normy. Będzie dobrze, zobaczysz.

Będzie dobrze. Będzie dobrze...

– Akurat...

– Tymczasem pokaż mi tę buzię – powiedziała ze sztucznym ożywieniem. – Podbite oko, rozwalona warga, ząb ukruszony... nos cały, na szczęście. Powinniśmy w zasadzie jechać z tym na pogotowie.

Sploszony wyrwał się z jej objęć.

– W życiu! Mama! Przecież oni od razu zawiadomią gliny! Co ty, prawa nie znasz? Wszyscy mają się zaraz dowiedzieć, że ojciec zwiariował? Taki obciach, w życiu! Napiszesz mi kilka dni zwolnienia, a ja powiem chłopakom, że miałem wypadek na rowerze górskim, jakby co...

Michał nadal nie pracował, niczego już nawet nie czytał, zarzucił też codzienny jogging z synem. Głównie spał, przespiał całe dnie, czasem tylko włączył się gdzieś samotnie bez celu, po okolicznych lasach albo łąkach. Irek szydził za jego plecami, że pewnie wyprowadza na spacer swoją kulkę. Fakt, że pod jego nieobecność kulki w domu nie było widać, więc albo ją gdzieś chował, albo... zabierał ze sobą. Niewiele jadł, przestał się myć, golić, czesać, nawet nie zmieniał już ubrania. Maria przeniosła się na stałe do pokoju dziennego, ponieważ nie mogła znieść bijącego od niego smrodu. Pewnego razu przyłapała go na rzucaniu kamieniami w ptaki, które dokarmiła w ogrodzie. Kiedy zwróciła mu uwagę, udawał, że nie słyszy. Nie było z nim kontaktu, prawie się nie odzywał, ani do niej, ani do Irka. Chłopiec zresztą unikał go teraz starannie.

Maria wciąż jeszcze, może nawet z coraz większym zapałem, uprawiała swój ogródek. Praca w ogrodzie dodawała jej sił i energii. Kochała to. Dopóki... dopóki Michał nie zniszczył jej grządek. Wszystko zepsuł: połamał kwiaty, krzewy, stratował trawnik. Być może miała to być kara za to, że zakopała raz w ogrodzie jego zasraną kulkę.

Wtedy machnęła na wszystko ręką, a zadbane dotychczas, gustowne obejście zaczęło pomału popadać w ruinę.

– Pani Marysiu! Dzień dobry!

Zauważył ją, choć przecież usiłowała tylko przemknąć się – chylkiem, niepostrzeżenie, z opuszczoną głową – do kubła na śmieci. Niechętnie pokazywała się teraz ludziom na oczy. Jeszcze trudniej przychodziło jej z nimi

rozmawiać. Jednak sąsiad zza płotu, Witek, był naprawdę miłym i życzliwym człowiekiem, zawsze mogła na niego liczyć. Nie wypadało go tak po prostu zignorować.

– A witam, panie Witku...

– Coś rzadko widać panią ostatnio w ogrodzie – zauważył, znacząco obrzucając wzrokiem ruiny jej pięknych niegdyś rabattek. – Wszystko u was w porządku? Co się stało pani kwiatom?

Z wysiłkiem usiłowała się uśmiechnąć, co jednak nie bardzo jej wyszło, odwróciła więc twarz, by ukryć kłopotliwy grymas.

– No właśnie, chyba jakieś dzikie zwierzęta musiały mi stratować wszystkie grządki – odparła niepewnie.

– Dziwne – stropił się. – Nigdy nic takiego się tutaj nie zdarzało. O, chyba mąż wraca ze spacerku?

Rzeczywiście, Michał właśnie pchnął furtkę i wszedł na teren posesji. Zarośnięty i ubrany w brudne, ubłocone łachy, wyglądał jak stary kłoszard. Nie zaszczyił ich nawet jednym spojrzeniem, przechodząc obok.

– Witam, witam sąsiada! – wyrwało się Witkowi, choć Maria modliła się w duchu, by milczał.

– Sritam – odburknął Michał.

Maria stała jak przymurowana. Czuła, że ze wstydu zaraz spłonie. Sąsiad rzucił jej pytające spojrzenie.

– To... nic takiego – bąknęła, czując, jak zalewa ją kolejna fala gorąca. – Przepraszam pana, muszę... Do widzenia.

Dwa dni później

Coś obudziło Marię. Dziwne, lecz wyraźne uczucie, że ktoś na nią patrzy. Chciała otworzyć oczy, ale bała się. Zamiast tego usłyszała czyjś oddech i... poczuła znajomy charakterystyczny zapach, a raczej odór dawno niemytego ciała i niepranej bielizny. Michał, doszła do wniosku. Stoi nad nią i... i co?

Nawet przez zaciśnięte powieki widziała, że w pokoju panuje ciemność. Nie zapalił światła. Woląла udawać, że dalej śpi, choć całe jej ciało sprężyło się, gotowe do obrony. Nie wiedziała, czego boi się bardziej: tego, że mężowi zebrało się na pieszczoty, czy tego, że... że chce jej coś zrobić. Coś złego.

Trwało to już zbyt długo: słyszała głośnie bicie własnego serca, przekonana, że i on musi je słyszeć. Wszystko zaczęło ją swędzieć. Jak zwykle, gdy nie mogła się podrapać... Lecz kiedy myślała już, że dłużej nie wytrzyma, podłoga zaskrzypiała. Dobiegł ją odgłos ostrożnie stawianych kroków, a po chwili ciche stuknięcie zamykanych drzwi.

Otworzyła oczy, lecz nie odważyła się włączyć lampki nocnej. Nadal leżała w ciemności, bojąc się ruszyć. Sięgnęła tylko po komórkę, pozostawioną na stoliku obok kanapy, by sprawdzić godzinę na wyświetlaczu. Była druga trzydzieści...

Przeleżała tak bezsennie aż do szóstej. Gdy zaczęło się rozwidniać, wstała, narzuciła szlafrok na piżamę i poszła do łazienki, a następnie do kuchni, by napić się kawy. Dom spał. Nalała sobie kubek kawy rozpuszczalnej, bo nie chciało jej się włączać ekspresu. Wypiła ją małymi łydkami, wyglądając przez okno na porośnięty chwastami ogród. Potem podeszła pod drzwi sypialni i przez chwilę nasłuchiwała. Cisza. Nie słychać nawet chrapania. Ostrożnie nacisnęła klamkę, zajrzała, lecz pokój był pusty. Pościel wprawdzie rozmemłana, lecz tak samo wyglądała mniej więcej od miesiąca. Michała nie było w domu. Musiał wyjść zaraz po tym, jak stał w nocy na jej łóżkiem. Dziwne, bo nic nie usłyszała. Ale widocznie postarał się, by nie słyszała.

Poczuła ulgę. Zaraz trzeba iść na górę, obudzić Irka do szkoły. Woląла, kiedy był w szkole niż tutaj. Miała wrażenie, że tam jest bezpieczniej. Siniaków prawie nie było już widać, a koledzy i nauczyciele uwierzyli w wersję wypadku rowerowego. Zajrzała do lodówki, by przygotować synowi śniadanie, ale przypomniała sobie, że w domu nie ma nic do jedzenia. Lodówka świeciła pustakami, podobnie jak pojemnik na pieczywo. No nic, trudno, pomyślała, po prostu dam mu jakieś drobne na bułkę i kefir – coś się tam chyba jeszcze wyściubi – niech kupi sobie gdzieś po drodze...

Jakoś to będzie.

Będzie dobrze...

Po wyjściu Irka położyła się, by odespać zarwaną noc. Rysować będzie i tak dopiero wieczorem. Najpierw trzeba jeszcze polecieć do sklepu, kupić trochę warzyw, choćby na jakąś zupę. Mały musi przecież zjeść coś ciepłego, przynajmniej raz dziennie. Ugotuje coś, coś wymyśli... Ale teraz musi się zdrzemnąć, po prostu musi. Michał nie wrócił jeszcze do domu, lecz za dnia się go nie bała. On też unikał konfrontacji; zwykle zamykał się w swoim pokoju i godzinami tam przesiadywał, nic nie robiąc.

Zasnęła błyskawicznie i spała długo, lecz niespokojnie. Co jakiś czas coś ją budziło: a to wycie psa, a to odgłosy kosiarki lub piły elektrycznej. Zwykle ich nie słyszała, przywykła, jednak tego dnia nerwy nie dawały jej spokoju. A gdy wreszcie zapadła w głęboki sen, wyrwało ją z niego nawoływanie syna:

– Mama! Obudź się, no co ty, nic nie wiesz?!

Ocknęła się błyskawicznie, spoglądając na zegarek. To już tak późno? Po szkole? Trzecia, rany boskie!

– Co się dzieje?

– Nic nie słyszałaś? Ale jaja! Sąsiad spadł z drabiny, zabił się na śmierć!

– Co? Jaki sąsiad? Pan Witek?

– No, pan Witek. Całkiem się zabił, wyjrzyj, na dworze jest pełno policji i w ogóle. O, zabierają go, spójrz!

Podskoczyła do okna. Rzeczywiście, na ulicy przed domem sąsiada stał wóz policyjny i jeszcze inne samochody, kręciło się mnóstwo ludzi, a z terenu posesji wynoszono właśnie na noszach wydłużony kształt w worku, który skojarzył się jej, dość upiornie, ze śpiworem górskim. Dobrze wiedziała, co w nim jest. Zebrani gapie rozstąpili się, jakaś babcia nawet się przeżegnała. Wszyscy mieli ponure, żalobne twarze. Nawet pogoda jakby dostosowała się do sytuacji: było pochmurno, wietrznie, siąpiła mżawka, choć z samego rana jeszcze świeciło słońce.

– Lepiej wyjdźmy na zewnątrz, może się czegoś więcej dowiemy – zaproponował Irek. – Tata już tam jest. A ci policjanci wypytują ludzi, czy coś słyszeli. Nas też na pewno zapytają. Chodźmy!

Na ulicy panowało zamieszanie, sąsiedzi plotkowali, ktoś płakał. Jedna z sąsiadek powiedziała Marii, że wypadek musiał wydarzyć się rano, bo pies przy budzie wył i wył, ale nikomu nie przyszło do głowy, że taka tragedia... Dopiero listonosz go znalazł, bo kiedy stukał do drzwi i nikt nie otwierał, to pomyślał, że gospodarz jest pewnie na podwórku, więc zajrzał. Witek malował dach, no i drabina widocznie się pod nim obsunęła. Wysoko było – zginął na miejscu.

Do Marii dopiero teraz zaczęło docierać, że to nie żadna fikcja, nie film, że jej jedyny sojusznik tutaj, można nawet powiedzieć: przyjaciel, naprawdę nie żyje. Zrobiło jej się ciężko na sercu, w dodatku poczuła nagły lęk: takie ciarki, jakby zimno, skradające się gdzieś z głębi czaszki. Poczula się całkiem samotna, opuszczona. Kątem oka dojrzała Michała, stał na uboczu i patrzył na nią. Uśmiechał się! Pierwszy raz od bodajże miesiąca – uśmiechał się. Był to jednak złośliwy, złowieszczy uśmiech. Pełen okrucieństwa. Maria ponownie poczuła dreszcz.

– Mamuś. – Irek szarpnął ją za rękaw. – Gliniarz do ciebie idzie!

Zanim zdążyła się obejrzeć, barczysty mężczyzna w czarnej ortalionowej kurtce machnął jej przed nosem legitymacją.

– Pani mieszka podobno na sąsiedniej posesji, czy tak?

– Tak, my... – Oszołomiona skinęła głową, kurczowo przytulając syna.

– Pani mieszka sama czy z rodziną?

– Z rodziną, z synem i... i z mężem.

– A gdzie mąż?

Maria obejrzała się nerwowo, lecz Michał stał już obok niej.

– Tutaj. To ja – odparł spokojnie, najzupełniej normalnym tonem. Takim jak dawniej, kiedy jeszcze był sobą.

– Państwo byli w domu w ciągu dnia? – indagował dalej policjant.

– Tak – zawahała się. – Byłam, ale... ale spałam.

Mężczyzna spojrział na nią pytająco.

– Przez cały czas pani spała?

– Tak. Pracowałam w nocy, jestem grafikiem. Nocą mam spokój, więc... położyłam się rano, spałam do tej pory, dopiero syn mnie obudził i powiedział,

co się stało.

– A syn?

– Syn był w szkole.

– Aha. A pan? – spojrzał na Michała.

– Byłem w domu.

Maria wbiła wzrok w ziemię.

– I nic państwo nie zauważyli? Nie słyszeli?

– Nic, tylko... pies wył. Niczego więcej nie zauważyłam – powiedziała Maria, nie ośmielając się spojrzeć na policjanta.

– No tak – ten westchnął. – Niestety wygląda na to, że pies był jedynym świadkiem tego nieszczęśliwego wypadku. Pan też niczego nie słyszał?

– Byłem w swoim gabinecie. – Michał, w przeciwieństwie do Marii, przez cały czas patrzył mu prosto w oczy. – Jestem tłumaczem literatury. Kiedy pracuję, skupiam się na tym, co robię. Nic nie zwróciło mojej uwagi.

Mężczyzna zmierzył go zdziwionym spojrzeniem. Widocznie widok oberwańca niezbyt pasował mu do wyszukanej przemowy, jaką przed chwilą usłyszał, nie wspominając już o zawodzie tłumacza. Z racji zawodu był jednak przyzwyczajony do najróżniejszych ekscentryków.

– No cóż, dziękuję państwu...

Maria zauważyła, że ktoś właśnie wyprowadza, na smyczy i w kagańcu, psa pana Witka. Średniej wielkości piaskowy kundelek trząsał się, skomlał i warczał na przemian. Gdy przechodził obok nich, znów zaczął wyć.

– Co się stanie z psem? – zapytała.

– Zajmie się nim rodzina.

– Wracajmy do domu. – Nie mogła już znieść tej atmosfery podniecenia wokół, tych ciekawskich spojrzeń, konspiracyjnych szeptów. Tak jakby sensacja była ważniejsza od faktu, że człowiek nie żyje. Dobry człowiek.

– Nie było cię w domu – rzuciła oskarżycielsko do Michała, gdy tylko znaleźli się za progiem, a Irek poszedł do siebie na górę.

Michał zamierzał najwyraźniej skryć się od razu w swoim pokoju, lecz znieruchomiał z ręką na klamce, po czym odwrócił się powoli. Wbił w nią

pusty wzrok, z którego nie mogła nic wyczytać, a jednak, kolejny raz tego dnia, poczuła dreszcz.

– I co? Zamierzasz donieść na mnie glinom? – wycodził.

– Nie o to chodzi. Ale dlaczego skłamałeś?

– Żeby nie musieć się tłumaczyć. Kapujesz?

– Gdzie byłeś?!

– Nie twój zasrany interes.

Nacisnął kławkę, lecz powstrzymało go jej ostatnie pytanie, ciche, lecz zadane ze spokojną pewnością siebie:

– Ty to zrobiłeś, prawda? Zabiłeś go?

Znów się odwrócił.

– A co? Już ci brakuje kochasia? – zaśmiał się szyderczo, w sceniczny sposób szczerząc do niej zęby. Z jego ust buchnął taki smród, że aż zrobiło się jej niedobrze. – Nie będzie komu wypłakiwać się na ramieniu i skarżyć na niedobrego męża? Och jej, jak przykro...

– Ty bydlaku.

Przestał się uśmiechać. Jego oczy w ułamku sekundy zmieniły się w stal. Pomyślała sobie, że mógłby nią zabijać.

Zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

Październik

Była teraz praktycznie sama w domu. Michała prawie nie widywała, a Irek pojechał na kilkudniową wycieczkę szkolną do Zakopanego. Kosztowała sporo, lecz Maria zapożyczyła się i wysłała go tam z ulgą. Wolą, kiedy był poza domem. Bo w domu... W domu zewsząd czaiło się niebezpieczeństwo. Tak to odczuwała. Coś złego, co wisiało w powietrzu, w każdej chwili gotowe zaatakować. Wolą nie nazywać „tego” po imieniu. Dopóki czemuś nie nada się nazwy, dopóty można udawać, że tego nie ma. Nocami zamykała się w swoim pokoju na klucz, by nie wpuścić „tego” do środka. To samo nakazała Irkowi, kiedy przebywał w domu. Stare drzwi na szczęście posiadały zamki.

Poza tym... tłumaczyła sobie, że chłopak po prostu działa Michałowi na nerwy. Może dlatego, że sam ostatnio wrogo odnosił się do ojca, nie potrafił wybaczyć mu tamtego pobicia, a jeszcze bardziej – niesprawiedliwych oskarżeń. Napięcie pomiędzy nimi aż iskrzyło. Wołała, żeby zeszli sobie z oczu, choć na te parę krótkich dni. Z dała od domu mały będzie bezpieczniejszy.

O tak. Będzie bezpieczny. Będzie.

Na pewno...

Dwa dni później

Upuściła komórkę na podłogę. Telefon sam wypadł jej z ręki, nawet tego nie zauważyła. Nic nie czuła. Kompletnie nic. Jakby ktoś zaaplikował jej środek znieczulający, który poraził system nerwowy. Tylko w głowie szumiało, ale nawet ten szum był dobry, odgradzał ją od rzeczywistości. Świadomość balansowała gdzieś na granicy jawy i ciemności. Wiedza nie równała się rozumieniu. To było dobre.

Dobre...

Wiedziała, co musi teraz zrobić. Musi mu o tym powiedzieć. Była jak nakręcona. Niczym automat poszła prosto do gabinetu, gdzie przebywał od rana. Otworzyła drzwi: siedział za biurkiem, tocząc kulkę po blacie. Spojrzał na nią i zrozumiała, że wie.

Nie, niemożliwe – świadomość zaczęła powracać – przecież nie mógł wiedzieć. Nie mógł. Ale zaraz się dowie. To wszystko przez niego, to jego wina. Gdyby nie on, wszystko byłoby normalnie. Nienawidziła go. Lecz jeszcze mógłby to zmienić, gdyby... gdyby tylko ujrzała coś ludzkiego w jego oczach.

– Autokar, którym wracali, rozbił się na zakopiance – powiedziała. – Zderzył się z tirem. Są ranni. Mają listę rannych, ale... Irka nie ma na tej liście. To znaczy... to znaczy, że... ktoś z nas musi jechać, zidentyfikować ciało. Bo nikt więcej nie przeżył.

Głos jej się załamał, świadomość wróciła. Razem z nią nadszedł ból. Przejmujący, nie do ogarnięcia. On patrzył na nią obojętnie, w oczach miał

puszkę.

– Słyszysz?

Nadal toczył kulkę po blacie biurka.

– Słyszysz?!

Odwróciła się na pięcie i wybiegła. Dopiero w korytarzu straciła przytomność. Runęła jak długa na podłogę...

Nie ruszył się z krzesła, choć słyszał, jak upadła. Ale to nic, przynajmniej teraz jest spokój. Święty spokój. Wziął kulkę w dłoń, a ona zamrużyła promiennie. Uśmiecha się do mnie, zauważył, i też się uśmiechnął.

Jak dobrze.

Dobrze...

Kilka dni później

Wróciła do domu, choć najchętniej pojechałaby gdzieś daleko, na sam koniec świata, gdzieś, gdzie mogłaby zapomnieć, kim jest i kim była. Parę dni spędziła u swoich krewnych, lecz oni nie potrafili jej pomóc. Nikt nie może pomóc. Wróciła po rzeczy swojego dziecka. Jemu one już się nie przydadzą, ale dla niej były bardziej żywe, bardziej... będące Irkiem... niż te krwawe strzępy ciała, które kazali jej oglądać. Chciała jeszcze raz poczuć jego zapach, energię, która zawsze dodawała jej sił, by przetrwać.

Potem niech się dzieje, co chce.

Zaparkowała przed bramą i weszła na teren posesji. Wokół była cisza. Ani żywego ducha. Mimo pięknej jesiennej pogody nikt nie przebywał na powietrzu. Ludzie byli jeszcze zapewne w pracy; obok, na opuszczonej działce sąsiada perz zarastał grządką, tak samo, jak w jej ogrodzie.

Dom stał otwarty i pusty. Sprawiał wrażenie opuszczonego od stu lat. I słuszne, bo tak właśnie było: odkąd tu zamieszkali, szczęśliwi i pełni nadziei, upłynęły wieki. Bo czas dla każdego płynie inaczej. Poszła na górę, do pokoju synka, lecz nie była w stanie nacisnąć klamki. Dopóki tam nie wejdzie – wmawiała sobie rozpaczliwie – on wciąż tam jest. Odrabia lekcje albo gra na

komputerze. Przymknęła oczy, nasłuchując znajomych odgłosów, szelestów, stukania klawiszy komputera, dziwacznej muzyki, którą czasami nastawił zbyt głośno, a co tak ich kiedyś denerwowało. Chciała je usłyszeć – więc usłyszała. Może później tam wejdę, obiecała sobie, schodząc ponownie na dół.

Zarówno gabinet, jak i sypialnia, były puste. Michała tu nie było. Nie interesowało jej, gdzie się podziewał. Usiadła w kuchni, nadal w płaszczu, i siedziała tak przez jakiś czas, bez ruchu. Pomyślała sobie, że mogłaby napić się kawy lub herbaty, ale nie chciało jej się pić. W zasadzie to nic jej się nie chciało. Tylko spać.

Następnego dnia obudziła się późno, dopiero koło południa, i stwierdziła, że wciąż jest sama w domu. Może odszedł, skonstatowała obojętnie. Wszystko jedno. Bez mycia i bez śniadania wyszła do ogrodu, wymiotła z podwórka suche liście, a potem zabrała się za wrywanie chwastów. Wprawdzie nie widziała już żadnego celu ani sensu tej roboty, ale mogła przynajmniej czymś się zająć, zagłuszyć myśli. Pogoda nadal była piękna: jak na tę porę roku, panował wręcz upał. Drażniło ją to, jakby ktoś z niej szydził. Cholerne słońce, nie powinno już nigdy zaświecić.

Cha, cha, jesteś tylko pionkiem w grze, nie ty tu pisziesz scenariusz, cha, cha, cha!

Pokłula sobie ręce ostem, poszła więc do szopy na narzędzia, po rękawice ogrodowe i specjalny przyrząd do wykopywania chwastów. Kiedy zbliżyła się do szopy, poczuła mdlący odór. Fu, co jest?

Z wahaniem otworzyła skrzypiące drzwi.

Wisiał tam – zwrócony do niej opuchniętą, siną, wykrzywioną twarzą, z wywalonym czarnym językiem i szyderstwem w wybaluszonych oczach. Pod nim przewrócony taboret. Smród, który na nią buchnął, był nie do zniesienia. Musiał to zrobić zaraz po jej wyjeździe, skoro zaczął już tak cuchnąć. Choć cuchnął także i za życia...

Coś zastukało. Ze zgrozą zobaczyła, że po podłodze toczy się prosto pod jej nogi przeklęta szklana kulka. Musiała mu wpaść z bezwładnej dłoni.

Zwymiotowała.

Listopad

Spakowała już ubrania syna i swoje. Zapakowała też do kartonów trochę książek, dokumentów oraz zdjęć z gabinetu. Na resztę rzeczy machnęła ręką. A niech je szlag trafi, nie potrzebuje ich. Niech tu zgniją, przepadną, razem z tą parszywą chałupą, niech się dzieje, co chce. Może w ogóle najlepiej byłoby to wszystko spalić?

Wyniosła pierwszy karton do samochodu i wróciła po następny. Spieszyła się. Chciała zamknąć za sobą raz na zawsze te drzwi, ten rozdział, tamto życie. Bez sensu, wszystko bez sensu. Uciekać... Naraz zauważyła na parapecie okna kulkę Michała. Nie pamiętała, by ją tu przynosiła po tym wszystkim, no ale ktoś widocznie musiał. Ogarnęła ją nagła furia. Jakby wszystkie tłumione do tej pory złe emocje skierowały się na ten niepozorny przedmiot. Niepozorny, lecz piękny, tak piękny, że trzeba go było unicestwić jak najszybciej...

Ze schowka pod schodami przyniosła młotek. Zamachnęła się i trafiła w kulkę, przy okazji uszkodzając parapet, lecz ta stoczyła się i spadła na podłogę. Maria zaczęła gonić ją i tłuc młotkiem jak oszalała. Raz trafiła we własną stopę, lecz przejmujący ból sprawił jej tylko jakąś dziką satysfakcję. W końcu rozwalila kulkę w drobny mak. Resztki, które po niej zostały, podeptała, jakby jeszcze było jej mało. Po czym, ciężko dysząc, zostawiło wszystko i wybiegła z domu...

Młody człowiek podkręcił pokrętło radia i dodał gazu. Idealna droga, by wypróbować nowe autko, o tej porze prawie nikt tutaj nie jeździł. Jeszcze trochę przyspieszył, ostro wziął zakręt i... wtedy to się stało.

– Ta kobieta wypadła na ulicę jak wariatka! – tłumaczył się później. – Kuląła, ale biegła pędem, tak jakby ją coś gonilo, w życiu nie zdążyłbym zahamować, nawet gdybym jechał wolniej...

Usłyszała jeszcze tylko pisk opon, a następnie poczuła, że coś unosi ją w górę, w powietrze. I puszcza. W tym ostatnim momencie nie czuła bólu, tylko ulgę. Na moment ogarnęła ją ciemność, a następnie ujrzała świetlistą jasność...

...i znalazła się we wnętrzu kuli.

Jest dobrze. Widzisz? Już wszystko wiesz...

Rok później, w jakimś mieście w parku

– Mamo, mamoo! – Mała dziewczynka ruszyła biegiem w kierunku ławki, na której jej matka czytała książkę, popatrując co i rusz na bawiące się dzieci. – Zobacz, co znalazłam! Jaka piękna kulka!

– Pokaż – uśmiechnęła się kobieta.

Dziecko zademonstrowało jej dumnie niewielką szklaną kulkę, która lśniła i migotała w słońcu tęczowymi refleksami.

– Rzeczywiście, piękna. Gdzie ją znalazłaś?

– Sama się przyturlała, o tam, z krzaków! Mamusiu, możemy ją sobie wziąć?

Kulka była naprawdę piękna, przepiękna. Kobiecie też, tak samo jak dziewczynce, aż zaświeciły się do niej oczy.

– Myślę, że tak. – Rozejrzała się dyskretnie dookoła. – Nikt jej chyba nie szuka. Daj mi ją, kochanie, mamusia schowa do torebki.

PODWÓJNY TRUP

Tytułem wstępu

Na samym początku swojej pracy dziennikarskiej natrafiłam na historię tak dziwną, makabryczną i groteskową, że po namyśle zdecydowałam się przytoczyć ją tutaj dosłownie, opierając się wyłącznie na zebranych wówczas materiale. W tym miejscu dodam tylko, że owo doświadczenie uczyniło ze mnie reportera. Później już żaden temat nie mógł mną chyba silniej wstrząsnąć – otrzymałam swój zawodowy chrzest. Przyszłam do tej roboty kompletnie zielona, a tu od razu, niemal na dzień dobry: trup.

I to podwójny...

Relacja Rzeczniczki Pogotowia Ratunkowego w mieście X

Wspomnianej nocy trafił do nas pacjent w stanie zagrożenia życia, z objawami silnego zatrucia, na które składały się: bóle brzucha, nudności, wymioty, biegunka, poważne odwodnienie organizmu, a także zmiany skórne, zapalenie błon śluzowych, wypadanie włosów oraz niedowład mięśni. W trakcie dalszych badań wykryto również inne poważniejsze dolegliwości, potwierdzające wstępną diagnozę. Wspomniany pacjent – mężczyzna w wieku 65 lat – zgłosił się do nas sam. W poczekalni zemdlął. Lekarz dyżurny zajął się nim natychmiast i wkrótce potem mężczyzna trafił na oddział intensywnej terapii. Jednocześnie, z uwagi na niewyjaśnione okoliczności zatrucia, podjęliśmy decyzję o natychmiastowym powiadomieniu policji.

Relacja Rzecznika Komendy Głównej Policji w mieście X

Na podstawie badań medycznych poszkodowanego stwierdziliśmy możliwość zatrucia substancją groźną dla życia. Nie wykluczaliśmy hipotezy samobójstwa, braliśmy jednak pod uwagę również możliwość nieszczęśliwego wypadku. Policja zrobiła wszystko, co w jej mocy, by wyjaśnić okoliczności zażycia trucizny. Kontakt z pacjentem był początkowo poważnie utrudniony, mężczyzna pozostawał w stanie ciężkim, jednak dzięki staraniom lekarzy mogliśmy odebrać jego zeznanie.

Zeznanie Wiktora W.

Postanowiłem zabić moją żonę. Tak, owszem, dobrze zrozumieliście. Chciałem ją zabić od dawna. I zrobiłem to. Nie żałuję. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia. To była naprawdę podła kobieta. Ile razy czułem za plecami jej ciężki oddech, smród potu, alkoholu i niemytego ciała, ile razy słuchałem zrzędliwego powarkiwania, a także znosiłem okrutne złośliwości, skierowane przeciwko mojej osobie – tyle razy miałem ochotę chwycić siekierę i rozwalić jej łeb od razu, natychmiast. Uwolnić świat od jej istnienia. A zarazem i ją uwolnić od świata, który sprawiał jej tylko ustawiczny ból, gdyż babsko to nienawidziło wszystkiego, co żyje, co się rusza, co oddycha. W tym sensie mój uczynek był więc zarazem aktem miłosierdzia.

Ona nienawidziła wszystkiego i wszystkich, a ja nienawidziłem jej. Tak jak kiedyś ją kochałem. Jednak to było dawno temu, zanim zaczęła nadużywać alkoholu i niszczyć moje życie. Zanim zrozumiałem, że tak naprawdę była potworem w ludzkiej skórze. Choć nawet tej skóry nie potrafiła długo uszanować...

Przeszedłem niedawno na emeryturę, przez całe życie pracowałem jako wychowawca w schronisku dla nieletnich, i teraz marzyło mi się choć kilka lat świętego spokoju – szczególnie że ostatnio chorowałem. Nigdy nie mógłbym

go osiągnąć z tą koszmarną babą u boku. Rozwód? Rozwód oznaczałby nieuchronnie podział majątku, czyli utratę niewielkiego domu, jaki posiadaliśmy wspólnie w miejscowości Y. Ona by w życiu nie odpuściła, a sprzedaż nie wchodziła dla mnie w rachubę. Kochałem ten dom, w który zainwestowałem nie tylko wszystkie swoje oszczędności oraz lata pracy, ale także uczucia i emocje. To było wszystko, na czym mi jeszcze – poza spokojem – zależało. Całe moje życie. Ona nic w niego nie zainwestowała. Ani złotówki. Ani serca. Ani jednej dobrej myśli. Nic.

Dlatego zdecydowałem się zabić żonę i dokładnie przygotowałem plan zabójstwa. Wszystko przemyślałem. Postanowiłem zrobić to latem, gdy ludzie zazwyczaj wyjeżdżają na urlopy. Rozgłosić sąsiadom, że my także wyjeżdżamy, ostentacyjnie zapakować rzeczy do bagażnika, po czym w noc poprzedzającą wyjazd zabić ją, ukryć zwłoki, a o świcie wyjechać. A jakiś czas później zgłosić oficjalnie zaginięcie małżonki – zupełnie gdzie indziej. Świadkowie, zasugerowani moimi działaniami, poświadczyliby przecież, że razem wyjechaliśmy. Siła sugestii jest ogromna.

Wróciłbym później spokojnie do mego ukochanego domu, udając żalobę. I odtąd żyłbym sobie jak u Pana Boga za piecem...

Trzeba było tylko przekonać żonę do rzekomego wyjazdu, żeby późniejsze relacje się zgadzały. Nie miała na to ochoty, co było zresztą do przewidzenia. Ale w końcu udało mi się to, obiecując jej luksusowy hotel, drogi alkohol i dużo dobrego jedzenia. Jedynie to ją w życiu interesowało.

– Tylko sobie nie myśl, że będę gdzieś spacerować, oglądać, zwiedzać i tak dalej! – zrzędziła. – Żadne takie! Mam to w dupie. Jak luksus, to luksus. Tyłka nie ruszę z apartamentu, no chyba że na basen, a ty lepiej zrób wszystko, żebym była zadowolona. Bo jeśli okaże się, że to pieniądze wyrzucone w błoto, to mnie na długo popamiętasz...

– Bez obaw. Będziesz miała to, na co zasługujesz, moja droga – odparłem, uśmiechając się w duchu.

Tak też się stało. Żona chwaliła się przed sąsiadkami, na jakie to luksusowe wczasy zabiera ją ten nieudacznik mężuś (cha, cha, cud się stał, chyba staremu głupiemu piernikowi emerytura służy); a ja, możliwie najhałaśliwiej – i jak

najbardziej na widoku – czyniłem przygotowania do naszego „wyjazdu”. Szorowałem samochód, pompowałem koła, zamontowałem nawet dodatkowy bagażnik na dachu. Potem nosiłem walizki i inne klamoty. W przeddzień namówiłem żonę, żeby osobiście zaniósła zapasowe klucze do sąsiadki, by tamta podlewała u nas kwiatki oraz doglądała obejścia podczas naszej nieobecności. Zwierząt i tak nie mieliśmy, bo jak wspomniałem, żona nienawidziła wszystkiego, co żyje i co mogłoby czegoś od niej żądać albo oczekiwać. Dzieciaków także nigdy nie chciała mieć, twierdząc, że tylko srają, szczają i wołają jeść.

– A po cholere! Kogo obchodzą jakieś głupie kwiaty! – prychnęła.

– Idź – doradzałem obłudnie. – Lepiej, żeby ktoś pilnował domu przed złodziejami.

Kwiatki jej nie przekonały, złodzieje owszem. Niechętnie, ale zgodziła się w końcu. Zatarłem ręce...

Poszliśmy razem, wręczyliśmy klucze, a przy okazji pożegnaliśmy się z najbliższymi sąsiadami.

– W takim razie szerokiej drogi, kochani. – Uścisnęli nas serdecznie. – Długa jazda przed wami.

– Nie bezpośrednio. Po drodze zahaczamy jeszcze o Mazury – wtrąciłem.

– A, bo macie tam działkę? No to słusznie, trzeba dojrzeć swego!

– Pańskie ono konia tuczy – wtrąciła moja żona z zadowoleniem.

– To kiedy konkretnie wyjeżdżacie?

– Jak najwcześniej rano – odparła stanowczo żona, co bardzo mnie akurat uradowało. – Wiecie, że z mojego Wiktora kierowca do dupy – ileż pogardy zabrzmiało w jej głosie! – więc wolę dotrzeć do celu za dnia. Jeszcze mi życie miłe.

Aż ciarki poczułem! Ale nie zmiękłem.

Wszystko było więc dopięte na ostatni guzik. Hotel w górach zarezerwowany, choć nigdy nie mieliśmy tam dojechać. Jeszcze nie zwariowałem, żeby tak forsą szastać.

Byłem spokojny. Nie zawahałem się ani przez chwilę. Miałem pewność, że dobrze robię. Nocą, kiedy zasnęła, roztrzaskałem jej głowę ciężkim żelaznym

świecznikiem. Nawet nie drgnęła. W ogóle nie zauważyła, że przeszła na drugą stronę. Z pewnością nie można powiedzieć, by się męczyła.

Miałem już wykopany dół, osłonięty przed ludzkim wzrokiem starą szopą i drzewami – przygotowałem go sobie już wcześniej, pod pozorem budowy fundamentów pod drewnutnię. Póki co był przykryty tylko papą. Noc była jasna, lecz to mi nie przeszkadzało. Wieś spała, a z ulicy nikt i tak nie mógłby niczego dojrzeć. Zalety mieszkania na osobności. Nasz dom stoi na uboczu, graniczy tylko z lasem.

Zakopałem ciało – razem z narzędziem zbrodni, czyli wspomnianym starym świecznikiem – utwardziłem teren walcem i w to miejsce przewiozłem taczka stos kamieni, które sobie latami uzbierałem, by kiedyś, w przyszłości, ułożyć z nich schody, prowadzące na wyższy taras ogrodu. Obok leżakowało drzewo na opał, wszystko wyglądało więc bardzo naturalnie, nikt nigdy nie zorientowałby się, że pod spodem jest jakiś grób.

Wyjechałem przed świtem. Wreszcie czułem się wolny. Nie bałem się, nie żałowałem swojego czynu. Nie.

Ani przez chwilę.

Pojechałem prosto na swoją działkę, którą od dawna posiadam na Mazurach, w samym lesie, nad jeziorem. Od czasu do czasu wybierałem się tam, by łowić ryby. Zwykle sam. Żona, jak mówiłem, nie lubiła się nigdzie ruszać. W ogóle nic nie lubiła robić. W domu, poza grządkami, to tylko przed telewizorem by wysiadawała, chlejąc co popadło i wyżerając te swoje obrzydliwe gotowe dania prosto ze słoików. Że niby na diecie była. Ogrodem się zajmowała dla pieniędzy – warzywa i owoce do skupu sprzedawała. Bo z serca to nic, gdzież tam.

Teraz też byłem sam i – przynaję – ten stan rzeczy bardzo mi odpowiadał. Prowiant miałem na co najmniej tydzień, nie musiałem nikomu pokazywać się na oczy. Stąd zamierzałem rozpocząć po kilku dniach „poszukiwania” małżonki.

Tutaj, wśród bezmiarów wód, łódek i tysięcy nagich ciał, naprawdę łatwo zaginać...

Moglibyście jej szukać do końca świata.

Przez kilka dni cieszyłem się swoim szczęściem, błogim spokojem, wolnością. Jednakże była to najwyraźniej radość na wyrost: wkrótce potem poczułem się gorzej. Fizycznie gorzej. Wspominałem już, że ostatnimi czasy w ogóle nie najlepiej się czułem, sporo i przewlekłe chorowałem. Ale teraz było ze mną coraz paskudniej. Cierpiałem na potworne bóle brzucha, dolegliwości jelitowe, w dodatku włosy – a dumny byłem z tego, że, owszem, osiwiąłem, lecz nie wyłysiałem, tak jak większość moich rówieśników – zaczęły mi wychodzić dosłownie garściami. Słabłem, przewracałem się, mięśnie odmawiały mi posłuszeństwa. Pomyślałem sobie wtedy po raz pierwszy, że oto kara za mój... grzech.

Choć myślę, że dobry Bóg i tak powinien był mi go odpuścić. Jeśli istnieje, z pewnością wie, ile wycierpiałem – w końcu sam postawił tę potworną babę na mojej drodze. A może to ona osobiście mści się na mnie z za grobu? Cóż. To do niej podobne. Jak by nie było, księdza wołać nie będę. To już wam wolę wszystko do samego końca opowiedzieć.

Gdy było ze mną już tak źle, że nie byłem w stanie funkcjonować, resztką sił wsiadłem w samochód i dowlokłem się do najbliższego miasta, by udać się na pogotowie. Jak dojechałem, sam nie wiem. Cud, że nie rozbiłem się po drodze. Tak pewnie byłoby dla mnie lepiej.

Nie tak to miało wyglądać. Chciałem se jeszcze choć trochę pożyć, co do tej pory kiepsko mi jakoś szło. Teraz już zresztą wszystko mi jedno. Domu mi tylko szkoda. Dopilnujcie, by trafił w dobre ręce. Ale niech nikt się nie dowie, że ona... tam leżała, w tym dole. Niech ludzie, którzy tam zamieszkają, nie mają do mnie o to żalu. Pewnie niczego by nie zrozumieli, a mogliby się tylko wystraszyć. A nawet zrazić. Choć to taki piękny dom i piękne miejsce do życia...

A jeśli o mnie chodzi, to ja nadal niczego nie żałuję. Ani trochę. Tak, zrobiłbym to po raz drugi. Choćby dla tych kilku dni swobody.

Powiedziałem już wszystko. Teraz dajcie mi już spokój. Źle się czuję, muszę nareszcie odpocząć...

Komentarz dziennikarski

Obiecałam Państwu czysty tekst bez zbędnych komentarzy, jednak na sam koniec winna jestem czytelnikom przynajmniej krótkie wyjaśnienie. Opieram się przy tym wyłącznie na informacjach z policyjnego śledztwa.

Ponieważ Wiktor W. wkrótce zmarł, sprawę zamknięto. Jego zeznanie zostało sprawdzone i – niestety – było ono zgodne z prawdą. Odnaleziono na terenie posesji ciało okazało się szczątkami jego małżonki, Jadwigi W., lat 67.

Przyczyną śmierci Wiktora W. było zatrucie arsenikiem. Substancję tę odnaleziono w prowiancie, który znajdował się w domu państwa W. oraz w tym, który pan W. zabrał ze sobą w podróż. Zawierały go zapasy kawy, alkoholu, konserw domowej roboty, herbaty, mąki i przypraw. Nie mógł go wykryć, ponieważ arsenik jest bezbarwny, nie posiada także smaku ani zapachu. W trakcie autopsji wykryto go w znacznej ilości w organizmie mężczyzny.

Według lekarzy mężczyzna podtruwany był systematycznie od dłuższego czasu, najprawdopodobniej przez żonę, która z racji uprawiania ogrodu mogła bez trudu zdobyć nawet duże ilości tej trucizny. Jest ona powszechnie dostępna w handlu. W zasadzie każdy może ją sobie kupić w pierwszym lepszym centrum handlowym.

Przypuszczalnie Jadwiga W. tygodniami, a może nawet miesiącami, kontrolowała podawane mężowi dawki, by odwlec w czasie ostateczny efekt: powolną śmierć, sprawiającą wrażenie naturalnej, i – szczególnie w jego wieku – niebudzącą wątpliwości. Chorował przecież, leczyl się systematycznie na różne schorzenia.

Gdy Wiktor W. został sam, zaczął spożywać truciznę w większej ilości, co spowodowało szybkie nasilenie objawów. Lecz mężczyzna i tak żył z wyrokiem śmierci: poza wymienionymi objawami zdiagnozowano u niego nieuleczalną niewydolność nerek, uszkodzenia wątroby oraz układu nerwowego – także skutki długotrwałego kontaktu z arsenikiem.

Tak więc, planując zabójstwo żony, nie miał pojęcia, że praktycznie sam jest już martwy.

To ona zamordowała go pierwsza.

POSŁOWIE

Zbiorek, który oto przed Wami lub za Wami, powstał z opowiadań publikowanych w różnych miejscach i czasie, zazwyczaj w opracowaniach zbiorowych. W napisanie wszystkich włożyłam tyle samo serca i starań, co w swoje powieści. Zaczynałam od krótkiej formy i do dziś mam do niej sentyment, lubię opowiadania, lubię je czytać i pisać. Może dlatego, że to takie... książki w pigułce. Wymagają od autora więcej dyscypliny i skupienia na względach formalnych. Dlatego bardzo cieszy mnie fakt, że po latach te teksty znów mogą ujrzeć światło dzienne. Są różnorodne, od Was zależy, które i komu spodobają się bardziej lub mniej. Ze swojej strony dziękuję losowi, że postawił na mojej drodze fantastyczne wydawnictwo Lind, bo sama pewnie nie wpadłabym na pomysł, by te teksty zebrać w całość i ponownie wysłać je w szeroki świat. Szczególną wdzięczność kieruję do pań: Danusi Strandberg oraz Joli Świetlikowskiej, która dopieściła teksty i opracowała zbiorek. A Wam, kochani czytelnicy, życzę milej lektury lub miłego słuchania, w nadziei, że może choć trochę z Wami pobędę i umilę Wasz czas.

Anna Klejzerowicz